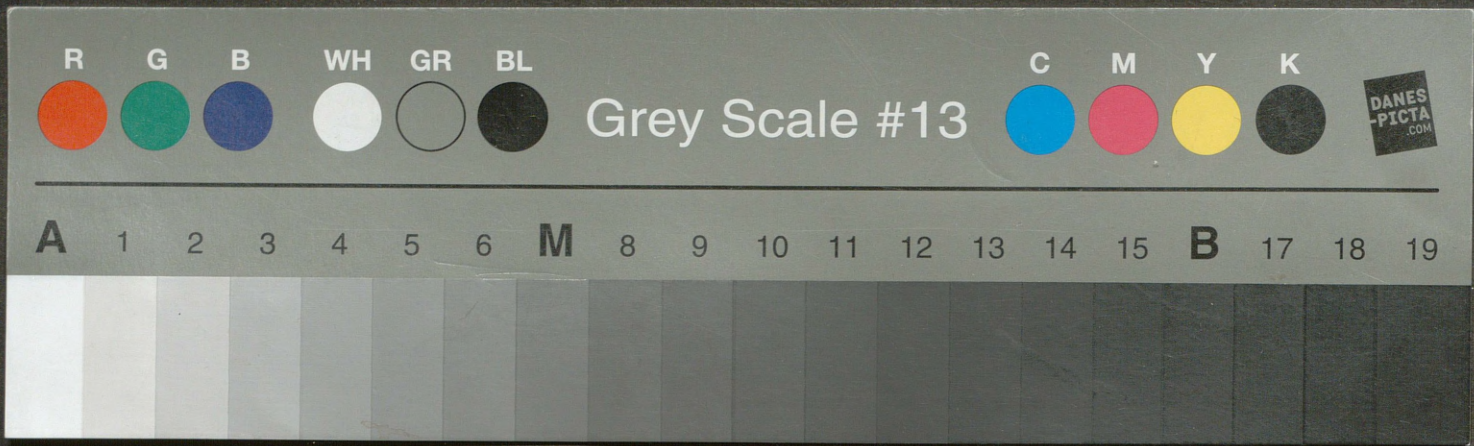
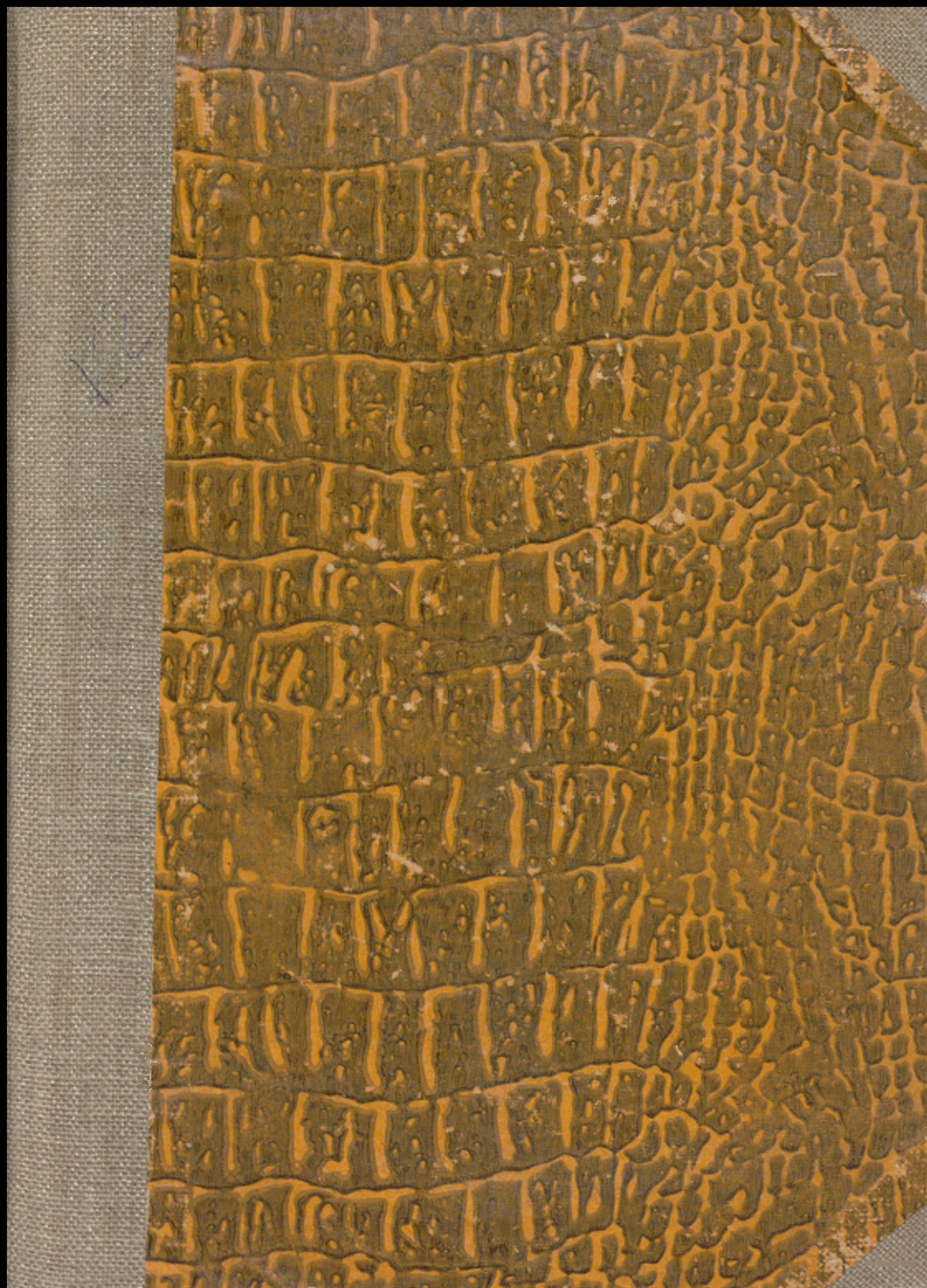








PUBLICYSTYKA POZYTYWIZMU

BIBLIOTEKA AUTORÓW POLSKICH

Nr 3

Redaguje-Komitet w składzie:

dr E. Łoziński, dr B. Suchodolski, dr T. Wojeński

Pismem Ministerstwa Oświaty (Nr VI Oc - 404/47 z dnia 18 września 1947 r.) zatwierdzona do użytku szkolnego jako lektura uzupełniająca dla liceów ogólnokształcących wszelkich typów oraz jako książka polecona do bibliotek licealnych i nauczycielskich.

BIBLIOTEKA AUTORÓW POLSKICH

Nr 3

PUBLICYSTYKA POZYTYWIZMU

WYBÓR

opracowali

EUGENIUSZ SAWRYMOWICZ

i

TEOFIL WOJEŃSKI

XIV.2.



19

48

TRZASKA, EVERT i MICHALSKI
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 51

5304



K-0478

Podpisano do druku: 15 I. 1948 r.

Papier: kl. V; 70 g; 61×86 cm

Ilość arkuszy: 14¹/₄

Nakład: 5.500 egz.

4142 Tłoczono w Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.

S P I S R Z E C Z Y

	Str.
Przedmowa	7
Zamiast wstępu: Świętochowski — Z pamiętnika	13
Rozdział I — Filozofia pozytywna, kult wiedzy i nauki.	
F. Krupiński — Filozofia pozytywna	23
J. Ochrowicz — Wstęp i pogląd ogólny na filozofię po- zytywną	33
A) Wstęp od Redakcji — Filozofia i nasze dziennikarstwo	42
B) J. Ochrowicz — W kwestii metody	43
Autor nieznany — Czy to tylko moda?	51
Rozdział II — O nową literaturę.	
A. Wiślicki — Groch o ścianę	59
P. Chmielowski — Utylitaryzm w literaturze	66
E. Orzeszkowa — Listy o literaturze	79
F. Krupiński — Romantyzm i jego skutki	87
Rozdział III — W walce o postęp.	
A. Świętochowski — My i wy	103
A. Dygasiński — My i nasze sztandary	110
Rozdział IV — Ideale równości i tolerancji.	
Autor nieznany — Tolerancja przekonań	121
E. Orzeszkowa — O Żydach i kwestii żydowskiej	128
A. Świętochowski — Równouprawnienie wyznań i płci ..	141
A. Świętochowski — O wyższym ukształceniu kobiet	150
E. Orzeszkowa — Kilka słów o kobietach	155

Rozdział V — Praca od podstaw i praca organiczna.

A. Świętochowski — Praca u podstaw	163
E. Orzeszkowa — O jednej z najpilniejszych potrzeb społeczeństwa naszego	173
Autor nieznany — Nasz przemysł odnośnie do miejsco- wych warunków	180
B. Prus — Wieża paryska	186

Rozdział VI — Patriotyzm i polityka.

A. Świętochowski — Nasze drogi polityczne	195
E. Orzeszkowa — Patriotyzm i kosmopolityzm	199

Zakończenie.

B. Prus — Najogólniejsze ideały życiowe	207
---	-----

Komentarz rzeczowy i słownikowy	217
---------------------------------------	-----

PRZEDMOWA

Wydając wybór z pism publicystycznych okresu pozytywizmu i przeznaczając go do użytku szkolnego jako lekturę pomocniczą wyszliśmy z założenia, że zaznajomienie współczesnej młodzieży z problematyką okresu pozytywizmu leży na linii właściwego przygotowania młodego pokolenia do czekających go zadań.

Trudno wprawdzie mówić o podobieństwie (we właściwym tego słowa znaczeniu) okresu pozytywizmu do czasów dzisiejszych wobec zasadniczej różnicy położenia politycznego i gospodarczego — tym niemniej można mówić o aktualności dla dnia dzisiejszego najważniejszych problemów pasjonujących pokolenie pozytywistów. Aktualnym, jakkolwiek w innym ujęciu, jest i dziś zasadniczy problem postawiony przez pozytywistów — problem roli uczucia i rozumu w ujmowaniu zjawisk życia zbiorowego i związanej z tym oceny romantycznego stosunku do otaczającego świata. Bliski i nam dzisiaj, jakkolwiek znowu w innym ujęciu, jest charakterystyczny dla całej kultury okresu pozytywizmu realizm przejawiający się w ścisłym liczeniu się z możliwościami i w uznawaniu życia gospodarczego za podstawę życia zbiorowego. Zrozumiałe i bliskie jest dla nas dziś również charakterystyczne dla pozytywistów poczucie odpowiedzialności za rzeczywistość, niechęć do zaśłaniania i zakłamywania jej romantyczną fikcją; bliski też jest nam idealizm pozytywizmu wyrażający się nie w przeciwstawieniu ideałów rzeczywistości, ale w dążeniu do podniesienia społeczeństwa na wyższy po-

ziom w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej, w wysiłku doskonalenia form życia zbiorowego i stosunków międzyludzkich; bliska wreszcie ambicja kształtowania rzeczywistości otaczającej, a niechęć do bezpłodnej negacji romantycznej.

Podobnie też jak w okresie pozytywizmu, jakkolwiek z innych przyczyn i w innych warunkach politycznych, na naczelne miejsce w życiu narodowym dzisiaj wysuwa się zadanie rozbudowy narodowej gospodarki, uprzemysłowienia kraju, podniesienia stopy życiowej obywateli i poziomu powszechnej kultury.

Wreszcie aktualne i dziś, jakkolwiek w innej płaszczyźnie, jest podjęte przez pozytywizm zagadnienie przebudowy struktury społecznej i dostosowanie jej do charakteru i potrzeb zachodzących przeobrażeń gospodarczych. Oczywiście, rozwiązanie tych problemów przez pozytywizm nie może nas zadowolić. Procesy gospodarcze i społeczne, na które reakcją był pozytywizm, uległy dalszej ewolucji, dla obecnej fazy ich rozwoju wiele z tych rozwiązań straciło swoją wartość. Tym niemniej dobre zapoznanie się z samymi problemami tego okresu i sposobami ich ujmowania może oddać cenne usługi w stosunku do zadań dnia dzisiejszego. Położenie większego nacisku na problematykę pozytywizmu przy zapoznawaniu młodzieży z dziejami naszej myśli i naszej kultury jest jeszcze ważne i dlatego, że dorobek pozytywizmu w słabym tylko stopniu został przez nasze społeczeństwo przyswojony i wywarł na naszą umysłowość znacznie mniejszy wpływ niż na to zasługuje.

W porównaniu do okresu romantyzmu i neoromantyzmu pozytywizm jako panujący prąd trwał stosunkowo krótko, bo około 20 lat (1870—1890). Rozwijał się w warunkach politycznych niezwykle trudnych, jeżeli chodzi o ziemie tzw. Kongresówki, bodaj najcięższych w ciągu całego

okresu niewoli narodowej. Te niezwykle ciężkie warunki związane z tragiczną klęską powstania styczniowego uniemożliwiły pozytywizmowi właściwe podejście do zagadnienia narodowego, zmuszały do wyeliminowania z kręgu jego zainteresowań najważniejszej dla narodu w niewoli sprawy — odzyskania niepodległości, co w wybitnym stopniu przyczyniło się do jego niepopularności i krótkotrwałości. Trzeba również podkreślić wąski zasięg wpływów pozytywizmu. Wobec słabości, braku samodzielności oraz świadomości klasowej naszego mieszczaństwa ograniczały się te wpływy nieomal wyłącznie do inteligencji zawodowej. Wszystkie te przyczyny sprawiły, że wpływ pozytywizmu na umysłowość polską był niewspółmiernie słabszy niż romantyzmu i że znaczenie pozytywizmu jako prądu umysłowego w rozwoju naszej kultury nie było należycie docenione.

W istocie pod względem znaczenia w rozwoju naszej kultury okres pozytywizmu może być przyrównany do najbardziej twórczych okresów w dziejach narodu, więc do rozkwitu humanizmu w XVI wieku i do jego renesansu w czasach stanisławowskich. Podobnie bowiem jak w dwu wymienionych momentach dziejów Polski widzimy w okresie pozytywizmu twórczy wysiłek społeczeństwa do przezwyciężenia zaniedbań cywilizacyjnych w porównaniu do zachodu oraz gorączkową chęć odrobienia zaległości powstałych w ciągu dziesięcioleci zastoju. Dorobek pozytywizmu, jeżeli uwzględni się wymienione wyżej okoliczności, wśród których się rozwijał, jest istotnie imponujący i budzić musi szczerzy podziw i szacunek. Na dorobek ten, obok wartościowej literatury pięknej, opromienionej takimi nazwiskami jak: Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Adolf Dygasiński, Adam Asnyk, Maria Konopnicka, obok obfitego piśmiennictwa naukowego, popularyzującego zdobycze europejskiej wiedzy, złożyła się bogata i wartościowa publicystyka poruszająca w sposób umiejętny i żywy szereg

problemów istotnych dla dalszego pomysłnego rozwoju życia narodowego.

W rozwoju publicystyki polskiej okres pozytywizmu jest bardzo ważny ze względu na bogactwo i wagę poruszanych tematów, poprawność, siłę i uczciwość argumentacji, oraz żywą, a często i piękną formę wypowiedzi. Publicystyka pozytywizmu rozwija się w ogniu zażartej walki nowego poglądu na świat ze starym, cechuje ją pełna pasji żarliwość płynąca z głębokiego przekonania o słuszności brnionej sprawy. W szranki publicystyki wstępują w tym okresie wszyscy najwybitniejsi przedstawiciele ówczesnej literatury pięknej i naukowej. Dopiero w okresie pozytywizmu prasa nasza staje się poważnym czynnikiem kształtowania poglądów i roli społeczeństwa. Uderza nas przede wszystkim rozrost czasopiśmiennictwa i znaczne rozszerzenie się jego zasięgu i wpływów. Zarówno w stolicy jak i ośrodkach prowincjonalnych powstaje szereg nowych czasopism. Zwłaszcza licznymi cennymi pozycjami wzbogaca się prasa stolicy. Szereg pism warszawskich zdobywa sobie poważny wpływ na opinię publiczną. Z pism tych należy wymienić najbardziej zasłużony „Przegląd Tygodniowy”, założony w roku 1866, dużym wpływem cieszyły się też: „Opiekun Domowy”, „Niwa”, „Nowiny”, „Prawda” Świętochowskiego, „Kultura”, a zwłaszcza miesięcznik „Ateneum”, redagowany przez znakomitego historyka literatury Piotra Chmielowskiego, pod koniec zaś przez Ign. Chrzanowskiego. W tym czasie rozwija się również czasopiśmiennictwo poświęcone specjalnym gałęziom wiedzy, wychodzą pisma naukowe, jak redagowana przez Karłowicza „Wisła”, kwartalnik ludoznawczy, „Prace Filologiczne” A. Kryńskiego i inne.

Wybór z bogatego materiału publicystycznego zawartego w czasopiśmiennictwie tego okresu nie jest łatwy. Wobec zniszczeń wojennych w naszych księgozbiorach nie jest łatwy i dostęp do tych materiałów. Nie chcąc zbyt roz-

szerzać ram wypisów ograniczyliśmy się do czasopiśmiennictwa stolicy, jako najbardziej wartościowego i typowego. W wyborze zamieszczonych artykułów pragnęliśmy uwzględnić tematy najbardziej istotne i charakterystyczne, przy czym staraliśmy się dawać artykuły w całości, a przynajmniej we fragmentach stanowiących pewną zamkniętą całość.

Możliwe to było tylko przy artykułach krótszych lub rozbitych na rozdziały mające charakter odrębnej całości lub końcowej syntezy. Artykuły i rozprawy dłuższe z konieczności podajemy w wyjątkach, które jednak staraliśmy się tak wybrać, by oświetlały one w sposób jasny dane zagadnienie.

Dla wprowadzenia Czytelników w atmosferę epoki dajemy w charakterze wstępu fragment z pamiętnika Aleksandra Świętochowskiego, który jako ówczesny przywódca „młodych” atmosferę tę sam w dużym stopniu tworzył.

Zamykamy wybór końcowym rozdziałem „Najogólniejszych ideałów życiowych” Bolesława Prusa, który choć nieraz z racji swej niechęci do wszelkich krańcowości występował przeciwko „młodym”, to jednak ideałom pozytywizmu pozostał wierny najdłużej, bo daleko poza datę zamknięcia okresu pozytywistycznego. „Najogólniejsze ideały życiowe” są właśnie wymownym tego dowodem.

1870
The following is a list of the names of the persons who have been elected to the office of Justice of the Peace for the year 1870.

Justice of the Peace for the year 1870.

The following is a list of the names of the persons who have been elected to the office of Justice of the Peace for the year 1870.

The following is a list of the names of the persons who have been elected to the office of Justice of the Peace for the year 1870.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI *)

Z PAMIĘTNIKA

Polska aż do ósmego dziesiątka wieku zeszłego nie wzburzyła się żadną rewolucją umysłową i społeczną. Wąziutkim strumieniem sączące się z zagranicy powątpiewania sekciarskie lub wolteriańskie były bardzo umiarkowane, radykalizm *) niektórych „gmin” emigracji nie prze-dostał się współcześnie do Królestwa Polskiego nawet stłumionym echem, w dwóch innych zaborach, gdzie go do-słyszano, nie wywołał szerszego oddźwięku. Rzec można, że cała Polska w niewoli była konserwatywna i klerykalna, starszylachecka. Przeprowadzona przez rząd rosyjski re-forma włościańska odrażała wierzchnie warstwy społe-czeństwa nie tylko swoją brutalną procedurą i politycz-nymi celami znieprawioną organizacją, ale samą swoją istotą — wyzwoleniem i uwłaszczeniem chłopów. Uwa-żano ją za barbarzyński gwałt, za wielką krzywdę i nie-szczęście. W sferze szlacheckiej, w której wytwarzały się główne prądy opinii publicznej, — jak to przedstawiłem w mojej „Historii chłopów polskich”, — nie odezwał się ani jeden głos za tak radykalnym i jednostronnym roz-strzygnięciem sprawy! Socjalizm marksowski już obsiewał Europę, ale na nasz grunt nie padły jeszcze jego ziarna. Wielkie teorie przyrodnicze i socjologiczne — Darwina *), Lyella *), Comte'a *) i in., — które rozpały na Zachodzie nowe światła wiedzy, nie rzuciły na nas jeszcze swoich

*) Wyrazy oznaczone gwiazdką objaśnione są w komentarzu na końcu książki.

odblasków. Kiedy tam nauka budowała sobie wspaniałe i bogate pałace, u nas żyła w dworkach i plebaniach, w których czoło biblioteki, a niekiedy jej całość, stanowiły powieści sentymentalne, przepisy gospodarskie, kalendarze, sennik i książka do nabożeństwa. Owe dworki nie otwierały swoich okien i nie wpuszczały świeżego powietrza, a plebanie i ambony grzmiały klątwami na zuchwałców, którzy w tych zatęchłych domach wyjmowali lub wybijali szyby, omiatali pajęczynę, tępilli robactwo i usiłowali zdmuchnąć lampkę płonącą nieustannie przed świętym obrazem.

W ten świat przeżytków, skamieniałości i przesądów wtargnęła gromadka wychowanców Szkoły Głównej z bronią częściowo u obcych nabytą, a częściowo własnymi umysłami ukutą. Pierwszym i z początku jedynym jej obozem było małe pisemko nieokreślonego charakteru: „Przegląd Tygodniowy”. Do r. 1871 zamieszczał on artykuły różnobarwne, nawet pisarzy tak klerykalnych, jak Julian Bartoszewicz*). Jego redaktor terminował poprzednio w „Gazecie Warszawskiej”. Wiślicki był dziennikarzem powierzchownie wykształconym, nie posiadającym żadnych wyraźnych i stałych przekonań, ale umysłem bystrym, szybko orientującym się w potrzebach społeczeństwa i warunkach działania. Właśnie te jego niedostatki i zalety czyniły go wybornym gospodarzem młodzieży literackiej, która miała ogień, ale nie miała ogniska, która w braku doświadczenia, zdolności praktycznych i środków — jak to zresztą okazało się w jej przedsięwzięciach samodzielnych — nie umiałyby stworzyć dla siebie własnego, mocno materialnie opartego organu. Wiślicki dał jej taki organ, dał jej myślom i uczuciom ujście nie tylko zabezpieczone, ale — co najważniejsze — zupełnie wolne i niczym nie ograniczone. Pozwolił on swoim współpracownikom wypowiadać się bez żadnego skrępowania. Nie przypominam sobie, ażeby kiedykolwiek przerabiał lub cenzurował

moje artykuły, chociaż wymagały one nieraz korekty redaktorskiej w swym zbyt ostrym tonie. Skutkiem tego popełniliśmy niekiedy grzechy publicystyczne, ale nasze umysły rozwinęły się i dojrzały w swobodzie, wylecieliśmy z tego gniazda w świat bez obciętych skrzydeł. Za to należała się Wiślickiemu ze strony naszego stadka wielka wdzięczność, a ze strony społeczeństwa, o ile ono skorzystało z naszej działalności, zasłużone uznanie.

Rok 1871 był najważniejszym okresem nie tylko w rozwoju „Przeglądu Tygodniowego”, ale tak zw. „młodej prasy”. Wtedy bowiem wszedł na pole pracy i walki najliczniejszy zastęp umysłów świeżych, dzielnych i uniesionych pragnieniem rozwiązania mgieł i oparów przyćmiewających społeczeństwu światło wiedzy, oczyszczenia jego atmosfery duchowej ze stęchlizny, pobudzenia jego drzemającej energii do działalności twórczej we wszystkich dziedzinach. Wtedy to nowe pokolenie pisarzy, którzy wchodząc do literatury mieli tylko ogólne poczucie swej siły i potrzeby zużytkowania jej dla dobra narodu, ustaliło swoje zasady, dążenia i cele, ugrupowało się w osobne kolumny i rozwinęło sztandary, różniące się odcieniami jednej barwy, demokratycznej społecznie i wolnomyślnie naukowo. Wywołało ono w piśmiennictwie nagły ruch, rozszerzyło widnokrąg, podniosło wiele zagadnień, nadało wielu przedmiotom inne oświetlenie. Dzisiejszy, sześćdziesięcioleciem od owego czasu oddalony czytelnik „młodej prasy”, a zwłaszcza „Przeglądu Tygodniowego”, zgorszy się może ostrością niektórych artykułów, gwałtownością ataków, zjadliwością ciągłych polemik, urazi go lekceważący ton mówienia o „panu Kraszewskim” lub „panu Jeżu”*), rozśmieszy go sąd o „pani Orzeszkowej”, której nawet tak umiarkowany i ostrożny w wyrażeniach krytyk, jak Chmielowski „nie chce odstręczać od pisania”, ale radzi, ażeby skracała swoje powieści, bo „jej to oszczędzi połowę pracy, a nam połowę nudy”. Zadziwi również dzisiej-

szego czytelnika w stosunkach literackich objaw, że współpracownicy „Przeglądu” nawet swoich towarzyszków sądzili z tą samą bezwzględnością.

Taka była w nich niezależność myślenia, umiłowanie prawdy i sprawiedliwości. A taka bezinteresowność, taki idealny, apostołski nastrój, że najbiedniejsi i najzdolniejsi między nimi, którzy w innych redakcjach byłiby sowicie wynagradzani, pisywali początkowo po groszu od wiersza, potem po dwa, a niektórzy nie wzniesli się ponad cztery. Najwyższe honorarium, jakie otrzymałem za ważniejsze artykuły, było 6 groszy, a przez cały czas mojego współpracownictwa w „Przeglądzie Tygodniowym” nie przekroczyłem 45 rb. miesięcznie. Więcej zarabiał reporter.

Tego roku wprowadzono felieton zbiorowy pt. „Echa warszawskie”, mozaikę bezimiennych, krótkich, ostrych, często dowcipnych notatek o osobach i przedmiotach z życia bieżącego. Wysztytano opychanie się prasy wiadomościami zagranicznymi i pomijanie spraw krajowych, sławienie wojny, bez której — jak twierdziło jedno z pism — „świat spadłby do rzędu małp, a nawet niżej od nich”, opodatkowywanie się karami przy grze w karty „za kichnięcie lub ziewnięcie w nieprzyzwoity sposób, za gwizdanie lub mruczenie, za splamienie obrusa lub zabłocenie podłogi” na fundusz zakupu książek, ubolewanie, że „z dawnych dziadów pozostały tylko szczątki”, znieważanie Amerykanek, które „zmieniają mężów co parę lat”. Wydrwiano leczniczy wpływ wody z Lourdes*) i w ogóle kuglarstwo kleru. Broniono od drwin magistra Szkoły Głównej Korpaczewskiego, który założył kantor pogrzebowy. Ośmieszano Deotymę*), która zorganizowała w swym salonie „państwo poetyckie” z tytułami i orderami, Ilnicką, sentymentalną redaktorkę „Bluszczu”, która oświadczyła się przeciwko produkcyjnej pracy kobiet. Spychano z piedestałów rozmaite „powagi”, między którymi najdotkliwiej turbowano Lewestama*). Najbardziej znęcano się nad po-

etami płodzącymi liche wiersze, a na zarzut nieposzanowania zasług i napaści osobistych odpowiadano: „Zasadą naszą jest śmiać się z głupich, chociaż przewielebnych, czołem bić wielkości, chociażby najcichszej”.

„Echa” nabrały wkrótce wielkiego rozgłosu i rozszerzyły koło swoich czytelników daleko poza obręb abonentów i przyjaciół tygodnika. Nie można zaprzeczyć, że dużo w nich było zbyt gwałtownie musującej młodości, przyczepek napastliwych, alarmu z powodów błahych, bryzgów błotnych i ukłuć jadowitych, ale swym nadzwyczajnym rozpędem wśród zeszytnienia myśli, swym krzykiem wśród ciszy, swym rozbijaniem czczonych bałwanów wywołały silny ruch w opinii społecznej. Podjęto rewizję starych przekonań i kultów, wybuchł pożar podpalonych ruder opinii, na ich zgłiszczach i ruinach zaczęto wznosić budowle nowe lub oczyszczać i poprawiać dawne.

Oczywiście nie było to zasługą łuczników „Ech”, lecz przeważnie kanonierów, strzelających z dział większego kalibru w artykułach i książkach. A była to rzeczywista wojna dwóch przeciwnych obozów, rzecz można — światów. Toczyła się ona głównie w prasie, podzielonej na „młodą” i „starą”. W pierwszej na czele frontu walczył „Przegląd Tygodniowy”, z którym w zgodzie i niezgodzie, umiarkowanie i ostrożnie, szły: „Opiekun Domowy”, „Niwa”, „Przyroda i Przemysł”, w drugiej — „Kurier Warszawski”, a za nim wszystkie dzienniki i tygodniki, które zajmowały się więcej całą kulą ziemską niż Polską zamienioną na święty obrazek oprawiony w ramy archeologii, z życia narodu wydobywały błahostki, pomijając naukę, literaturę, sprawy społeczne, a nade wszystko gospodarcze. Rozpościerała się w nich jałowość treści powleczone sentymentalizmem, zamknięta chińskim murem tradycji.

„Nie walczymy za prawo nieomyślności, ale za prawo swobody zdania w przedmiocie prawdy”. Pod tym hasłem musiała wywiązać się walka z klerykalizmem, którego na-

czelnym i wojującym organem był „Przegląd Katolicki”. Bogacki*) w obszernym artykule druzgotał „Historię filozofii” Laforeta wydaną w przekładzie polskim. Nie oszczędzano przy tym pisarzy nawet skądinąd przez młodą prasę szanowanych, jak np. Tyszyńskiego*), który w swych „Pierwszych zasadach krytyki powszechnej” dowodził za św. Bazylim, że jako liście na drzewie, lubo nie są owocem, są jednak ozdobą gałęzi drzewa, tak też nauki świeckie, lubo nie są owocami prawdy wśród drzewa naszego poznania, są jednak jak owe liście, które upiększają i osłaniają owoc. Żartowano z pobożności Lenartowicza. Ogłoszono list O. Hiacynta, słynnego zakonnika francuskiego, który żądał oczyszczenia kościoła z błędów i wykroczeń, który twierdził, że „grzechy kapłanów są większe niż grzechy narodu”.

Nieprawdą jest współcześnie czyniony i później powtarzany zarzut, że „Przegląd Tygodniowy” był wrogiem poezji. Przeciwnie, czcił ją, ale w geniuszach i prawdziwych talentach, przedrukowywał niektóre utwory romantyków i chętnie pomieszczał nowe. Znęcał się tylko nad niedołęzonymi i kalekami, płodami chorowitej muzy, lub ośmieszał dziwactwa.

Jednym z najgłówniejszych, nieprzerwanie podejmowanych i radykalnie rozwiązanych zadań „Przeglądu” była obrona, podniesienie umysłowe i wyzwolenie społeczne kobiety; otoczono kobietę opieką z rozmaitych stron i w rozmaitych stosunkach: domowych, społecznych, zawodowych, nawet lekarskich, karcąc nadużycia przy badaniach.

Ponieważ prawie wszystkie dziedziny leżały odłogiem lub opracowywane były niedołęźnie lub niedbale, „Przegląd” starał się ogarnąć cały ich obszar. Pomieszczał szybko i skrętnie sprawozdania z obcych i swojskich postępów nauki, literatury, sztuki, nawet mody. Nie było objawu społecznego, wypadku, utworu, który by przesunął

się poza jego uwagę. Ze szczególnym i nieprzerwanym naciskiem pobudzał energię ogółu w kierunku potrzeb i zadań gospodarczych. Każde zebranie skromnego stowarzyszenia handlowo-spożywczego pn. „Merkury” było przedmiotem wyczerpujących artykułów. W kolumnach „Przeglądu” ciągle wrzało, a pod jego wpływem zawrzało w całej prasie. W nieustannych i namiętnych polemikach, w odczytach publicznych biło gorączkowe tętno podnieconych myśli. W stosunku do głównego sprawcy tego ruchu „stara prasa” nie zmieniła swego wrogiego i potwarczego stanowiska, powtarzając uparcie: „Idą ławą i plwają na wszystko, nie uznając niczego, co było przedtem i co jest poza nimi”, dodając ze smutkiem: „Energia skandalu robi coraz szersze wylomy w literaturze”.

Pomimo wszystkich wyjaśnień i zapewnień niezupełnie zharmonizowanych „młodzi” uznali potrzebę ściślejszego określenia swego stosunku do „starych”. Postanowiono ogłosić rodzaj manifestu, którego napisanie powierzono mnie.

Wyszedł on pt. „My i wy”.

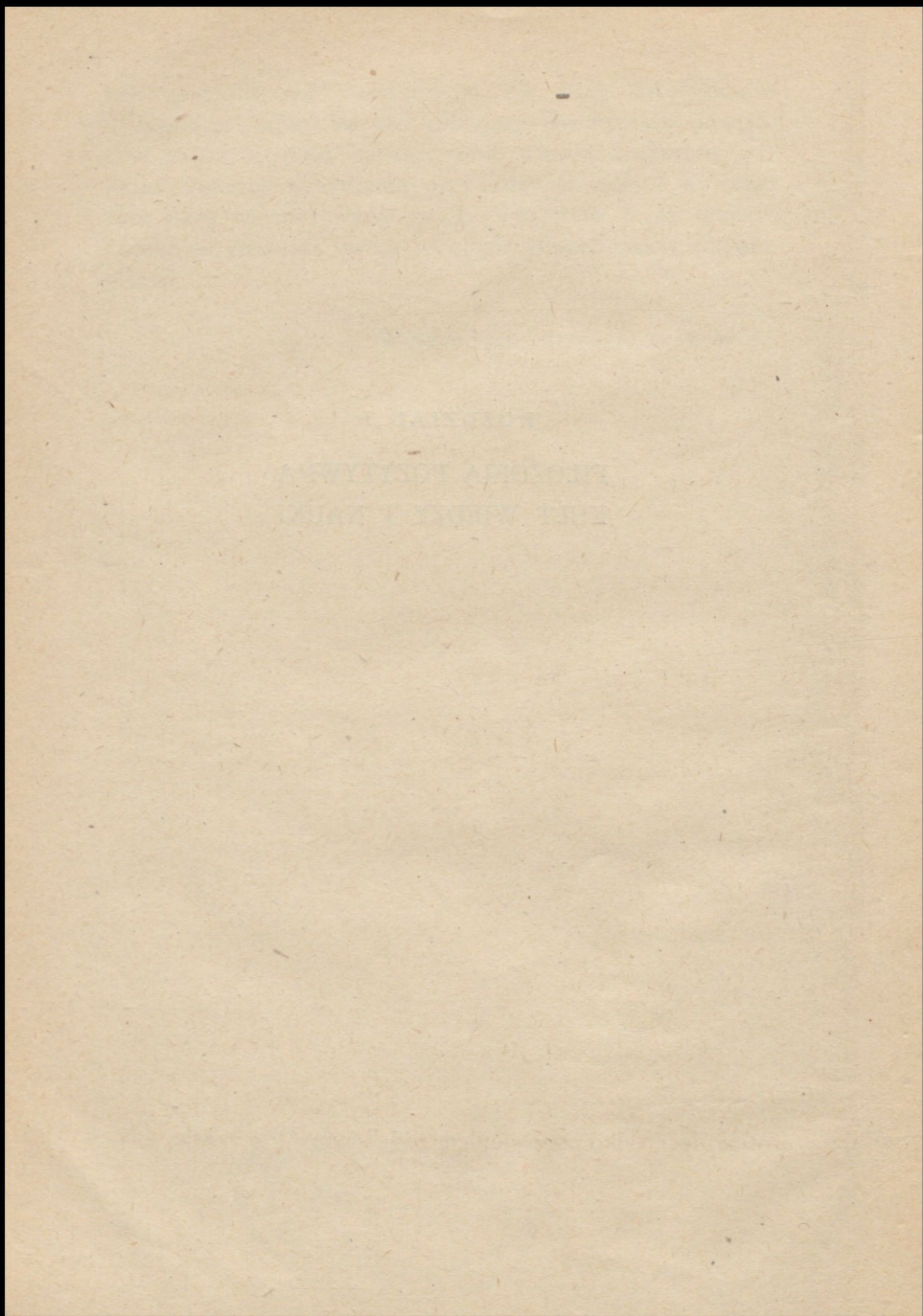
Jakkolwiek ten manifest miał widnokrąg ideowy bardzo ciasny, gdyż ograniczony do zatargu dziennikarskiego, wywarł duże wrażenie, bo ulegalizował prawowitość pochodzenia „młodych” przed sądem opinii publicznej, która coraz w szerszym kole okazywała im sympatię. Oczywiście posądzenia, zarzuty i potwarze nie ustały, ale już rzędły i głuchły w Królestwie Polskim, bo prasa galicyjska była ściekiem brudnych korespondencji, w których postrzelone bezłotki*), osły i bawoły literackie mściły się bezimiennie za swe porażki rozdęte do krzywdy społecznej. Tak np. „Czas” krakowski twierdził, że współpracownicy „Przeglądu Tygodniowego” są na żołdzie rządu rosyjskiego i na usługach żandarmów. Te nieczne oszczerstwa korzystały z bezkarności, gdyż odpieranie ich procesem sądowym było niemożliwe w ówczesnych warunkach. Nie zdołały one jed-

nak powstrzymać rozszerzenia się koła zwolenników „Przeglądu”, który na rok następny dwukrotnie powiększył swoją objętość, sprawił sobie własną drukarnię, wynajął obszerne mieszkanie przy ulicy Czystej i wyjechał całą parą na utorowaną drogę. Właściwie teraz dopiero zaczął on rozwijać swoją ideologię filozoficzną i socjologiczną.

Wiadomości Literackie 1931, nr 42.



ROZDZIAŁ I
FILOZOFIA POZYTYWNA
KULT WIEDZY I NAUKI



FRANCISZEK KRUPIŃSKI*)

FILOZOFIA POZYTYWNA

(VI. Zakończenie)

W niniejszym ustępie chcemy spisać bilans szkoły pozytywnej, to jest przypomnieć czytelnikowi, co filozofia pozytywna ma, a czego jej brakuje, czym jest wyższa od dotychczasowych filozofii i jaka ją czeka przyszłość, po które chcemy odpowiedzieć na niektóre zarzuty czynione szkole pozytywnej przez filozofię spekulacyjną*).

Należy przede wszystkim pamiętać, że filozofia pozytywna jest najprzód metodą, a po wtóre zbiorem zasad, a więc nauką. Metoda jej polega na umiejętnym postrzeganiu, na doświadczeniu, które jak z jednej strony bierze za źródło poznania, tak z drugiej za ostateczny sprawdzian czyli kryterium tegoż poznania. Wszystko, co rości prawo do ścisłej naukowości i pewności, powinno być tą metodą osiągnięte. Tym samym z filozofii pozytywnej wyłączają się wszelkie osobiste przywidzenia, mrzonki i zachcianki przystrajane przez filozofów spekulacyjnych w szatę prawd bezwzględnych. Filozofia pozytywna nie zna abso-lutu*), bezwzględności pierwszych przyczyn, numenów*), lecz tylko względność, najbliższe przyczyny i fenomena czyli zjawiska. Metoda pozytywna, wskazując granice badania zakreszone dla rozumu człowieka przestrzenią i czasem, postępuje drogą indukcyjną*) w pojedynczych naukach zajmujących się światem nieorganicznym i organicznym, a dedukcyjną*) w uogólnianiu praw osiągniętych przez szczególne nauki. Taka metoda nie jest żadną nowością, lecz tylko ponowieniem rad Bacona*) w czasie, gdy

nowa scholastyka*) niemiecka groziła spaceniem rozumu i niepłodnością poszukiwań naukowych.

W powołaniu do życia tej metody widzimy nie tylko uznanie jej wartości, lecz także i konieczne prawo antynomii*), oddziaływania. Zawsze, ile razy jedna metoda wybuja, zjawiają się umysły trzeźwe, zdrowe i jędrne, zwracające naukową pracę ku źródłu, z którego od wieków czerpał swoje wiadomości rozum ludzki. Tak było w XVI wieku; tak jest i dzisiaj. Jak niegdyś sprzeczano się o znaczenie wyrazów ogólnych (nominalizm i realizm), tak w naszych czasach spór się toczy o wiedzę bezwzględną i względną.

Scholastyczne marzenia rozproszył Bacon; spekulacyjne, szkoła pozytywna. Dziś już żaden zdrowy na umyśle człowiek nie będzie szukał absolutu w filozofii, siły życiowej w fizjologii. Zjawiska muszą się same za siebie wytłumaczyć. Ścisła i rzetelna nauka, to jest nauka pozytywna, nie pozwala podsuwać im zmyślonych przyczyn. Magia, zarówno czarna jak i biała, już nie popłaca. Szarlatanizm*) i kuglarstwo naukowe nie ma prawa do bytu. Jeżeliśmy zaś do tego przyszli, należy to zawdzięczać metodzie pozytywnej. Postępowały nią wszystkie nauki na doświadczeniu oparte i doszły do wysledzenia praw niemylnych rządzących światem fizycznym. Muszą nią postępować nauki filozoficzne i społeczne, aż pokąd nie dojdą do wysledzenia praw rządzących człowiekiem jako istotą rozumną i moralną oraz społeczeństwem. Samowolność, widzi-mi-się, podmiotowe sądy muszą ustąpić i w naukach społecznych: od tego postęp ich zależy.

Dzięki metodzie pozytywnej świat fizyczny związany jest ze światem społecznym; rozerwana przez wieki jedność naukowa przywrócona. Jak dwa te światy do siebie należą, tak i nauki zajmujące się nimi muszą do siebie należeć, muszą stanowić jedną naukę.

Jak dojść do takiej metody? Nauczyć się jej nie można, zaiste, tak jak gramatyki lub innej umiejętności. Nie można też dać jej poznać kilku ogólnikami, jak to dobrze Comte*) zauważył. Cóż więc począć? Oto trzeba przejść systematycznie wszystkie nauki według hierarchii, poczynając od najbardziej ogólnych jak matematyka, a skończywszy na zawikłańszych jak socjologia. Tylko takie metodyczne ujęcie wiadomości ludzkich prowadzi do zrozumienia metody pozytywnej. Stąd niektórzy mniemali, że filozofia pozytywna jest rodzajem matematyki filozoficznej, a nawet upoważniał do tego mniemania porządek wykładu, jaki Comte w dziele swoim głównym przeprowadził. I trudno zaprzeczyć, że umysł wykształcony na matematyce jaśniej pojmuje związek logiczny wszechrzeczy, nauczywszy się od początku porządnego postępowania myślowego, aniżeli wykarmiony poezją, metafizyką*) lub archeologią. Ale z drugiej strony umysł nasz jest tak giętki, że nawet nie rozpoczynając od matematyki, lecz od innej umiejętności opartej na doświadczeniu i zajmującej się światem rzeczywistym, prędzej lub później dojdzie do pozytywnej metody. Tak np. Comte z powołania był matematykiem, Mill*) ekonomistą, Littré*) na lekarza się kierował, a jednak wszyscy doszli do metody pozytywnej. Taki jest bowiem naturalny bieg myśli naszej, że gdy ma do czynienia z rzeczywistością, gdy uprawiając choćby jeden dział tej rzeczywistości, ujrzy w nim działające prawa; parta koniecznością zawnioskuje, że i w innych sferach panują nie jej przywidzenia, lecz prawa właściwe dostrzeżanej grupie zjawisk. Jest to jednak dłuższa i pośrednia droga do zapoznania się z metodą pozytywną. Prosta i bezpośrednia jest ta, którą Comte nakreślił w swojej klasyfikacji nauk.

Lecz filozofia pozytywna nie jest li metodą; jest ona także nauką, to jest zawiera szereg spostrzeżeń, prawd i wniosków osiągniętych swoją metodą, jest, jak dawniej

mówiono, *corpus doctrinae**). Jakie są te prawdy, wnioski i spostrzeżenia? Oto najprzód mamy na świat pogląd. Każdy wiek, a przynajmniej całe okresy historyczne mają swoje poglądy na świat. Inaczej się nań zapatrywali starożytni, inaczej wieki średnie, inaczej nowożytnie. W starożytnych czasach człowiek podobien jest do dziecka, który próbuje sił swoich, uczy się chodzić i oceniać otaczające go przedmioty. Jest to epoka dzieciństwa umysłowego. Świat straszy i wabi człowieka: patrzy on na niego jak na tajemniczy przybytek, który wypełnia tworamii swojej fantazji. Stawia hipotezy, ale jeszcze tak niedołężne, że dzisiaj student ma lepsze, ściślejsze wyobrażenie o składzie ciał, o mechanice niebieskiej, niż niejeden głośny filozof starożytności.

Inaczej w średnich wiekach patrzeli nawet uczeni na świat niż dzisiaj. Człowiek od postrzegania zewnętrznego zwrócił się do wewnętrznego, do samego siebie, swoich uczuć i marzeń. Zdawało mu się, że świat zewnętrzny musi tak się obracać, jak on go do swojej fantazji nastroi. Stąd w naukach i sztukach przewaga podmiotowości. Trzeba było potężnych ciosów ścisłej nauki, żeby rozbić ten pałac fantastyczny.

I znowu z wiekiem XVI nastąpił zwrot do świata zewnętrznego, do postrzegania zjawisk, ale już nie dziecinnie, po omacku, ale z teleskopem, mikroskopem, retortą. Człowiek się przekonał, że cała mądrość jego zależy na poznaniu mądrości spoczywającej w naturze; porzucił więc urojenia, odrzucił szczudła i chodzi na swoich nogach. Przekonał się, że nie w jego mocy złamać prawa wszechświata, lecz że koniecznie musi żyć z nimi w zgodzie.

Że taki jest obecnie prąd w nauce, że taki, jak to mówią, duch czasu, o tym nikt nie wątpi, kto bacznie śledził historię ostatnich trzech wieków. Nowy tedy pogląd na świat nie jest, właściwie mówiąc, rezultatem tego lub innego filozofa, ale owocem prac takich mężów, jak Kopernik, New-

ton*), Lavoisier*) itd. Ponieważ zaś filozofia pozytywna opiera się na wypadkach naukowych osiągniętych przez tych rzeczywistych filozofów i wnioski ich uogólnia, porządkuje: za czym pogląd ten jest oraz poglądem filozofii pozytywnej.

W ścisłym związku z tym poglądem filozofii pozytywnej na świat w ogóle zostaje jej hipoteza*), że światem społecznym oprócz fizycznych rządzą niezmiennie prawa intelektualne i moralne. Jest to, powiadamy, hipoteza, ale tyle już dziś mająca za sobą dowodów, co niegdyś hipoteza Kopernika, gdy Newton odkrył prawo powszechnego ciążenia. Ażeby hipoteza powyższa stała się prawdą, musi być dowiedziona. Dowody zaś dla niej oprócz historii zbierają wszystkie nauki społeczne, z których statystyka gromadzi najbardziej stanowcze. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, jak niedawno i nie wszędzie nauki społeczne weszły na drogę rozumnego postrzegania, jak wiele jeszcze każda z nich ma do zrobienia, ażeby została pozytywną: nie będziemy się dziwili, iż hipoteza niezmienności praw społecznych dla wielu zdaje się jeszcze być przypuszczeniem bardzo dalekim od prawdy. Jednakże umysły bystrzejsze, przeczuwając prawidłowość w historii tak przeszłej jak i bieżącej, nie wahają się twierdzić, że światem ludzkim i dziejami naszymi rządzą prawa stałe, tak jak i światem fizycznym.

Jeżeli zatem w „aktywach” filozofii pozytywnej zamieścimy jej *metodę, nowy pogląd na świat i hipotezę o niezmienności praw intelektualnych i moralnych*, łatwo każdy oceni, że filozofia ta wzbogaciła wiedzę ludzką ważnymi spostrzeżeniami i prawdami, od których ścisłego przeprowadzenia zależy postęp materialny, intelektualny i moralny rodu naszego. Prawdy jej, a nawet hipotezy nie są to jałowe spekulacje o absolicie, którymi tak długo metafizyka niemiecka bałamuciła rozum spółczesnego pokole-

nia; lecz są to zarodki zdrowe, z których musi się rozwinąć majestatyczne drzewo wiedzy na pożytek i ochłodę ludzi.

Ale jak rzadko interesu, który by nie miał swoich „pas-
sywów”, tak rzadko nauki, która by zadowalała wszystkie
umysły i wszystkie wymagania społecznych. Tak samo
i filozofia pozytywna. Zobaczymy zatem, co jej zarzucają
i o ile zarzuty są słuszne, przypominając raz jeszcze, że
nie chodzi tu o Comte'a i jego późniejsze halucynacje reli-
gijne, lecz o szkołę pozytywną. Mówić zatem będziemy
o zarzutach stawianych tej szkole, a nie Comte'owi, gdyż
większa część jego urojeń nie zasługuje nawet na poważne
zarzuty.

Że filozofii pozytywnej brakuje psychologii, estetyki
i etyki, o tym już poprzednio nadmieniano: ale brak nie
stanowi właściwie zarzutu, gdyż może być wypełniony
przez pojedynczych ludzi zajmujących się tymi przedmio-
tami. W każdym razie jest metoda i klasyfikacja nauk,
jest i zasada tej klasyfikacji wyrażona zdaniem: „ogólność
malejąca, a powikłanie zjawisk wzrastające”. To się znaczy,
że im która nauka zajmuje się zjawiskami bardziej zawi-
kłanymi, jak np. zjawiska organiczne, psychologiczne
i społeczne, tym dalej musi stać w szeregu umiejętności.
Że filozofia pozytywna ma logikę, filozofię historii i zarysy
socjologii, o tym również na swoim miejscu mówiono. Bra-
kujące części wykończy szkoła, bo filozofia pozytywna nie
jest i nie może być dziełem jednego człowieka, lecz zbio-
rową pracą całej szkoły.

Wszystkie zarzuty, jakie filozofii pozytywnej czynią
metafizycy, można by zebrać do trzech: ateizm*), materia-
lizm*) i fatalizm*). Takie przynajmniej, pomijając innych,
uczynił jej profesor i rektor uniwersytetu brukselskiego
p. G. Tibergkien w mowie zagajającej w roku zeszłym
w październiku wykłady w rzeczonym uniwersytecie.
Wszystko, co w tej mowie powiedziano, stosuje się głównie
do Comte'a, z którym filozof belgijski solidaryzuje szkołę

pozytywną. Że z dzieł Comte'a zarzuty te można wyciągnąć, tego nie chcemy przeczyć, ani stawiać w ich obronie. Ale dla nas Comte nie stanowi całej szkoły pozytywnej. Szkoła pozytywna nie od niego się zaczęła, jakkolwiek on jej dał nazwisko: za czym i urojen jego bronić nie potrzebujemy. Jesteśmy przekonani, że można być pozytywistą nie będąc ani ateistą, ani materialistą, ani fatalistą. I takimi też byli najznakomitsi uczeni kierunku pozytywnego. Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że pod chorągwią pozytywizmu występują ludzie, którzy z dobrą lub złą wiarą szerzą nihilizm*), zaprzeczenie wielu drogich i zbawiennych prawd dla rodu ludzkiego. My przyjmujemy metodę i to z nauki, co nam się zdaje być prawdą, a mianowicie, że społeczność rozwija się według praw stałych, chociaż tych praw mamy zaledwie początkową znajomość. Za resztę nie odpowiadamy.

Ale zacznijmy od zastanowienia się nad owymi trzema zarzutami. Utrzymujemy zatem, że można być pozytywistą nie będąc ateistą.

Przez ateizm rozumiemy zaprzeczenie Boga.

Czy szkoła pozytywna w tym znaczeniu, jak my ją pojmujemy, zaprzecza Boga? Nie. Oto co w tym przedmiocie mówi Mill*), karcąc ateizm Comte'a:

„Wypada nam najprzód, powiada Mill, oczyścić tę naukę (pozytywną) od zarzutu, jaki jej stawia opinia religijna. Pozytywizm odrzuca wszelkie tłumaczenia teologiczne i zastępuje one lub sądzi, że mają być zastąpione przez teorie, które rachują się tylko z dowiedzionym porządkiem zjawisk. Stąd wnoszą, że gdyby się to dało uskutecznić, ród ludzki przestałby odnosić porządek natury do woli rozumnej, czyli wierzyć w Stwórcę i najwyższego Rządcę świata. Przypuszczenie to tym jest słuszniejsze, że Comte jawnie był tego zdania. Wprawdzie odrzucał on z pewną goryczą ateizm dogmatyczny, a nawet w późniejszych dziełach mówi (wcześniejsze nie zawierają nic podobnego), że

hipoteza celu, zamiaru (w świecie) ma więcej prawdopodobieństwa niż hipoteza ślepego mechanizmu; ale przypuszczenie oparte na analogii nie zdawało mu się być dostateczną podstawą do oparcia teorii w dojrzałym stanie umysłu ludzkiego. Zdawało mu się, że prawdziwe poznanie początku (świata) jest dla nas niedostępne, i że śledzenie go przechodzi zdolności naszego rozumu. Ale ci, co przejmują jego teorię o postępowych periodach opinii, nie potrzebują zgadzać się z nim w tym punkcie.

„Pozytywna metoda myślenia nie pociąga za sobą koniecznie zaprzeczenia nadnaturalnej; lecz poprzestaje na stawieniu tej kwestii przy początku wszechrzeczy. Jeżeli świat miał początek, początek ten był nadnaturalny; prawa natury nie mogą same zdać sprawy ze swojego początku. Filozof pozytywny może pod tym względem utworzyć sobie zdanie odpowiednio do wagi, jaką przywiązuje do analogii zwanych cechami celowości (marks of design), i zgodnie z ogólną tradycją rodu ludzkiego. Znaczenie tych cech jest w istocie pytaniem dla filozofii pozytywnej; ale w odpowiedzi na to pytanie niekoniecznie mają się zgadzać filozofowie pozytywni. Jest to jeden z błędów Comte'a, że nie nie zostawia do dyskusji. Filozofia pozytywna twierdzi, że w istniejącym porządku świata, lub raczej części jego nam znanej, bezpośrednia przyczyna każdego zjawiska jest naturalna, nie nadnaturalna. Przy takim zapatrywaniu się można wierzyć, że świat był stworzony, a nawet że jest ciągle rządzony przez inteligencję, byleby tylko rozumny Rządca działał wedle praw stałych, które modyfikują inne prawa tej samej natury, ale nigdy swawolnie pomijane nie bywają.”

„Kto tylko zatem uważa wszystkie zjawiska jako części jednego, stałego porządku, w którym jedno zjawisko jest niezmiennym następstwem innego, poprzedniego warunku lub połączonych warunków, ten zupełnie myśli pozytywnie, bez względu na to, czy uznaje lub nie ogólną jakąś

przyczynę (an uniwersal antecedent), której skutkiem był z początku cały system natury, i czy tę powszechną przyczynę będzie uważał za Inteligencję czy inaczej!)."

Innymi słowy, że można wierzyć, iż świat stworzyła rozumna wola, dała prawa i według nich rządzi: a obok tego myśleć pozytywnie, to jest właśnie dochodzić owych praw światem rządzących. Zdaje nam się, że taki pozytywizm nie może być posądzony o ateizm. Z pozytywizmem nie uznającym Boga nie mamy żadnej wspólności, lecz przeciwnie pragniemy, ażeby nauka nie wywracała religii, by uznała wielkie jej znaczenie w wychowaniu rodu ludzkiego.

Na zarzut materializmu czyniony szkole pozytywnej tyle odpowiadamy: Przez materializm rozumiemy naukę, która twierdzi, że materia jest jedyną przyczyną wszechrzeczy, że dusza ludzka jest tylko funkcją mózgu, a myśl takim jego produktem, jak np. żółć wątroby. Jest to dogmatyzm zarówno szkodliwy ścisłej nauce, jak i moralności; że zaś szkoła pozytywna nie zna dogmatyzmu i o niczym a priori*) nie wyrokuje, za czym nie może twierdzić, że materia jest ostatecznym faktem (le fait irréductible), obok którego nic nie istnieje, ani też że dusza ludzka jest tylko pewnym stanem czyli, jak mówią, pewną funkcją mózgu. Jeżeli zaś który z tak zwanych pozytywistów uczył tak, jak materialści, może być niewątpliwie do nich zaliczany.

Daleko słuszniejszy zdawałby się być zarzut fatalizmu postawiony filozofii pozytywnej. Jeżeli, mówią, według tej filozofii światem społecznym rządzą stałe prawa, tak jak fizycznym, to muszą im ulegać i pojedynczy ludzie, z których się społeczność składa. Gdyby bowiem w czynach pojedynczych ludzi nie było prawidłowości, nie mogłoby jej być w rozwoju historycznym całego plemienia naszego. Jeżeli zaś tak jest w istocie, to znika wolna wola, człowiek jest narzędziem dla praw owych działających z koniecznością, a zatem za czyny swoje nieodpowiedzialny;

*) Aug. Comte and positivism, str. 13—15. (przyp. aut.).

jeżeli jest zbrodniarzem, nie jego wina, bo musiał zadość uczynić prawu, o którego istnieniu nawet nie słyszał; jeżeli jest cnotliwym, to nie jego zasługa, bo prawo wymagało takiej cyfry czynów moralnych, do których spełnienia on był przeznaczony; słowem, skoro zewnętrzny niejako przymus ciągnie nas po drodze złego lub dobrego, nie możemy być odpowiedzialni za czyny nasze. Jest to zarzut bardzo ważny, gdyby był sprawiedliwy, gdyby się stosował do szkoły pozytywnej. Dla lepszego zrozumienia, o co chodzi, uprośćmy pytanie i tak je sobie postawmy:

Jak pogodzić wolną wolę człowieka ze stałymi prawami rządzącymi społecznością?

Oto uważmy najprzód, że cały świat jest niepoliczonym mnóstwem zjawisk, z których jedne służą drugim za przyczyny, jedne są drugich skutkami i znow przyczynami dalszych skutków. Że taki jest porządek, uczymy się z doświadczenia i nazwyczajenia, i następnie rozmyślając o świecie pojmujemy go jako rządzony najpowszechniejszym prawem przyczynowości. Bez pojęcia przyczynowości niemożliwe byłoby wszelkie myślenie, za czym i filozofia. Wszystko, co jest, miało swoją dostateczną przyczynę, czyli szereg faktów, z których powstały inne fakta. Tak samo i czyny człowieka. Są one skutkiem fizycznej i moralnej natury jego oraz okoliczności, wśród których żyje. Na jedne okoliczności może oddziaływać i modyfikować*) one, innym musi się poddać. Kto zatem uczy, że z danych przyczyn *muszą* wynikać takie a nie inne skutki, jeżeli onych przyczyn nie będziemy chcieli lub mogli zmodyfikować, ten nie jest fatalistą. Fatalista np. powiada sobie: chociaż nie umiem pływać, rzucę się w wodę. Jeżeli mi przeznaczono żyć, nie utonę; jeżeli mam zginąć, to cokolwiek bym robił, nie uchronię się utonięcia. Albo: jeżeli mi przeznaczono niebo, to jakkolwiek bym żył, zawsze dojdę do niego; jeżeli piekło, to niczym się jego nie uchronię. Oto fatalizm zwany w religii predestynacją.

My przeciwnie, utrzymujemy, że z danych przyczyn muszą wynikać pewne skutki, ale jesteśmy też w możności, lub przynajmniej usiłujemy owe przyczyny zmienić lub całkiem usunąć, a tym samym nie dopuścić faktu lub czynu, którego nie chcemy. Jesteśmy tedy odpowiedzialni za nasze czyny. Obok tak pojmowanej woli mogą istnieć stałe prawa rządzące społeczeństwem; choć one nie są *przymusem*, lecz pewną prawidłowością w rozwoju, która tylko wtenczas fatalnie działa, gdy się nie staramy przeciw niej oddziaływać. To nie jest fatalizm azjatycki będący główną przeszkodą w rozwoju tamtejszych ludów: jest to nauka przyczynowości ludzkich czynów. Według niej nie tylko nasze postępowanie, ale i nasz charakter jest wynikiem przynajmniej w części naszej woli. Według niej nie tylko możemy, ale moralnie obowiązani jesteśmy poprawiać nasz charakter. Naprzeciw konieczności wynikającej z naszej natury i otaczających nas okoliczności winniśmy postawić inną konieczność, to jest wytrwałą, energiczną wolę, i tak dopiero dobijać się zwycięstwa nad sobą i światem.

Jeżeli oprócz powyższych zarzutów, mogą być szkole pozytywnej stawione jeszcze inne, dotyczą one bardziej szczegółów opracowania systemu niż fundamentalnych jego podstaw; łatwo więc mogą być usunięte przy dalszym jej rozwoju.

Biblioteka Warszawska 1868.

JULIAN OCHOROWICZ*)

**WSTĘP I POGLĄD OGÓLNY NA FILOZOFIĘ
POZYTYWNA**

(Wyjątki)

...Przez parę tysięcy lat badać prawdy najwyższe i dojść w końcu do uznania własnej bezsilności — to w samej rzeczy rezultat, którego najmniej spodziewali się filozofowie przeszłych wieków.

Badano *istotę* Boga, *istotę* natury i ludzkiego ducha — a historia nas uczy, że Hegel*) tyle wiedział o istocie Boga, co i Platon*), że o naturze, jeśli wiedział więcej, to z pewnością nie zawdzięczał tego samej filozofii, że wreszcie jeśli o istocie ducha mógł mieć jakie takie domysły, to dzięki postępowi fizjologii, który obił się o jego uszy, nie zaś na mocy wysnuwania prawd bezwzględnych z głębi własnego ducha.

Gdyby owo wewnętrzne wysnuwanie prawd miało jakąkolwiek doniosłość, toć przede wszystkim, jeśli o czym, to o samym duchu coś więcej powinniśmy się byli dowiedzieć. Ale niestety, historia nas uczy, że i te prawdy wewnętrzne tylko drogą obserwacji, nie zaś samego rozumowania wykryć jesteśmy w stanie. Psychologia, dopóki była w rękach dialektycznych*) filozofów, ani na krok nie postąpiła i rozwój jej datuje się dopiero od czasu, gdy ją poczęto uważać za naukę empiryczną*)...

Zatem drogę, po której stąpił geniusz Platona i Hegla, rzucamy raz na zawsze — rzucamy, ponieważ nie chcemy chodzić w kółko. Ale odchodząc oddajmy ostatnią cześć wielkim umysłom, które dźwigały bez wytchnienia syzyfowy*) kamień wszechwiedzy. Ludzie ci utrzymywali w ludzkości szlachetny zapał do badań, podnosili myśl badawczą ponad doczesne potrzeby życia, wykształcili nam mowę, rozjaśnili wiele pojęć, wyćwiczyli ducha w walce o najwyższe zasady — zostawili niejedną nieśmiertelną wskazówkę życiową i metodyczną, niejedno wysokie prawo moralne — wreszcie kosztem własnych trudów uchronili nas od nowych błędów.

Przestaniemy tedy rozważać *istotę* ducha, ale nie przestaniemy go wzbogacać.

Nauki spostrzegawcze są dla nas drogowskazem; podczas gdy filozofia oderwawszy się od nich i od życia praktycznego dobrowolnie skazała się na bezpłodność

i jak rzymska westalka podtrzymywała tylko święty ogień, który błyszczał, ale nie rozgrzewał ludzkości — nauki spostrzegawcze postąpiły tak olbrzymim krokiem naprzód, że poczęły osiągać zagadnień, które dotychczas tylko filozofię zajmowały.

Analiza widmowa — mechaniczna teoria sił przyrodzonych — teoria Darwina*) o pochodzeniu gatunków — teoria samorodztwa czyli początku istot organicznych na ziemi — wszystko to są kwestie, sięgające dalej niż dotychczas nauka doświadczalna sięgać była zwykła.

Tak jest, nauki spostrzegawcze podniosły się do wyżyn filozofii — a filozofia zniżyła się do poziomu faktów — i nastąpiło zjednoczenie.

Odtąd — idą ręka w rękę.

Do czasów Comte'a*) filozofia i empiria *zbliżały się* lub *oddalały* wzajemnie, ale zupełne zjednoczenie nie dało się osiągnąć. Historia nauki z jednej, a filozofii z drugiej strony odstawia nam cały szereg takich zbliżeń i oddaleń. Gdy w zbyt dużym oddaleniu się filozofii od empirii, w rozbracie myśli oderwanej od myśli konkretnej, spostrzeżono tę lub ową niedogodność, gdy przekonano się, że myśl odosobniona od wrażeń, które stanowią jej pokarm, słabnie i błąka się bez siły i wyjścia — wówczas zbliżano się do nauk empirycznych. Że jednak trudno jest człowiekowi wyrzec się poglądów, z którymi zrosł się niejako, przeto, nie pozbywając się całkowicie samowolnie powziętych zapatrywań, naciągano je do faktów lub faktu do nich. Rozumie się, że takie postępowanie musiało znów z kolei wywołać opozycję prawdziwych *przyjaciół mądrości**); ale ponieważ najtrudniej jest wykryć przyczynę błędów wtedy, gdy ona w nas samych się znajduje, składano więc winę na zgubny wpływ empirii i znów odrywano filozofię od nauk spostrzegawczych, skierowywano myśl ku niedościgłym sferom ideału — z jednej ostateczności wpadając w drugą.

Szereg takich wahań przetrwał do naszych czasów — ale odchylenia ich zmniejszały się stopniowo. Nie ulega wątpliwości, że Hegel pozytywniejszym był od Platona — a Comte od Arystotelesa*). Ta jedna myśl winna nas pocieszać, ona bowiem jest dla nas gwarancją postępu. Od chwili zjednoczenia filozofii z empirią ruch postępowy musi przeważyć nad wahadłowym i myśl ludzka szybciej pobieży za gwiazdą prawdy.

Kierunek naszej drogi obrany; należy ją tylko bliżej wykreślić.

Od czego zaczynać powinniśmy filozoficzne badania?

Czy od dowiedzenia własnego bytu i bytu ciał otaczających?

Czy od ustalenia pierwszej przyczyny wszechrzeczy?

Czy od rozbioru idei Boga i wpływających z niej konsekwencji?

Czy od rozróżnienia dwu światów, idealnego i realnego?

Nie — ani jedno z tych pytań nie może lub nie potrzebuje być pierwszym zagadnieniem filozofii.

Jakież więc?

Każdą pracę, a więc i pracę filozoficzną, należy rozpoczynać od gruntownego poznania *narzędzi*, którymi posługiwać się zamierzamy. Każda praca jest dochodzeniem do pewnego celu przy pomocy pewnych środków. Środki powinny się stosować do celów; od środków bowiem zależy osiągnięcie celów. Powinniśmy tedy przede wszystkim oznaczyć: *Jaki jest cel i jakimi muszą być środki filozofii?*

Cel filozofii jest podwójny: *teoretyczny i praktyczny*.

Z jednej strony chcemy *poznawać* prawdę, z drugiej *stosować* poznanie nasze do życia.

Na tę drugą stronę kładziemy nacisk, ponieważ o niej mało pamiętano dotychczas.

Rozumieć to, co się zmierzyć daje, czy to zmysłem, czy umysłem — w tym cała nasza duma.

Zastosować w życiu prawdy, które tymi środkami zdobędziemy — w tym cała nasza usilność.

Jednym słowem: rozumieć, co człowiekowi rozumieć wolno, — i żyć tak, jak żyć przystoi człowiekowi — oto nasz cel.

A jakież ku temu środki?

Poznawać rzeczy możemy zmysłami i rozumem. Żadnej innej władzy poznawania nie ma. Bezpośrednie, intuicyjne zgadywanie prawd najwyższych okazało się złudzeniem...

Zmysły dostarczają zjawisk, rozum tworzy z nich pojęcia i złożone z pojęć myśli.

Zjawiska mają odpowiednie sobie nauki spostrzegawcze, których podstawą są zmysły. Pojęcia mają odpowiednie sobie nauki rozumowe, których podstawą jest rozum...

Filozofia pozytywna jest nauką nauk. Z jednej strony czerpie treść swoją z nich wszystkich, z drugiej tę samą treść poddawszy rozwadze, krytyce i wywodom rozumu, sama wytwarza ogólne zasady i wskazówki, które znów za podstawę i narzędzie postępu dla wszystkich innych nauk służyć muszą. I tak: badanie empiryczne różnego rodzaju zjawisk (mechanicznych, fizycznych, chemicznych, fizjologicznych, psychologicznych, filologicznych, historycznych i społecznych) doprowadziło badaczy do przekonania, że pewien dany sposób postępowania przy badaniu łatwiej i pewniej prowadzi do celu, aniżeli pewne inne.

Przekonanie to drogą doświadczenia zdobyte, w filozofii znajduje swe usprawiedliwienie rozumowe — co więcej, znajduje swe rozwiniecie, uzupełnienie i udoskonalenie. Filozof zbierając owoce tysiącznych doświadczeń z różnych działów wiedzy, z różnych miejsc i epok, na podstawie ich porównania, rozbioru i syntezy, dochodzi do wykreślenia pewnych rozumowych prawideł, zasad, przepisów, metod i formuł, które ułatwiają empirycznemu badaczowi orientowanie się w ogromie zjawisk i w beładzie pojedynczych spostrzeżeń, służą mu zarazem za wska-

zówkę do dalszego, łatwiejszego i szybszego postępu w pracy.

Wobec dzisiejszego obszaru wiedzy; wobec tylu odrębnych i wciąż powstających nowych gałęzi nauk, taka czynność uogólniająca, skupiająca, porządkująca i kierująca empiryczną stroną wiedzy, staje się niezbędną. Bez filozofii pozytywnej postęp empirycznych nauk doprowadziłby pojedyncze kierunki badań do zupełnego rozstrzelenia się na wsze strony — do absolutnej specjalizacji — a co gorsza, do zamętu w wyobrażeniach i jednostronności. Filozofia nie dopuszcza takiego rozpraszania się empirycznych zdobyczy, takiego rozprzężenia i takiej jednostronności w nauce. Lecz ażeby godnie spełnić wskazane wyżej postannictwo, *filozofia nie powinna ani na chwilę zapominać o nierozzerwalnym życiowym węźle, jaki ją łączy z ogółem nauk spostrzegawczych*, powinna czuwać nad najdrobniejszymi przejawami doświadczalnej wiedzy, nie dając się ani zbyt daleko od nich oddalać — ani też zbyt daleko do nich naciągać...

Tak więc w naszym rozumieniu filozofia jest koroną nauk, ponieważ streszcza i łączy w sobie ostateczne ich zdobycze — ale z drugiej strony jest ich podstawą, ponieważ analizując pojęcia, wykreślając metody, formułuje prawdy zasadnicze, bez których żadne racjonalne, samowiedne badanie obejść się nie może.

Zadanie filozofii polega na teoretycznym uważaniu prawd przez inne nauki na drodze praktycznej zdobytych — i na praktycznym stosowaniu prawd, teoretycznie, rozumowo przez nią samą ustalonych.

Takim jest przedmiot i zakres pozytywizmu w naszym sposobie pojmowania filozofii. Pozytywizm taki wyróżnia się od wszystkich innych systematów — ale wyróżnia się też znacznie od wielu innych, pod tę samą nazwę podciąganych poglądów. My staraliśmy się pojęcie pozytywizmu oczyścić ze wszelkich obcych przymieszek — a z drugiej

strony odebrać mu tę cechę jednostronności i ciasnoty, jaką Comte, Littré*) i inni pozytywści napiętnowali swę pracę. Z jednej strony uprzedzając wyrok nauki i przyjmując hipotezy*) za pewniki przekształcano pozytywizm niemal całkowicie w materializm*) — z drugiej kładąc zbyteczne i zbyt stanowcze granice — odbierano filozofii wszelką nadzieję prawdziwego postępu. My przyjmujemy te granice, ale w formie przestrogi — nie zaś wiecznego „nigdy”. Nie wiemy, jak daleko nauka zająć może, i dlatego właśnie nie przesadzamy przyszłości. Ale z tej też przyczyny, wierząc w postęp, nie pojmujemy takich *systemów skończonych*, jakimi chciały być wszystkie przeszłowiekowe filozofie. Tworzono z nich artystycznie ułożoną całość i przerywano dyskusje. Każdy z owych systemów miał być skończonym wyrazem postępu — zamykał się raz na zawsze, i tylko wybranym mistrz pozwalał przypatrywać się olbrzymim jego rysom, jakby cudownemu obrazowi. Całe zadanie uczniów polegało na tym, żeby *zrozumieć*, co mistrz mógł chcieć powiedzieć wypowiadając jakąś mglistą formułkę. Żaden zaś z mistrzów nie domagał się dyskusji, nie żądał dalszego rozwinięcia, ponieważ miał się za skończonego apostoła wielkich prawd. Gdy który z filozofów nie wykończył swego systemu, gdy nie objął całego obszaru wiedzy, gdy nie odpowiedział na wszystkie najzawilsze zagadnienia ludzkości — robiono mu z tego zarzut.

Dla pozytywisty taki zarzut jest pochwałą, jest gwarancją wartości jego poglądów.

Pozytywizm nie tylko nie chce być systemem skończonym, — ale z góry zapowiada, że nim być nie może. Krag naszej wiedzy rozszerza się z każdą niemal chwilą i jeżeli pole, na którym odbywamy nasze badania, należy ogrodzić barierą. — to tylko dlatego, żeby nie wpaść na bezdroża; ale zamykać ją na zawsze, zamykać drogę, na której zaledwie drogowskazy wytknięto, byłoby to dobrowolnie wyrzekać się nadziei postępu.

Cechą charakterystyczną pozytywizmu, w przeciwstawieniu do wszystkich innych dawnych systemów filozofii, jest to, że o ile tam każde niemal słowo danego systemu nosiło na sobie piętno jednostki, która go stworzyła, — o tyle tu indywidualności jednostek zacierają się prawie całkowicie. Nie ma w pozytywizmie żadnych nietykalnych powag, żadnego dogmatycznego zaufania pewnej jednostce. Każdy przyznaje, że może błędzić, i hipotez, jakie stawia, nie uważa za ostatnie, nieodwołalne słowo nauki. Nic nie wypowiadać bez przytoczenia dowodów — nie wyrokować stanowczo o rzeczach wątpliwych — nie mówić zupełnie o całkiem niedostępnych — oto cała zasada pozytywizmu. Taka prosta! A jednak jakże trudno wiernym jej pozostać. Do krytyki pozytywnej należy sprostowanie takich błędów — każdy pozytywista winien ją przyjąć z wdzięcznością. Nic tu bowiem nie stanowi jego powaga, jego zasługa, jego pewność siebie nawet, na przekór Dekartowi*). Zapatrywania (Milla*), Bain'a*), Littré'go, Spencera*), samego Comte'a nawet, mogą być w wielu punktach zbite, bez żadnego uszczerbku dla filozofii pozytywnej — przeciwnie, krytyka zawsze korzyść przynieść jej musi — i to właśnie stanowi jej siłę. Indywidualność autora znaczy tak mało w filozofii pozytywnej, jak w fizyce, zoologii lub geometrii. Jak błąd matematyka nie przynosi uszczerbku zasadzie poszukiwań matematycznych — tak błąd pozytywisty w niczym nie nadwiera wartości metody pozytywizmu — co więcej, metoda prawdziwie pozytywna wyklucza wszelkie błędy. Kto z nią błędzi — ten daje tylko dowód, że się sprzeniewierzył metodzie. Hegel błędził nie dlatego, że przestał być wiernym metodzie, której służył, lecz dlatego, że metoda, której służył, była błędna. Mill, jeżeli wyrzekł zdanie, na które zgodzić się nie podobna, to dlatego tylko, że przekroczył granice wskazane przez metodę pozytywizmu lub że na chwilę pozwolił sobie powodować się subiektywnym upodobaniem, zapominając o metodzie.

W tym, jak powiadam, leży siła pozytywizmu pojętego tak, jak go tu starałem się przedstawić, — w tym leży jego żywotność będąca warunkiem postępu...

Postęp nauk spostrzegawczych uważamy za niezbędną podstawę postępu filozofii, a postęp filozofii pozytywnej za niezbędny warunek postępu nauk spostrzegawczych.

Wbrew Comte'owi uznajemy w nauce konieczność hipotez, byle tylko stawiano je w odpowiedniej formie, a natomiast potępiamy skłonność do tworzenia systemów skończonych i zamykania dyskusji.

Nie uznajemy bezwzględnie powagi któregokolwiek z filozofów pozytywnych, uważając za konieczne najzupełniejsze, o ile to tylko jest możebnym, wykluczenie indywidualności autora z prac filozoficznych. Zdaniem naszym filozofia wtedy dopiero stanie się prawdziwie pozytywną, gdy każdy bez wyjątku będzie mógł przyłożyć wykrytą przez siebie prawdę do prawd już zdobytych bez naruszenia systemu, lecz przeciwnie, dla wzmocnienia i rozjaśnienia poprzednich.

Głosujemy tym samym za specjalizacją prac filozoficznych.

Broniąc specjalizacji i wyróżniając w teorii stanowczo filozofię od nauk spostrzegawczych — uważamy jednak cba te działy w niezbędnym życiowym z sobą związku.

Pozytywistą nazwiemy każdego, kto w twierdzeniach stanowczych opiera się na dowodach dających się sprawdzić — kto nie wyraża się bezwzględnie o rzeczach wątpliwych — a nie mówi wcale o niedostępnych.

Filozofią zaś pozytywną nazywamy system praw *zjawiskowych*, które rządzą światem, i praw *zasadowych*, które winny kierować czynami.

Pierwszy dział stanowi filozofię pozytywną *teoretyczną*, drugi *praktyczną*.

Warszawa, 1872.

A) WSTĘP OD REDAKCJI

FILOZOFIA I NASZE DZIENNIKARSTWO

(Cykl rozpraw polemicznych)

Pozytywizm stał się u nas kozłem ofiarnym dla zachowawców wszelkich odcieni. On psuje nam młodzież, on wysusza serca, krępuje umysły, poniża czyny. I jeśli w ogóle w naszym „zmaterializowanym” wieku istnieją jeszcze wyrazy mogące wstrząsnąć umysłami, naruszać spokój konserwatystom, rozdrażniać namiętności i wprowadzać w gniew zapalone temperamenty, to pierwszeństwo przed innymi należy się w tym względzie *pozytywizmowi*. Gdzie mowa o pozytywizmie, tam na pewno jedna strona wyrzuca drugiej, że burzy podwaliny społecznej moralności lub cofa prąd postępu z prawej drogi rozwoju. W sporach tych nie chodzi naturalnie o wyjaśnienie kwestyj, o postęp filozofii, lecz o wygadanie się z wzajemnych niechęci. Krytyka sumienna, chociażby surowa czy żartobliwa, ale bez górującej nad innymi intencji sponiewierania osobistości przeciwnika, bez podejrzwania jego zasad moralnych, jego obywatelskich przekonań, należy do prawdziwych osobliwości.

Szczerze mówiąc polemiki *filozoficznej* nie mamy w naszym dziennikarstwie, kłócimy się tylko o to, kto więcej wart, młodzi czy starzy, kto właściwie rozkrzewia skandal itp. W rozbiórce książki, zarzuciwszy autorowi, że książka jego jest podobną do wielu innych, że cytuje za wielu niemieckich, a za mało francuskich autorów, że napisał za treściwie lub za popularnie — właściwych *przekonań* wypowiedzianych w książce nie poruszamy wcale lub, co na jedno wychodzi, potępiamy sumarycznie ze względu na *ton*, który nam się nie podoba.

Wobec takiego stanu rzeczy z niemalą satysfakcją podejmujemy pióro w obronie naszych przekonań, odpowiadając

na wyjątkowo poważny rozbiór zasad pozytywnych¹⁾, zawarty w kilku numerach „Wieków” w recenzji wydanego przez nas, w zbiorze „Biblioteki filozofii pozytywnej”, dzieła H. Taine'a*) „O inteligencji”.

W szeregu artykułów rozjaśniających nasze poglądy nie będziemy krępować swobodnego tonu dyskusji w przekonaniu, że mniej lub więcej lekka forma rozmowy literackiej nie może zadrasnąć osobistości autora recenzji, któremu, przeciwnie, wdzięczni jesteśmy za wprowadzenie polemiki na właściwy grunt przekonań naukowych.

B) JULIAN OCHOROWICZ*)

W KWESTII METODY

(Rozprawa II)

Pan H. S. traktuje pozytywizm jako teorię filozoficzną mogącą otumanić młodzież, ale zbyt dziecinną i powierzchowną dla dojrzałego umysłu. Cóż mianowicie zarzuca autor pozytywizmowi?

Oto przede wszystkim, że „*obraca wniwecz cały świat idei i przyznaje za (?) istotną, pozytywną prawdę jedynie to, co widzimy i słyszymy, co doświadczamy naszymi zmysłami.*”

Zatem: „*pozytywizm obraca wniwecz cały świat idei...*”

Jak to? Więc Mill*) pisząc o logice, Bain*) o etyce, Taine o estetyce, a Spencer*) o wychowaniu „*obracają wniwecz cały świat idei*”? Więc dla tych ludzi nie ma ani prawdy, ani dobra, ani piękna, ani moralności, nie ma idei, nie ma ideałów? Horror! Horror!*) Ale oto przybywa nam

¹⁾ Mowa o recenzji profesora filozofii na Uniwersytecie Warszawskim Henryka Struvego (1840—1912). Recenzja podpisana inicjałami „H. S.”

pociecha: kilkadziesiąt wierszy dalej czytamy: „Nie wiemy, jak długo u nas trwać będzie ten zapal dla *ideałów pozytywizmu*.“

A! Więc jednakże istnieją ideały pozytywizmu. Chwała Bogu! A już gotowiśmy byli sądzić, że zniweczywszy całość, niweczy się i części, że więc po obroceniu w niwecz całego świata idei, i te, które go składały, znikają także. Chwała Bogu, że nie.

Ale idźmy dalej. Czym więcej zgrzeszył pozytywizm?

— Lenistwem. Tak jest, nie chce pracować nad rozjaśnieniem istoty praw przyrodzonych, „zostawia to wszystko przyszłości“ w przekonaniu, że ona to wszystko rozstrzygnie *bez trudu i mozół*, bez metafizycznych*) zaciekań i abstrakcyjnych spekulacji*), na zasadzie samego indukcyjnego*) doświadczenia.“

Tak mówi p. H. S. w imieniu pozytywizmu, a teraz my się odezwijemy w naszym.

Postawmy kwestię jasno:

Co p. H. S. wie o istocie praw przyrodzonych?

Bo nauka nic. Co p. H. S. wie o początku wszechrzeczy, o jej istocie i ostatecznym bezwzględnyim przeznaczeniu? Co mu w tym względzie wyjawily aprioryczne*) zasady „apodyktycznego*) rozumu?“ Najlepszym sposobem dowiedzenia, że pytania te dają się rozstrzygnąć, byłoby podanie własnej odpowiedzi. My uważamy te zagadnienia przy dzisiejszym stanie wiedzy za niedostępne dla umysłu ludzkiego. Ponieważ zaś trzymamy się tej niepraktycznej w życiu zasady, żeby nie mówić o tym, o czym się nie ma pojęcia, przeto o najwewnętrzniejszej istocie odwiecznej substancji*) nie mówimy nic.

Oto nasz pozytywizm.

I gdy nas pytają, czym jest pomarańcza w oderwaniu od kształtu, koloru, smaku i zapachu, wzruszamy ramionami i powiadamy, że o takiej pomarańczy nie słyszeliśmy, zu-

pełnie tak samo jak: o owej absolutnej substancji niezależnej od czasu i przestrzeni.

— A! Więc wierzycie tylko w to, czego dotknąć możecie, odpowie nam szanowny nasz przeciwnik, wierzycie, „że ludzkość kiedyś za pomocą skalpela*) i mikroskopu, za pomocą tabliczki mnożenia i statystyki rozstrzygnie ostatecznie wszystkie zagadki życia i bytu, nad którymi na próżno łamali sobie głowy mędrcom starego i nowego świata.”

Nie słyszeliśmy dotychczas, ażeby którykolwiek z pozytywistów wierzył w coś podobnego. Ale mniejsza o to, powiemy nasze zdania w tej sprawie.

Wierzymy w logikę. Wierzymy, że można dowieść logiczności danego zdania lub jego fałszu bez skalpela, bez mikroskopu, bez statystyki i bez tabliczki mnożenia. Wierzymy, że można rachunkiem obliczyć i wykazać konieczność istnienia planety nie widząc jej. Wierzymy, że można odtworzyć kształt zaginionego zwierzęcia z kilku kości nie znając go. Wierzymy, że można odkryć chemiczny skład słońca bez pakowania go w retortę. Wierzymy, że można przewidzieć liczbę morderstw w danym kraju nie zmagając się z mordercami. Wierzymy, że można znać stopień umysłowości przedhistorycznego człowieka nie pytając go o to...

Ale nie wierzymy, ażeby można z tego wszystkiego razem lub też jakąkolwiek bądź inną drogą dojść do zrozumienia powstania czegoś z nicości — lub też do wyobrażenia sobie rzeczy nie mającej żadnego stosunku z liczbą w ogóle, a przestrzenią i czasem w szczególności. Dlatego to, gdy nam kto prawi o substancji wszechrzeczy, o przemianie siły w materię, o istocie i pochodzeniu praw przyrodzonych i o przyczynach, dla których świat został stworzony, dziwimy się jego wymowie i szczęśliwemu ustrojowi jego apodyktycznego rozumu, ale wyznajemy szczerze, że tego rodzaju *trudy i mokoły* w rozwiązywaniu *takich* zagadek za ciężkie

są dla naszego umysłu, za mało wyraźne, ażeby mogły ogrzać i pokonać nasze pozytywne lenistwo.

Zarzuca nam szanowny nasz przeciwnik, że wybieramy *łatwą* drogę doświadczenia i indukcji, w miejsce owych *trudów* i *mozołów metafizycznych*.

Czy trudniej jest rozmyślać nad czymś przy zamkniętych oczach, aniżeli robić doświadczenia i z indukcji dochodzić do syntezy, stopniowo i powolnie — nie będziemy w tej chwili rozstrzygać.

Zapewne, że trudniej jest objaśnić wewnętrzną istotę ducha, aniżeli wykryć chemiczny skład białka, chociaż i z tym, co prawda, kłopotu nie mało. — Ale duch czy białko, jedno i drugie bada się jak można, i bodaj czy, nie ubliżając nikomu, właśnie owi zaślepieni pozytywiści nie wykryli nam więcej i o białku i o duchu, aniżeli owi bezgraniczni metafizycy?... Że o białku nie nauczył nas nic ani Schelling*) i Hegel*), ani nawet Krauze*) z Ulricim*) i Fichtem*), tego chyba szanowny nasz przeciwnik nie zaprzeczy; — że doświadczenie i dedukcja pozytywistów nauczyły nas czegoś o białku, na to może także zgodzić się zechce. Ale o duchu... Ba! To inna historia, powiecie. Duch nie białko. I to prawda — mówmy jednak otwarcie, jak na ludzi dobrej woli przystało. Co warta psychologia Fichtego lub Hegla? Co zrobił dla psychologii Kant*) lub Schelling? — Zarzucicie nam nieuctwo, gdy odpowiemy: *nic* — mniejsza o to, łatwy to zarzut — nie zrobili nic, bo autor nie wie o tym — wykażcie, że zrobili — posłuchamy. Powiecie, że Spinoza*) znakomicie zbadał ludzkie uczucia, choć był metafizykiem. Święta prawda! Tylko na szczęście z tych jego szacownych badań zostało wszystko, prócz metafizyki. To zaś, co zostało, nie dotyczy wcale istoty ducha i materii, lecz tylko praw rządzących duchem i materią, i zdobyte było nie mocą apodyktycznego rozumu, który doświadczeniem pomiata, lecz właśnie drogą spostrzeżeń i dedukcji.

Na wyłącznej dedukcji*) opierać się mogą tylko nauki czysto formalne, jak matematyka lub logika — ale filozofia,

w ogóle obejmująca treść całego świata, w żaden sposób bez indukcyjnych uogólnień do żadnego *prawa*, do żadnej ogólnej zasady dojść by nie mogła. Tylko już znane prawa mogą dać materiał dla dedukcji sprawdzanej znowu doświadczeniem.

Ale nasz szanowny przeciwnik, chociażby przyznał słusność powyższym zdaniom, powie nam jednak, że badanie najgłębszych tajników bytu opierać się musi na pierwiastku wyższym aniżeli doświadczenie i indukcja, że osiągnąć się da wyłącznie drogą metafizycznego, a więc od całej empirii*) niezależnego rozumowania.

„Każdy empiryk, mówi p. H. S., przekonany jest o istnieniu *praw niezależnie od doświadczenia*; to ostatnie służy, mu *tylko za środek do oznaczania ich treści*, ale nie dla przekonania się, czy w ogóle istnieją w naturze prawa lub czy ich nie ma. Gdyby empiryk wątpił o istnieniu praw w naturze i przyznanie takowych uczynił zawisłym od doświadczenia; gdyby *rozum* nie zmuszał go do *przyznania istnienia praw przed wszelkim doświadczeniem*, natenczas świat przedstawiałby mu się wiecznie w formie chaosu, pomimo wszelkich, nawet najsubtelniejszych doświadczeń.”

Słyszeliśmy o bardzo rozumnych dzieciach, ale o takim dziecku, które by „*przed* wszelkim doświadczeniem przyznawało istnienie praw” jakichkolwiek, nie słyszeliśmy. I dlatego też nie możemy ocenić, o ile zdanie powyższe o niezależnym od doświadczenia poznaniu jest słusznym; przeciwnie, dotychczas wszystkie fakty, jakie znamy, skłaniają nas do wiary w ścisłą zależność doświadczenia i rozumu, i wolimy przytoczyć raczej zdanie prof. H. Struvego, który powyższe nasze poglądy potwierdza wbrew zdaniom p. H. S. prawiącego o bezwzględnych apodyktycznych prawach rozumu niezależnych od wszelkiego doświadczenia.

Oto co mówi o tym przedmiocie profesor H. S.:

„Poglądy opierające się na pojęciu filozofii jako nauki absolutnej, bezwzględnej, która sama przez się, niezależnie

od innych nauk ma nas doprowadzić do zupełnego i uzasadnionego zrozumienia wszechbytu — straciło wszelkie znaczenie w nowszym krytycznym rozwoju filozofii."

"Poznanie jest procesem wyłączającym z wzajemnego działania i ciągłego wzajemnego uzupełniania się wszystkich władz umysłowych człowieka; *dlatego też w żaden sposób nie można rozprawiać o poznaniach czystego rozumu nie zależących od doświadczenia*, ani też o poznaniach doświadczalnych wolnych od wszelkiego wpływu ze strony przyrodzonych skłonności i praw rozumu¹⁾."

Pan H. S. tymczasem mówi dalej:

"Doświadczenie i dedukcja doprowadzają nas zawsze li tylko do prostego zdania, że rzecz ta lub owa tak *jest*, i nie inaczej; że się zawsze przedstawia w ten i w ten sposób i łączy się z tymi lub owymi zjawiskami. Lecz odpowiedź na pytanie, dlaczego rzecz się ma tak a nie inaczej? *Dlaczego istnieje taki a nie inny porządek rzeczy?* Dlaczego nie można przedstawiać sobie świata w innej formie, niż w tej, w jakiej go sobie przedstawiamy? itd., odpowiedź na te pytania nie może być nigdy dana przez doświadczenie, bo dotyka racji bytu, rozumu działającego w świecie, a ten rozum i jego logiczne motywy pojąć możemy wyłącznie przy pomocy naszego rozumu."

Nic nad to słuszniejszego; żadna nauka, najwięcej doświadczalna, nie obejdzie się bez uogólnień i analiz rozumowych, i tym bardziej też nikt nie może być filozofem nie umiając logicznie rozumować i odszukiwać logicznych motywów tam, gdzie empiryczny materiał w chaotycznym napływa nieładzie: Ale...

Dobrze jest wiedzieć, co jest przyczyną ognia i co w ogóle przyczyną nazywamy; ale gdyby ktoś, nie poprzestając na

¹⁾ Otliczitelnyja czerty filosofii. Warszawa 1873 (przyp. autora). Tytuł rosyjskiego dzieła Struvego. Znaczy: „Wyróżniające cechy

tych wiadomościach chciał się jeszcze dowiedzieć: *dla*czego przyczyna jest przyczyną i *dla*czego ogień nie może być zimnym, temu doprawdy nauka satysfakcji dać nie może, ten musi jej szukać w rocznikach egipskich misterii*), w domniemaniach alchemii lub ekstatycznych*) objawieniach Swedenborga*).

Dlaczego istnieje taki, nie zaś inny porządek rzeczy, *dla*czego światem rządzą prawa, nie zaś dowolność i przypadek... Ba! trzeba by pogadać z przedwieczną istotą, żeby się tego dowiedzieć; kto może, niech sobie wyrabia audiencję. Dla nas wystarczy ta wiadomość, że są prawa i że się zmienić nie dadzą.

„Dlaczego nie można przedstawiać sobie świata w innej formie, niż w tej, w jakiej go sobie przedstawiamy?!!”

To mi dopiero pytanie!!

Dlaczego?... Gdyby dziecko zapytało ojca: czemu wół nie może fruwać po niebie? Cóż by odpowiedział?

Gdyby uczeń zapytał nauczyciela: czemu człowieka wyobrażamy zawsze w ludzkiej postaci? coż by odpowiedział? Odpowiedziałby, że uczeń majaczy i że lepiej zrobi pilnując książki...

No... ale jeśli nie dziecko i nie uczeń zadaje podobne pytanie, lecz *filozof, krytyk*.

A! w takim razie trzeba odpowiedzieć filozoficznie, krytycznie. Odpowiadamy więc.

Nie możemy sobie wyobrazić świata w innej formie, niż w tej, w jakiej go sobie wyobrażamy, ponieważ wszystko, co wiemy o świecie, cała nasza wyobraźnia i filozofia, z tego właśnie świata pochodzi, ponieważ najoderwańsze nasze pojęcia powstały z doświadczenia, czy to zewnętrznego czy wewnętrznego, i nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie ani jednej rzeczy, która by nie przypominała nam ziemskiego źródła naszych pojęć. Możemy tylko *mówić* o nieprze-strzennej substancji, o jej bezwzględnych atrybutach*), możemy nawet pisać całe książki o idealno-realnej czy też

duchowo-materialnej istocie duszy, ale ani duchowej materii, ani materialnego ducha wyobrazić sobie nie możemy, bo wrażenia nasze służące za materiał dla najoderwanych wyrobów myśli o niczym podobnym nie uczyły nas.

Tymczasem takie właśnie rozprawianie o rzeczach nie dających się pojąć nazywa się *trudem* i *mozołem* metafizycznym; zaś robienie doświadczeń i badanie indukcyjne, to zabawka, to *przeskakiwanie lekką nogą*.

„Czy to wszystko (mówi autor recenzji) nie bardzo pojętne dla młodocianego umysłu, który przeszkody napotykanne na drodze do swego celu zawsze woli lekką nogą przeskoczyć, niż mozolną pracą usunąć. Naprzód, naprzód! Wołają; gdzie nie można przejść, tam wcale nie idźmy, albo skakajmy.”

Nie wiemy doprawdy, co szanowny autor widzi w tym niewłaściwego: gdzie *nie można* przejść, tam się albo wcale nie idzie albo skacze. Prosta rzecz. Ale czyż nasza w tym wina, że ktoś chodzi tam, gdzie przejść nie może, a skakać nie chce? Po co chodzić? Tyle ze względu na stratę siły i czasu.

A teraz co do samego skakania.

Skakanie — to: „Doświadczenie i indukcja”; zaś: „torowanie dróg spekulacyjnych i *budowanie mostów metafizycznych*”, „to trudna i mozolna praca”. Ha — niech i tak będzie — wybieramy „skakanie”.

P. H. S. tymczasem buduje most... Będziemy cierpliwi, ale poprosimy o bilet wejścia, gdy będzie skończony i gdy p. H. S. pierwszy po nim przejdzie. Jako ludzie pozytywni, obdarzeni instynktem zachowawczym, co prawda obawiamy się nieco, aby się pod nami nie załamał, zanim z wybrzeża doczesności przejdziemy do innobytu...

Stara to historia z tym mostem: budował go jeszcze nieboszczyk Plato*), poprawiali Dekart*) i Spinoza; Kant, jako rozważny Niemiec, dał pokój i na całe gardło wzywał stojących na brzegu, aby się upamiętali i pomnęć na swych

poprzedników, co to jeszcze wieżę Babel stwarzać chcieli, dali pokój mostowi, który nie ma się o co oprzeć. Ale przekonajże tu ludzi upartych, którzy poza przepaścią widzą zbawienie i ziemię obiecaną! Pierwszy Fichte nie usłuchał rady wytrawnego mędrca, co więcej: wymyślił sposób prawdziwie oryginalny. Zamiast budować most zaczął sobie wyobrażać, że już jest na drugiej stronie, mało tego, że nie był gdzie indziej.

Nie chciała „rzecz sama w sobie”*) przyjść do filozofa, poszedł filozof do niej. Cóż z tego, kiedy dostąpić nie podobna. Jak owa rusałka przed Hetmanem ulatuje nad przepaścią i w mgłach się rozplywa wabiąc tylko i wołając:

„Droga do mnie przez te fale”.

Jak dojść? Fichte pałał żądzą zjednoczenia; rozmarzony uczuł, że duch rusałki wstępuje w niego, uczuł, że zaczyna się identyfikować z rzeczą samą w sobie! ja to ona, ona to „ja”! Rzecz sama w sobie zabrała swą ofiarę, — marzyciel wpadł do fali i zatonął!

Pokój mu!

Budujmy mosty! woła idealny realizm, ale na brzegu cisza i pustki. Nikt nie spieszy do pomocy, tylko duch Hegla unosi się nad wodami i wzdycha. I widzi tylko z dala ludzi idących do pracy, do doświadczeń i indukcji.

Niwa 1873, t. IV.

AUTOR NIEZNANY

CZY TO TYLKO MODA!?...

W ostatnich latach społeczeństwo nasze wstąpiło w nową fazę rozwoju umysłowego.

Dawniej ulegając prądowi, któremu dali początek najwięksi nasi poeci i powieściopisarze, zwracało niemal całą swą działalność ku sferze piękna: entuzjazmowało się i ma-

rzyło; lecz nareszcie nastąpił zwrot nowy i zapragnęło wiedzy.

Uznało, że nauka jest koniecznym warunkiem bytu społeczeństw, i z zapałem rzuciło się do dzieł zaznamiających w sposób popularny lub ściśle naukowy z przyrodą i człowiekiem.

Dawniej publiczność kupowała tylko poezje i romanse, dzieci swe zaopatrywała na gwiazdkę w bajeczki ilustrowane, zostawiając książki naukowe dla uczniów i nielicznej garstki pracujących naukowo; dziś zaś kupuje wykłady fizyki, chemii i t.d., traktaty popularne o szczególnych kwestiach, prenumeruje pisma naukowe i utyskuje bardzo nad tym, że nie posiadamy dobrych podręczników dla dzieci do nauki zoologii i botaniki.

Dawniej w pokojach na stolikach znajdowałeś tylko ilustracje krajowe i zagraniczne prenumerowane dla obrazków i powieść mniej więcej nową, często francuską; dziś zaś znajdziesz Buckla*), Darwina*) lub wykłady nauk przyrodniczych. I gdy dawniej przez długi czas wydawcy drukowali tylko utwory beletrystyczne, teraz odważają się wydawać dzieła naukowe, często dość specjalnej treści.

Nawet ilustrowane pisma poświęcone głównie beletryście ulegając ogólnemu prądowi uznały za stosowne uwzględnić stronę naukową. Jednym słowem, wszyscy, z małym wyjątkiem tych, co nie wiedzą, co to jest nauka, rzucili się do książek i artykułów rozszerzających zakres wiedzy.

Każdy człowiek umiejący się wznieść ponad prąd życia powszedniego i interesujący się losami społeczeństwa niezmiennie się raduje z tego objawu. Słabe tylko głosy ginące wśród tętniącego silnym życiem ogółu śmiały powstawać przeciwko rozwojowi rozumu, wiedzy; mała tylko garstka puszczyków ciemnoty ośmiela się podnosić głos przeciwko nauce, głos znikający bez śladu jak woń zgnilizny wśród

łaki kwieciami usłanej. Wszyscy ludzie z rozumem i sercem, nawet tacy, których usposobienie i koleje życia powołują w szeregi pracowników na polu piękna, — nawet i oni, tak często lekceważący rozum w porównaniu z uczuciem estetycznym, są radzi temu zwrotowi ku nauce, albowiem widzą w nim zwiastuna lepszej przyszłości.

Spółczeństwo bowiem nasze jest bardzo zdolne do przyjmowania i do wyciągania korzyści z nauki. Nawet kilkanaście lat naukowego kształcenia wśród dziesiątków lat zaniedbanego wychowania wydawało świetne rezultaty. Nie potrzeba szukać daleko przykładów. Tadeusz Czacki*) przed niespełna stu laty taką zmianę zaważył w ludziach „choć w części inaczej chowanych” pod wpływem reformy Konarskiego i Komisji edukacyjnej.

„Łagodność obyczajów zastąpiła niedawno doświadczoną pierwiej niesforność i twardość... Kryminalne umniejszały się sprawy, nieczne niedojrzałych prawników słabły zapasy... Rozmiar gruntów, od zgaśnięcia rodu Jagiełłów zapomniane, stał się powszechniejszym... Sprawy graniczne, źródło okropnych zabójstw... przez rozważniejsze granice i dokładniejszy ich opis po większej części już ustały. Odważono się wątpić o tym podaniu, iż tylko sam chłop musi być rolnikiem i że do rolnictwa żadnej nie potrzeba nauki; przekonano się owszem, że ta nauka potrzebuje od innych umiejętności pomocy... Srogie pana z włościanem postępowanie zmniejszyło się. Opinia publiczna już tego karała umniejszeniem szacunku za nieludzkie czyny, którego prawo dotknąć jeszcze nie śmiało... Prawa nasze, urządzenia krajowe, wyroki sądowe i pisma publiczne były owocem posuniętego światła...”

Jeżeli więc wtedy zwrot do oświaty tak ważne wydał skutki, to czyż nie mamy prawa spodziewać się teraz przynajmniej równoważnych? Jeśli wtedy nauka tak wpłynęła na umoralnienie, uporządkowanie stosunków i rozjaśnienie pojęć, to czyżby miała nas teraz zawieść?

A zwrot, który teraz nastąpił w kierunku umysłowości naszego społeczeństwa, jest okresem, a przynajmniej zapowiedzą okresu, dla wywołania którego najwięksi mężowie przeszłości poświęcali wszystkie swe zdolności i siły. Czytając napomnienia dawniej ogółowi dawane upewniamy się, że gdyby Modrzewscy, Kołłataje, Staszycy z grobu powstać mogli, to uradowaliby się z tego, że zarodki przez nich złożone w łonie społeczeństwa zaczynają kiełkować, a zachęcając nas do wytrwania w nowym zwrocie powiedzieliby: *in hoc signo vincetis!**)

Wiedzieli oni dobrze, a my teraz zaczynamy się coraz bardziej o tym przekonywać, że wiedza jest koniecznym warunkiem bytu społeczeństw. Ona je wynosi, a bez niej upadają, i gdy powierzchownie na rzeczy zapatrujący się widzą w historii tylko intrygi i broń, to głębiej nad nią zastanawiający się widzi, że oscylacja*) poziomu szczęścia państw zależy od wzrostu i upadku oświaty oraz praktycznych zastosowań nauki.

„Wszystkie narody, powiada Czacki, nie mogą dojść inną drogą do swego prawdziwego szczęścia, każdy w szczególności człowiek nie może bezpieczniejsz uporządkować swych potrzeb i onym zadość uczynić, tylko za pomocą dobrego oświecenia.”

Lecz czy zwrot teraźniejszy jest naturalnym wynikiem rozwoju naszego społeczeństwa, czy wypływa z rzetelnego przekonania o najniezbędniejszych potrzebach? A może nie jest wcale uznaniem potrzeby nauki, może nie jest zwiastunem lepszej przyszłości, lecz tylko objawem mody?

— To zamięłowanie do nauk, mówił pewien doświadczony księgarz, niedługo minie, tak jak minęła moda do innych działów literatury.

Czyż rzeczywiście tak się stanie? Czy dlatego książki naukowe kupujemy, aby świeciły na biurku lub stoliku imionami Koperników, Darwinów, Helmholtzów?*) Czyż dlatego

je czytamy, co mówię, przerzucamy, żeby w salonie ślepić pustogłowych blaskiem dzierganej wielkimi imionami blagi?

Czyż zwrot do nauk zniknie jak meteor wśród powszechnej ciemności?

Nieraz się już u nas tak zdarzało, lecz wpływały na to potężne wstrząśnienia. Lecz dziś czyż się nie zdołamy oprzeć wszelkim wpływom, czyż doświadczenie nie dodało nam energii, czyż porzucimy naukę, tak jak porzucamy modne ubranie?

Wielu uważa nasz ogół za niedojrzały, wielu zamiłowanie do nauk poczytuje za modę. Za granicą kierunek naukowy bardzo się rozwinął: nauki przyrodnicze zajęły takie stanowisko, że wstydziliby się każdy cudzoziemiec mający pretensję do nazywania się wykształconym, gdyby nie miał choć lekkiego o tych naukach pojęcia. Sława Darwina, Tyndalla*), Helmholtza*) i wielu innych uczonych tak rozgłosną się stała, że wstydziliby się każdy, kto był w szkołach, gdyby nie wiedział, co ci uczeni zrobili. Więc może także tylko dla wstydu społeczeństwo pragnie znać ich prace, może naśladować tylko zagranicę garnie się do nauki? A gdy te wielkie imiona spowszednieją, gdy wielkie odkrycia przestaną zdumiewać, to może ogół zobojętnieje i rzuci się znów do romansów silniej drażniących jego nerwy i bierze nie wegetować będzie w apatycznej *nirwanie**) umysłu!

Nie śmiemy tego przypuścić. Społeczeństwo nasze świetną naukową przeszłością dowodzi, że żywi w swym łonie dążenie do światła; że Kopernik, Śniadeccy i tylu innych wielkich uczonych nie są to anomalie*) wyrosłe na cielemchu poziomego; że może się obudzić z letargicznego marzenia i począć żyć życiem, jakie ludziom przystoi, życiem myśli i czynu.

Zdaje się, że chwila ta teraz nadeszła. Lecz wciąż jak fałszywa nuta brzmi w moich uszach: a może to tylko moda!

Mielizbyśmy więc być zdolni do życia tylko w sferze marzeń, a obcy zupełnie krainie myśli i działania??

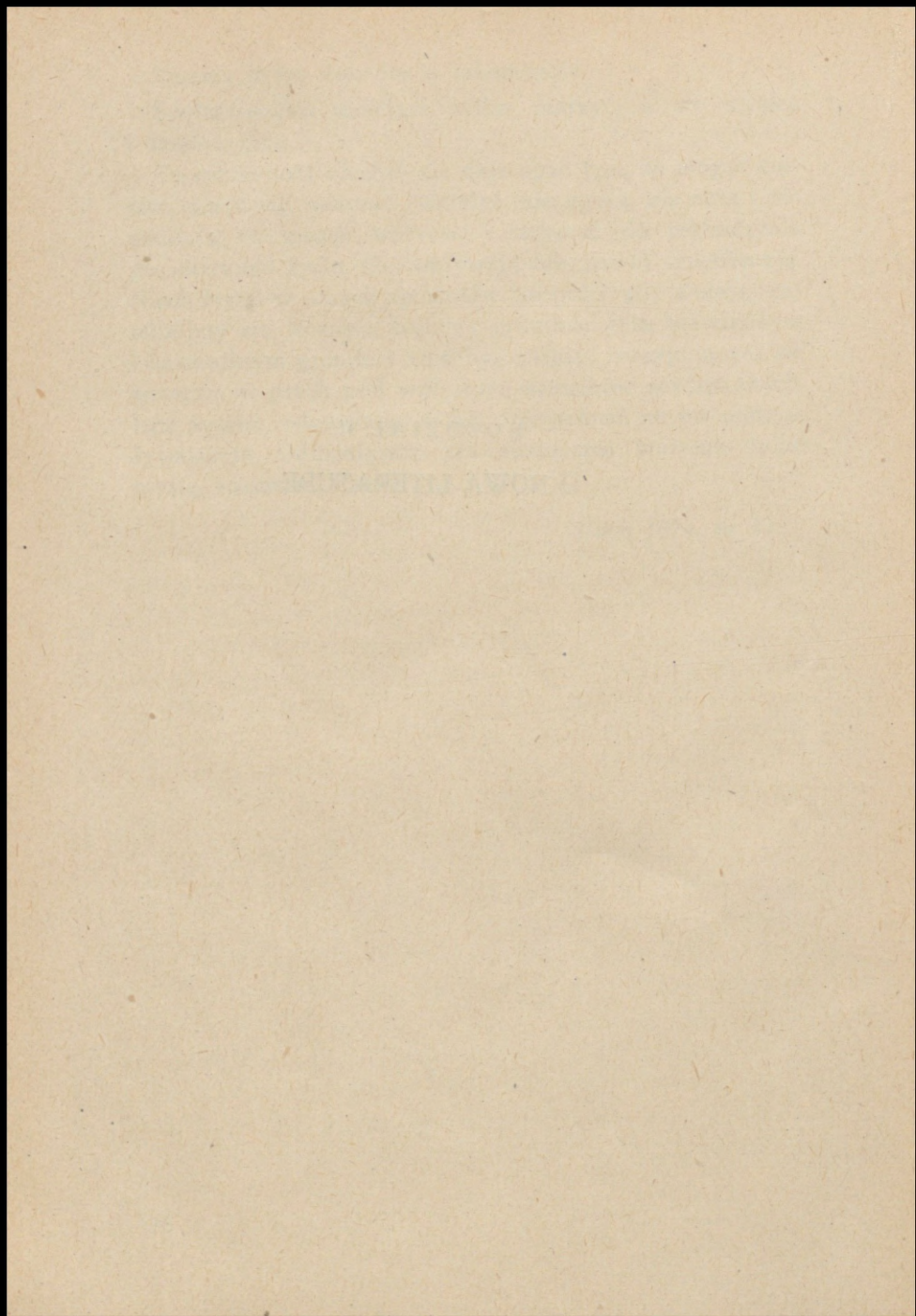
Smutny byłby nasz los w takim razie.

Społeczeństwa umiejące tylko marzyć, a nie myśleć i działać, giną.

To memento*) niechaj nie daje spać tym, co mogąc myśleć, uczyć się, nauczać i działać, nie myślą, nie uczą i nie działają; co mogąc wpływać i zachęcać do rozbudzenia prawdziwego życia, nie wpływają lub nawet zniechęcają. Niech brzmi w uszach apostołów bierności, gdy wołają: zamknijmy się w sobie, bądźmy granitem. Nie bezwładnym i bezmyślnym granitem nam być należy, rozsypującym się wreszcie w proch pod wpływem warunków zewnętrznych, lecz żywym, odnawiającym się organizmem na nie oddziaływającym. Oddziaływać zaś skutecznie możemy tylko myślą, rozumem, nauką.

Niwa 1874, nr 51.

ROZDZIAŁ II
O NOWĄ LITERATURĘ



ADAM WIŚLICKI

GROCH O ŚCIANĘ

Parę słów do całej plejady*) zapoznanych wieszczów
naszych.

„Dawno już temu, kiedym jeszcze odbywał literacki termin, zdarzyło mi się po napisaniu sążnistego poematu zejść do jednej z redakcyj używającej pełnego szacunku zarówno dla swej niczym niezachwianej powagi, jak i dla przestronności skrytek pugilaresu... nakładcy.

Oczekując przybycia redaktora rozpocząłem przegląd najprzeróżniejszych rysunków zdobiących ściany pokoju, a w ich szeregu zajęła przede wszystkim moją uwagę rycina wyobrażająca gremium*) redakcyjne. Na samym środku rysownik pomieścił na dzielnym pegazie*) wieszczego poetę. Promienie biją mu z czoła otoczonego wieńcem lauru, zwitem papieru jak hetmańską wstrząsa buławą. Oto jest urzędowy wieszcz redakcyjny, chluba uznanego parnasu*), duch upojony ambrozją*) niebiańskich sfer poezji! On tworzy powinszowania na Nowy Rok, na dzień Józefów i Marcinów, on do rycin za opłatą sześciu groszy zgrabne dobiera rymy... Jego poezja — to słodka perspektywa uśmiechająca się tym, co nie pragną chodźć w surducie o dziurawych łokciach, co chcą jeść zawsze śniadanie, obiad i kolację... a posiadają dar składania wierszy. Młodzieży górnolotna, zapatruj się na te wzory!

Ta uwaga wstrząsnęła mię głęboko, widoki, że po najdłuższym oczekiwaniu zostanę urzędowym poetą którego z pism, tak mi się uśmiechnęły szyderczo, że mimo ukrytego w zanadrzu poematu, pierwiosnka moich nadziei, nie cze-

kając więcej drapnałem czym prędzej od tego obrazu. W chwili tej pióro moje zostało straskane dla poezji, a plejada zapoznanych lirników zmniejszyła się o jednego kandydata.

Za to przeniewierstwo dwudziestu tysiącom spłodzonych przeze mnie rymów wielki Apollo skazał mnie na czytanie wszystkich wierszy, jakie pomieszczone są w szpaltach literackiej prasy warszawskiej. Mam nadzieję, że policzonym to mi zostanie w przyszłym życiu jako pokuta za grzechy odbyta już na tym padole płaczu. Wiedźcie bowiem, że czytanie wieszczów dzisiejszych nie jest tak rzeczą błahą, jeżeli mianowicie owa żyłka dysekcyjna*), jeśli się staniecie choć trochę krytykami, to jest nieprzyjaciółmi poetów, jak mówi melancholijny Nodier*). Wtedy rozpoczynają się dla was tortury! Ach, ileż to razy odbywałem dantejską wędrówkę po kręgach rymów chcąc się spotkać z myślą..., ileż razy rzewnymi spłakałem się łzami nad sonetem do białej róży, jakże naziąbłem wśród ranków bieгаяc za gwiazdami w sukience utkanej z zorzy... Często kaleczyłem sobie ręce o *Ciernie* — szukając *Kwiatów*, ciężko trwoniłem czas przysłuchując się fletniom wierzbowym i echem igrającego wiatru z dzwonkami w dąbrowie. A los szyderca rozwiewał mi w nicość *Pyłki* lub przesypywał same *Plewy*, gdym się dobadać chciał ziarna.

Ale szczytem mojej męczarni były wieszczce płody pseudonimów i kobiet. Czuli śpiewacy róży, makolągwy i gila — Florianie, Zbigniewie! boskie Safony, Liliany, Wandy, Aniele i Adele!... wy, co karmicie się lazurem i esencją liliową, czemuż musiałem z wami cierpieć?! Przebóg, wy bowiem jesteście uosobionymi ranami, kariatydami*) schyłonymi pod brzemieniem nieszczęścia, źródłami sączącymi łzy milionów! Wasza wielka pierś rozdarła od ramienia po żebra, wasze oczy zapatrzone poza kręgi gwiazd... komety zniszczenia świecą wam nad głową, a buchacie ogniem piekielnych cierpień jak lawą wrzące piersi Wezuwiusza.

Pojmujesz, kochany Czytelniku, ile to trzeba cierpieć, aby wcieliwszy się przeboleć te wszystkie rozpacz, męki, wybuchy tyłu i takich piersi... a w końcu zapytawszy się zimno, czego ci panowie i te panie chcą, czego oni cierpią, otrzymać na to odpowiedź jak w balladzie: ja nie wiem!

Zapasm tedy uwag i bolesnych wrażeń uzbieranych w tej pokutniczej wędrówce podzielimy się z wami, czytelnicy, aby smutna kara zesłana mi przez Apollina, iżem śmiały myśla bunt podnieść przeciwko ugotowanym wieszczom, stała się płodnym ziarnem, z którego by ziele *zastanowienia* rozwinęło swe gałązki w gaju przez wybrańców muzy zamieszkanym.

A teraz idźmy śmiało, wołając słowami Kropiciela:

Kropić! kropić! kropić!...

ORLANDY*) CIERPIENIA

Powstając na cierpienia mniemanych poetów, jako na proste odgrywanie komedii nie tylko przed ludźmi, ale nawet przed sobą, podziwiając ten obłąd, który ich utrzymuje w mniemaniu, iż ludzie drwią z ich łez, nie żywimy wcale zamiaru rozsiewania czysto realnych, a jak chcą poeci, zbrodniczo materialnych przekonań; pragniemy tylko wykazać, w jak wielką popadają śmieszność ci marzyciele, którzy chcą koniecznie wmówić w nas, że cierpią, że są istotami nadziemskimi, pełnymi potęgi pieśni, uczucia, serca i uniesień, co w ich ustach jest czystą facecją*). Czym jest pieśń bez myśli, uczucie bez jasnego widzenia rzeczy, serce bez stałego i niewzruszonego charakteru? A możnaż nazwać potęgą pieśni nabój wyszukanych wyrazów, jakimi często kroć zapoznani geniusze bombardują do twierdzy zdrowego rozsądku zbrojnej w baterie ulane z twardego i niczym nie przebitego sensu? Czyż mamy nazwać uczuciem te okropne frazesy, w których zawsze łąa jest subiektem*), serce obiek-

tem*, a predykatem*) *kapie?*... Zaprawdę, powiadamy wam, natchnieni wieszczce, iż nadto widoczne są sposoby tworzenia waszych fantasmagoryj*), abyśmy jeszcze mogli stanąć wobec nich jako spektatorowie*). Bo i cóż wy potraficie nadzwyczajnego? Potrzeba wam przekleństwa — bierzecie piorun, potrzeba nienawiści, używacie węży, krokodyli, lampartów, gotowi jesteście wszystkie mamalia*), amphibia*), insecta*), a nawet cały układ Cuviera*) wezwać do unicestwienia jednego indywiduum, które po takim zbatożeniu rymami wygląda jak oparzona kura.

Ale jaki powód tego unicestwienia, za co to przekleństwo, co was tak dręczy okrutnie, nad czym taką obfitość łez wylewacie, przyznamy się, że zwykle nie wiemy nic zgoła, a nie wiemy dlatego, iż niepodobieństwem jest wywnioskować cośkolwiek bądź z waszych wielce rozpaczliwych trenów. Zobaczmy to zaraz w ustępach, jak dokumenty mówiących dość głośno, nawet za głośno przeciwko wam. Oto wyjątek z pewnej poezji pomieszczonej w jednym z pism między notatkami o tatuowaniu a wysadzaniem słońców na ląd. Poeta śpiewając (wszyscy bowiem śpiewają) tak mówi:

„Nadzieja powiała błyskiem,
A miłość, wiecznie dręcząca,
O zastygłe piersi trąca!
Precz! — tam skonały już dźwięki
I niemo, głucho i ciemno (?)
A siła nieznanej ręki
Wstrzymała burze nade mną (!!)
Ja chcę spokoju, spoczynku,
Ja nie mam uczuć, krwi, tętna...
Wszystko mi wzięła pamiętna
W zamierzchłych snów upominku.
Ja gardzę, ja klnę, odpycham,
Od złudnych marzeń daleki,
O, nie... ja płaczę i wzdycham,
Ja tęsknię i kocham na wieki.

Kocham? to słowo szalone!
Tęsknię? Ach, czyliżem dziecię?
Pamiętać, co już minione
I czego nie ma na świecie (??)
I tak się łudzić i szaleć,
I chwytać wichrów poświsty,
W mgły nocne pięściami walić!" (!!!) itd.

Wyobraźcie sobie tylko tego młodego wieszczka o zakrzepłych piersiach, któremu niemo, głucho i ciemno, co chce spokoju, a jednak musi kłać, odpychać, tratować, płakać, gardzić i bić pięściami w mgłę (praca nie utrudzająca) i [pamiętać?] to wszystko, czego nie ma na świecie! — To mi rycerz cierpienia i dlaczego? Dla jakiejś tam *pamiętnej*, z którą *w młodym a cieniowym gajku* prowadził ongi rozmowy?!

Inny znowu wieszcz daje taką poezję, zatytułowaną „Łzy dziewczicy”:

„Jakiż to słyszę uroczy szum?
Czy to wtór wicheru do moich dum,
Co na dnie serca spowite leżą,
Nim rozbudzone w pierś mą uderzą,
Wyłyną z łona w potoku słów,
Zlecą ku niebu i wrócą znów
Do tego źródła drogich pamiątek,
Skąd snują wrażeń mych cichy wątek?

Nie, to nie wiatru przeciągły jęk.
To niby pszczołek srebrzysty brzęk
Szmerzy u źródeł, grucha po górach,
Szumi w dąbrowie i tonie w chmurach,
I znów na ziemię aż spoza chmur
Nieziemskich tonów sprowadza chór,
By rzewne jęki z krainy zgonu
Przed Stwórcą wybrzmiał arfą Syjonu.

Takie siał dźwięki mój anioł-stróż,
Gdy śniłam szczęście na wiankach z róż.
Lecz czemuż teraz chwile boleści
Melodia nieba dźwiękiem swym pieści???
O, już odgadłam: to Ojciec mój
Zsyła mi z niebios pociechy zdroj!
Czuję, jak spływa z strumienia brzękiem...
Już się zaręczył z piersi mych jękiem!"

Powiedzcie mi tylko, na Boga, gdzie tu są *lzy dziewicy*
i czemu ten wieszcz *jęczy całą piersią*? Rymują wiersze,
ale sensu nie ma!

Każdy przyzna, że wszelkie przyjemności, w które
brniemy dla zadowolenia chwilowego zaniedbując wyszuka-
nia w nich rzeczywistych stron pożytku, stają się tylko
w mniejszym lub większym zakresie ruiną naszych prawdzi-
wie posilnych konsekwencji, jakie moglibyśmy osiągnąć stu-
diowaniem tej drapieżnej rzeczywistości kaleczącej nas tak
często fizycznie i moralnie. Dla was, panowie natchnieni,
taką przyjemnością — jest marzenie, ta smutna półsenność,
która z was w początkach czyni indywiduum ni do tańca ni
do różańca, następnie miesza kombinacje rzeczywistych
i prawidłowych postrzeżeń, aż w końcu przeradza się w mo-
nomanie*) i z istoty myślącej tworzy ogólne *zdaje mi się*.
Może powiecie: ależ my tworzymy pieśni, układamy rytmi,
dobieramy końcówki; a ja powiadam wam, moi panowie,
że każdy, jeżeli zechce, może pisać wierszem, gdyż słusz-
nie ktoś rzekł: dziś wszyscy ponauczali się wybornie grać
w bezika*), bilord i pisać wiersze. Sposób na to dość prosty,
wyucz się na pamięć jak najwięcej dobrych i niedobrych
wierszydeł, następnie weź pióro i powiedz sobie, że masz
na przykład pisać odę pełną ognia. Nie wiesz, do czego? To
fraszka! Wszak słyszałeś, iż poeci na jakikolwiek przedmiot
spojrzą, gotowi napisać odę. Ty, przypuśćmy rzuciłeś okiem
na śnieg, więc zapal się i pisz — przede wszystkim jednak
poszukaj końcówki; znalazłszy ją myśl przyjdzie sama z sie-

bie, tylko przypadkuj oba rymy tak np.: śnieg. bieg, śniegiem, biegiem... No i cóż, jeszcze nie masz myśli?... a gdyby tak było:

„Dziwnym okoliczności zbiegiem
Upadł deszcz ze śniegiem!”

W podobny sposób wyrobionymi darzycie nas, poeci, wierszami, a każdy z was jest niepojętym, każdy cierpi, nawet i wtenczas, gdy pisze tak wysoko komiczną tragedię, jak Ludgarda*), lub obmyśla upajanie się wiosną... jadąc sankami na pączki; następnie przychodzi na drugi dzień o godzinie siódmej rano do redaktora lub redaktorki i przerywa pierwszemu golenie się, a drugiej mycie, cytując w porę napisany ustęp:

„Spójrz przez zamglone oczy
Na powab wiosny uroczy!...”

kiedy na dworze dmie zawieja śniegu, że psa żal wygonić na ulicę.

A teraz słówko. Wiek dziewiętnasty nie jest wcale wiekiem cierpiących i zachwyconych trubadurów; jego poezję stanowi ciągły postęp, ciągła dążność do zajęcia takiego stanowiska wobec praw przyrody i ludzkości, aby w jak największym zakresie urzeczywistniał dla siebie wszystko, cokolwiek myśl jego podyktuje do wykonania. Inteligencję tego wieku składają jednostki prawie li tylko w specjalnym zawodzie; każdy odczuwa w sobie pewne powołanie, pewne odrębne zdolności, a chwała jego usposobieniu, jeżeli tę jedyną swoją zdolność przede wszystkim doprowadza do wysokiego stopnia doskonałości czerpiąc z ogólnej skarbnicy to, co posłużyć może do jego przedmiotu, bo taki dorzuci ziarno do powszechnego zasiewu, a ono tam wyda tysiące na pożytek ogółu.

Próżno, panowie uniwersaliści*), chcielibyście utrzymywać, że człowiek pracujący specjalnie nad jednym przedmiotem wżywa się w niego i przeistacza w kółko zegarkowe

zapominając rozwijania indywidualnej doskonałości; ale czyż to nie prawdziwa zasługa jako pojedyncze kółko spełniać zadanie w ogólnej harmonii, niżeli zostać pędziwiatrem muskając wszystko po wierzchu, a nigdzie nie przyczyniając się do porządku tej cudownej organizacji, jaką jest społeczność? Spytaście, co za związek ma ten odskok od poetów i poezji do specjalistów i encyklopedystów, ale chciałem wykazać wartość poświęcenia się pojedynczemu przedmiotowi, aby tym sposobem nadmienić wam, panowie natchnieni, iż dla zostania dziś wieszczem trzeba mieć tę niepokonaną żądzę, która się wyrabia przez logiczny sąd o rzeczywistości, żądzę, powiadam, przeprowadzenia jednej myśli, jednej idei, która by jak iskra elektryczna przebiegała fale społeczeństwa i wstrząśnieniem tychże nowe perły wyrzuciła na jego pożytek.

A wy, poeci, cóż tej ludzkości dajecie: wiarę, siłę ideału? czyście służkami pańskimi, co torują nowe drogi? Nie, na takie rzeczy nie macie czasu — wy cierpicie!!!

Przegląd Tygodniowy 1867, nr 49.

PIOTR CHMIEŁOWSKI*)

UTYLITARYZM*) W LITERATURZE

W poprzednim numerze „Niwy” powiedziano, że utylitaryzm jest „wielką społeczną zasadą, która nakazuje człowiekowi być użytecznym *wszędzie i zawsze*”; powszechność jej nie cierpi żadnego wyjątku. Zgodnie z tak wyrażoną myślą chcielibyśmy obecnie roztrząsnąć pytanie, czy i sfera literatury, sfera sztuk pięknych musi być zaprzęgnięta do rydwanu użyteczności, który, jak powiadają przeciwnicy, rozmiażdża wszystkie wyższe natchnienia ludzkości depcąc

po ideałach jak po zwyczajnej zwirowce... Pytanie nadzwyczaj ważne, jeżeli zwrócimy uwagę na wielkie rozpowszechnienie utworów sztuki i literatury, które przenikają do mas, wdzierają się do najbardziej oddalonych zakątków roznosząc zdrowie lub chorobę. Pytanie niemniej ciekawe, gdyż tylu przeróżnych zdań, tylu hałaśliwych wykrzykników, tylu energicznych sądów częstokroć najzupełniej sprzecznych ze sobą, tylu uniesień zarówno pochwalnych jak i potępiających, stawało się i staje dotąd powodem. Warto się więc nad nim zastanowić, a przede wszystkim warto się porozumieć.

Rzadko się zdarza wyraz, który by rzucał kość tak wielkiej niezgody, jak ów właśnie *utilitaryzm*. Zawiera on w sobie pojęcie *użyteczności*. Ale jest użyteczność i użyteczność; każdy ją inaczej rozumie, stosownie do swego wychowania, do swoich potrzeb i wyobrażeń. Na najniższym szczeblu cywilizacji za użyteczne uważa się to, co najpierwsze i najgrubsze zarazem wymagania ciała zaspokaja. Im wyżej społeczeństwo się wznosi, tym bardziej rozszerza się nie tylko zakres, ale i rodzaj jego potrzeb. Dla czerwono-skórnego Indianina cyrkiel jest co najwyżej cackiem, dla wykształconego Europejczyka rzeczą wielkiej wagi, ale i to nie dla każdego; poeta np. (choćby Europejczyk) gardzi nim. Wszystko na tym biednym świecie jest względne.

Użytecznym jest to, co zadość czyni *interesowi osobistemu*, powiadają. Niech i tak będzie. W takim razie każdy ma prawo wymagać zupełnie czego innego. Któż pokombinuje tysiączne, milionowe interesy, jakie jednostka społeczna może mieć do załatwienia? Bożek egoizmu, brutalstwa, materialnych zachcianek rozsiądzie się na ołtarzu dobra ogólnego każąc sobie podawać krwawe ofiary. Gdzie tu sprawiedliwość, gdzie porządek, jaki w gospodarstwie społecznym koniecznie panować musi? Wszystkie szlachetniejsze nabytki zdobyte przez ludzkość w długim lat przeciagu roz-

wiewają się jak mgła; ideały spadają w cenie, nawet tyle nie warte, co murzyni z cukru. Umysłowość nasza obwinęta powrozami nerwów i mięśni nie może już dyszeć... i zawsze nieszczęsna... Iliada, Boska i Nieboska komedia, Pan Tadeusz itp. papierowe sztuczki mogą tylko posłużyć do palenia w piecach biednych umierających z zimna. Nauki abstrakcyjne, wysokie — zaprzęgnięto do pługów, aby uprawiały kamienistą skibę, na której owies się nawet nie rodzi. A w ustroju społecznym? Przecież naszym lęklwym dziennikarzom na samo wspomnienie utylitaryzmu włosy na głowie powstają! A spod pióra wydobywają się ciche napomnienia, przestrogi przed widmem Benthama*)... Doprawdy! aż w głowie się zakręci! Tak: w pojęciach brutalność, w moralności epikureizm*), oto skutki wyznawanego przez was utylitaryzmu — wołają zwolennicy idealnych mrzonek.

Niestety! odpowiadamy, cóż winni zwolennicy utylitaryzmu, że znajdują się ludzie, którzy go nie rozumieją, oddają się brutalnym swoim popędom, których zepsute serce nie zna różnicy pomiędzy szacunkiem a pogardą, że wreszcie Bentham fałszywe wnioski z prawdziwej zasady wprowadził. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły, gdyż zaledwie byśmy długo zatrzymywali uwagę czytelnika na przedmiocie pobocznym tego artykułu, wskażemy więc tylko wszystkim lęklwym logikę Milla*) (księga VI, poz. 8), ażeby się przekonali, że zwolennik utylitaryzmu (jakim jest *par excellence**) John Stuart Mill) niekoniecznie potrzebuje być zwolennikiem Benthama. Użyteczność, utylitaryzm opiera się na *zasadzie moralnej*, która wymaga, ażeby wszystkie czynności nasze zmierzały do jednego celu: do *rozwoju i udoskonalenia*, a w rezultacie do *uszczęśliwienia* najprzód: *danego społeczeństwa*, a następnie i całej *ludkości*. Utylitaryzm nie rozczłonkowuje społeczeństw na pojedyncze jednostki, ale skupia je w całość, każe działać w myśl i dla dobra tej całości. Tak pojmujemy utylitaryzm

i w takim znaczeniu mówić o nim będziemy w zastosowaniu do literatury.

Na pierwszym zaraz wstępie walczyć musimy nie tyle z wyobrażeniami, ile z *wyrażeniami*, które są najczęściej błędne, bezsensowne. Np. istnieje frazes *sztuka dla sztuki*. Co to jest? Gdybyśmy nie znali filozofii Hegla, zmęczilibyśmy się lat tysiąc nie mogąc rozwiązać tej sfinksowej zagadki. Zastosujemy frazes ten do najprostszego wypadku, a nonsens od razu wyjdzie na wierzch. Napisałem np. powieść. Jest to utwór sztuki, a więc on istnieje dla sztuki, to jest sam dla siebie, a zatem czytelników nie potrzebuje. Po co to jemu? On *sam sobie jest celem*. To znaczy: człowiek, istota obdarzona zmysłami i umysłem, rozumem, jako tako wykształcona, *pisze powieść* — po co? ażeby *napisać powieść*. Ublizalibyśmy wszystkim rozsądnym ludziom, którzy choć jedną w życiu swoim napisali powieść, gdybyśmy przypuszczali, że oni tej właśnie przy tworzeniu trzymali się maksymy. Nie! Jest to frazes niedorzeczny, który chce wyrażać myśl, jakkolwiek nie zupełnie prawdziwą, ale choć w części słuszną. Wszystko, czego człowiek dokonywa, dokonywa *dla siebie* lub dla swoich bliźnich, *dla społeczeństwa*. Trudno, żeby temu chciał ktoś zaprzeczyć. Frazes *sztuka dla sztuki* nie może więc wykluczać bynajmniej celu ludzkiego, gdyż inaczej nie podobna byłoby sobie wyobrazić, żeby go wypowiedział człowiek przy zdrowych zmysłach. Cel ten upatrywano w wytworzeniu piękna. Ludzie zapatrując się na nie kształcą w sobie uczucie estetyczne. Jest to zasada w gruncie prawdziwa, potrzebuje tylko bardzo szczegółowych i bardzo ścisłych objaśnień, przez częste bowiem, a po większej części fałszywe powtarzanie stała się z niej istotna przyrodzona barwa, która nadaje jej znaczenie. Jednostronne i niejasne określenia naszych estetyków sprawiły, że nie wiemy już czego żądać od sztuki, od literatury. Jedni powiadają: artysta, poeta, powieściopisarz tworzyć powinien swobodnie; zajmuje go tylko piękno i nie

więcej jak piękno; co jemu do zadań społecznych? Sztuka jest wolną, swobodną; precz z powijkami...! Czy artysta szuka natchnienia w starożytnej Grecji, czy w wiekach średnich, czy na Wschodzie, wszystko to jedno; byle nam przedstawił ideał. My się nim będziemy zachwycali, będziemy się wpatrywali w boskie oblicze ideału, którego artysta jest natchnionym kapłanem, i... będziemy płacili za te urocze ideały. Nauka ostudza zapał konieczny przy tworzeniu, wykoślawia talent, którego blaskowi rozwinąć się nie pozwala. Kto ma w piersi święty ogień natchnienia, (naturalnie zesłany z nieba), ten może sobie żartować z dociekań naukowych. Poproście z łaski swojej uczonego, który zjadł kilkadziesiąt tysięcy tomów, żeby wam napisał powieść. Nie napisze; a jeżeli nawet napisze, to przy czytaniu jej zaśniecie naprzód, nim pierwszą dokończycie stronicę. Dla przykładu dość przytoczyć powieści znakomitych krytyków: *Sainte-Beuve'a**) u Francuzów (*la Volupté*), p. *Tyszyńskiego**) u nas (*Morena*). Nie zawracajcie nam głowy nauką; my jesteśmy wolne dzieci *sztuk wyzwolonych*.

Wy jesteście bałwochwalcami formy, odpowiadają im drudzy, zabijacie ducha dla ciała pomimo całego waszego pozornego idealizmu. Zadowolenie, otumanienie umysłu, rozkosz obłudna — oto wasz cel, wasze zadanie. Nie przykrywajcie się formułkami piękna jak kapturem, spod którego rzucacie ukradkiem spojrzenia na przedmioty zbytku, oszołomienia i rozpusty duchowej. Wy, tacy niby do duchowi, a nie dbacie o myśl, potracacie ją nogą. Ludwиг Filip mówił o *Villemainie**), że wprzód tworzył frazesy, a później dopiero szukał myśli, która by owemu frazesowi odpowiadała. Wieluż to takich *Villemainów* pomiędzy nami!... Pamiętajcie, co powiedział Proudhon*): „Sztuka bardzo prędko upada, jeżeli przestaje zajmować *umysł*, jeżeli staje się dla niego rzeczą małej wagi i zamienia się na przedmiot ciekawości lub rozkoszy!” Jeżeli będziecie nam dawali cacka, bawidełka, to zawczasu gotujcie sobie trumnę. Nam

potrzeba wyrażenia potrzeb społecznych, nam potrzeba gwaru życia, a wy przygotowujecie nam proszki, które by nas najskuteczniej ukołysały do snu. Dość już spaliśmy; teraz musimy się przebudzić i... działać. A jakże dopomóc temu może sztuka, jeżeli zerwie z życiem, z nauką, z przemysłem, z teoriami społecznymi, jeżeli zamknie się szczelnie w obrębie fantazji i stamtąd tylko wyrzucać będzie swe drogocenne skarby? Artysta powinien przed wykonaniem swego dzieła powziąć cel jakiś społeczny: utwór jego powinien mieć *tendencję*. Bez tendencji nie ma dobrego dzieła sztuki; są tylko mniej lub więcej pięknie wyrobione fatałaszk.

W żądaniu tendencji objawia się bardzo wyraźnie duch naszego czasu. Wyraz ten w zastosowaniu do literatury pojawił się u nas przed laty kilkunastu i odtąd coraz głębsze zapuszcza korzenie w przekonaniach tak krytyków z powołania, jak i publiczności. Jest to atoli formułka, zresztą bardzo popularna, poza którą skrywa się dążenie do zarzucenia rutyny, do pozbycia się starych, zwietrzałych pojęć i sposobów działania na społeczeństwo. W roku 1828 pisał Mickiewicz: „Dziwną sprzecznością w literaturze naszej mieliśmy *uczonych poetów* i mówców; ale teoretycy nasi, zaczawszy od gramatyków aż do estetyków, żyli tylko kaskami prawideł wyniesionych ze szkoły, zresztą *ciemni i pełni przesądów z niewiedomością* połączonych”. Dziś czasy się zmieniły. Teoretycy zdobyli sobie wiedzę ciągłą i niezmordowaną pracą; a poeci i powieściopisarze, ufni w swój talent przyrodzony, zaniedbali się kształcić. Nauka, a po części i życie przyniosły inne wyobrażenia, wskazały nowe ideały; a poezja i powieściopisarstwo uparcie trzymają się starych. Jeżeli więc dzisiaj domaga się krytyka, ażeby literatura stała się tendencyjną, chce przez to powiedzieć, że już dawne formy sprzykrzyły się, że nowe pierwiastki życiowe wołają o idealizowanie ich w sztuce; że potrzeby społeczne wzrastają ciągle, a tymczasem w sfe-

rze poezji nie znajdują najmniejszego odgłosu; przebrzmiewają bez echa, skazane na śmierć, nie upamiętnione na przyszłość.

Powstaje tu jednakże pewne nieporozumienie, które najzupełniej fałszuje pojęcie sztuki i jej zadanie w społeczeństwie. Jeżeli bowiem powiemy, że zadaniem sztuki jest uzewnętrzniać piękno, a potem, że sztuka powinna być dźwignią społeczną przeprowadzając w utworach swych jakieś socjalne tendencje, to nasuwać się może myśl, że sztuka ma *cel podwójny*, jeden od drugiego różny. W tym właśnie zamyka się cała omyłka, która wywołuje tysiące sprzeczek i miliony niedorzeczności. Twierdzą np., że utwory tendencyjne grzeszą po większej części brakiem naturalności i istotnego piękna, naciągając bowiem wszystkie charaktery i sytuacje do z góry powziętej tendencji, nie mogą swobodnie obserwować przyrody i pięknie jej przedstawiać. Z takiego sposobu tworzenia, twierdzą dalej, powstają mniej więcej rozsądne traktaty społeczne, ale nigdy arcydzieła sztuki. Że tak bardzo często bywa, nie myślimy się sprzeczać; postaramy się tylko wyjaśnić przyczyny tego stanu rzeczy.

Utwór zależy od twórczego; a twórcy od przyrodzonych usposobień swoich i od otoczenia, w którym żyje. Dotąd artyści i literaci stanowili odrębną klasę w społeczeństwie: mieli swoje zwyczaje, swoje towarzystwo, swój język nawet. Wyróżniali się — i co najważniejsza — *chcieli* się wyróżniać od reszty społeczeństwa, co im nadawało pewną cechę oryginalności, jeżeli nie śmieszności. Niezgrabność, roztargnienie, zamyślenie, pochmurna melancholia lub bachusowa wesołość, brak pojęcia praktycznej strony życia, a stąd niezaradność w interesach materialnych, pewna miękkość charakteru przemieniająca się niekiedy w mazgajstwo, pewna lekkość usposobienia, brak stałych przekonań i zasad; to były główne wady czy zalety, — stosownie od sposobu zapatrywania się osób oceniających, — jakie dostrzec można było w dotychczas-

wych przedstawicielach piękna. Nie mówię tu oczywiście o wyjątkach, które wszędzie znaleźć się muszą; ale o ogóle, o owym ogóle, który stanowi większość. Otóż jeżeli jeden z tej większości natchniony jakąś poważniejszą myślą zamierza puścić się drogą nową, nie uторowaną dotąd; jeżeli chciał w utworze swoim przeprowadzić jakąś tendencję: z konieczności musiał błędzić, rysować szkielety zamiast żywych ciał, fałszować i przekręcać dążenia społeczne, gdyż nie miał najmniejszego we wszystkich tych sprawach doświadczenia; był zupełnie obcy całemu ruchowi naukowemu, przemysłowemu, handlowemu i w ogóle społecznemu. Trudno narysować scenę sądu przysięgłych temu, kto nigdy nic podobnego nie widział, a przynajmniej nie czytał z dokładnego opisu. Nie podobna znać dobrze potrzeby reform społecznych człowiekowi, który żył w ciasnym kółku towarzyskim nie zaprzatając się nigdy naukami społecznymi, nie obserwując życia poza zakresem miłosnych westchnień i przekleństw rozpacz.

Ażeby więc tendencja nie szkodziła utworowi piękna, potrzeba przede wszystkim zaprowadzić reformę w wykształceniu i życiu samych artystów i literatów. Każdy członek danego społeczeństwa powinien przyczyniać się, o ile siły mu starczą, do jego dobra; powinien być *użytecznym*. Im kto wyższy zajmuje lub chce zająć stopień na skali społecznego znaczenia, tym zakres użyteczności jego szerszymi promieniami zakresłać się musi. Kto zaś pragnie zostać przewodnikiem innych niosącym pochodnię oświaty, ten powinien tych innych przekonać, że zdoła im zapewnić jak najobfitszy zapas użyteczności. W każdym innym razie porywanie się do przewodnictwa wyda się śmieszną pretensją dla oświeconych, mistrzostwem dla głupców, wysokim powołaniem dla interesowanych, a najzgubniejszą zachcianką dla dobra ogółu.

Nie chcąc się narazić na taki wypadek artyści i literaci powinni być obywatelami jak wszyscy inni, tj. znać wszystkie cele, do których społeczeństwo zdąża, przejąć się obo-

wiązkami, jakie ono wkłada, i zgodnie dopiero z tymi celami i z tymi obowiązками pomysły swoje w utworach sztuki urzeczywistniać. Oburzyć się tu kto może, że ubocznie zarzucamy nieobywatelskość naszym dotychczasowym pracownikom pióra. Jest to najfałszywszy, a co gorzej, najniegodziwszy wniosek, jaki ze słów powyższych rozdrażniona namietność wyciągnąć by mogła. Nie o to mi idzie. Chcę tylko powiedzieć, że każdy pisarz powinien żyć życiem ogólnym, a nie swoimi osobistymi przypadkami i awanturami; że potrzeba nie tylko czuć, ale i *rozumieć* wszystkie potrzeby, jakie w danym czasie w społeczeństwie powstają; że poza miłosną stroną życia, którą zazwyczaj poeci i powieściopisarze za temat utworów swoich obierają, istnieje sfera cierpień i smutków przewyższających stokrotnie zawody erotyczne, że wymagania czasu, zrozumienie jego ducha nie dadzą się ułatwić wśród beczynnego marzenia, w którym zostawia się swobodny polot wszystkim myślom i wyobrażeniom nie przebijając w nich wcale, nie kategoryzując*) ich.

Wyrobienie stałych, niewzruszonych zasad jest tu pierwszą i najważniejszą rzeczą. Na śmieszność by się wystawił, kto by dziś chciał utrzymywać, że zasady niewiele ważą w utworach piękna. Doprawdy? Wtedy by tak mało należało cenić publiczność, której się przedstawia jakiś obraz z jej życia, żeby powiedzieć jej z prostodusznym uśmiechem: na dziś to dobre; ale jutro przyjdź, zobaczysz zupełnie co innego; wszakże tobie idzie o to tylko, ażeby mile czas przepędzić; mniejsza, kosztem jakich przekonań; bawmy się, dopóki młodość i talent służą...

Mamy te same szkoły, te same instytucje, żyjemy pod tymi samymi prawami; dlaczegoż od innych wymagamy stałych zasad, od których zależy dzielność charakteru; a poetom i powieściopisarzom tak łatwo przebaczamy chwiejność, a nawet sprzeczność najczystsza? Porzucawszy raz mrzonki o nadziemskim rodzie natchnienia powinniśmy zastosować do niego te same wymagania, jakich

žadamy od każdej innej działalności z zakresu handlu, przemysłu itd. Sumienna kontrola myśli na polu publicznej kariery, jak i w książkach, jest podstawą dobrobytu społeczeństwa.

Tymczasem poeci wyrzekają na twarde warunki rzeczywistości, z którymi w wiecznej żyją niezgodzie, a my im przyklaskujemy i pochwalamy dla pięknego wiersza wszystkie te kaprysy, chorobliwe objawy, które w innych ludziach surowo byśmy potępili. Dziwna logika! Życie nasze nie jest rajem, to prawda; ale wszyscy je znosimy starając się zapobiec nadużyciom, zaprowadzić ulepszenia, zreformować zastarzałe instytucje, zamienić utyskiwania na pożyteczną działalność; a poetom pozwalamy swobodnie kwilić jak niemowlętom nie wiedzącym, co zrobić ze swą ręką!...

Porzucicie, panowie, podniebne stropy i zejdzcie na ziemię pomiędzy pracujących i cierpiących, wesołych i smutnych, zadowolonych i zrozpaczonych, stańcie się wieszczami tego, co widzicie i co słyszycie, a głos wasz umili nam godziny biedy, opromieni ciemności... Bądźcie ludźmi takimi, jak my jesteśmy; nie żądajcie dla siebie przywilejów; boście przecież ucywilizowani. Życie społeczne to nie zaścianek; znajdują się w nim materiały do szerokiego poematu, jeżeli go ktoś wyśpiewać jeszcze zdoła, znajdzie się przedmiot do satyry, która da wam sposobność wskazać *istotne* zło ogólne, a nie niezadowolenie indywidualne. Praca, na znajomości, na dokładnej znajomości stosunków oparta, będzie prawdziwie *użyteczna*.

Powieściopisarz i poeta musi znać wszystkie kierunki swojej epoki i być ich wyobrazicielem. W tym jedynie razie można mu przyznać prawo przewodniczenia swemu społeczeństwu. Jakież bowiem rady dać może człowiek, który pogardza rzeczywistością, a w swoim tylko wnętrzu szuka środków do działania na masę?

Działalność jego będzie bezpłodna, a rady śmieszne albo niedorzeczne. Poeta usuwa się od spraw ogólnych albo też

na najgorsze prowadzi je drogi. Zarówno z naszych jak i z dziejów Francji można by tu kilka dla unaocznienia naszych myśli przytoczyć przykładów.

Poeta staje się bufonem*) albo mazgajem, jeśli szczerlnie się zamknie w swojej jaźni*) nie dając posłuchania sprawom obchodzącym resztę obywateli kraju.

Nawoływanie do utylitaryzmu w życiu i w pismach odrywa ludzi od bufonady i mazgajstwa, a prowadzi ku celom nie jednostkowego, ale ogólnego znaczenia. Nie podobna tu nawet mówić o zarzucie, który zacofani idealisci czynią rozpowszechniającym ową naukę, jakoby pozbawiali ludzkość *ideałów*, jakoby poniżali sztukę dając jej za podstawę poziomy *realizm*. Cóż bowiem może przedstawić większy i wspanialszy ideał, jak urzeczywistnienie dobra społeczeństwa?... Na to nie ma odpowiedzi; każdy zgodzić się musi, że w takiej dążności jest najwyższe podniesienie sztuki, a nie jej upadek. Im szersze umysłowość nasza koło zakresli, im rzetelniej je odczuwamy jako obywatele, tym słowo nasze większej nabierze potęgi, tym pewniejsi będziemy, że działalność nasza nie jest dziennym wyrobnictwem, lecz w przyszłość sięgającym zasiewem dobrego, użytecznego ziarna.

Chcąc spełnić to zadanie potrzeba mieć *samowiedzę* swych czynów, to znaczy: znać cele i środki, przyczyny i skutki wszystkiego, co praktycznie przeprowadzić zamierzamy. Mówiliśmy już o tym wymaganiu każdej rozumnej działalności w artykule „Bierność” (nr 14); powtarzać się więc nie będziemy. Literacka działalność, jak każda inna, tym samym podlega warunkom!

Precz więc z *bezsświadomym natchnieniem!* Precz ze wszystkimi głupstwami, które mając poetów wskazywały im łatwą drogę próżniactwa i duchowego ospalstwa. Dopóki umysłowość społeczeństwa obwinęta była w pieluchy, wystarczały jej bajeczki i powiastki o zaczarowanych księżniczkach. Dopóki nauka nie weszła w krew znacznej klasy ludności, teoria nieświadomego tworzenia mogła samo-

władnie panować w estetyce i krytyce. Dzisiaj te czasy minęły. Samowiedza przebudziła się w narodzie, odrzuca więc od siebie wszystko, co jest niewyraźnym bełkotaniem dziecka.

Dzisiaj powiadamy sobie: albo literatura pójdzie ręką w rękę z najdroższymi naszymi interesami, zarówno materialnymi jak duchowymi, albo też pozostanie w tyle, odspiewując litanie nieutulonego żalu i bezmyślnego majaczenia. W pierwszym wypadku przyjmiemy ją do swego towarzystwa i cenić będziemy na równi z innymi użytecznymi produkcjami; w drugim zaś, niech umiera, nam jej nie potrzeba.

My wiemy, co robimy, dokąd dążymy, jakich środków do spełnienia swych celów użyć mamy. Cóż nam po maruderach sprawiających tylko nieporządek, a nie przynoszących żadnej korzyści? Nie zwracajmy na nich uwagi; nawrócą się, zaczną świadomie uczestniczyć w pracy społecznej, albo też poginą. Żal nam tych biedaków; ale cóż robić? Pochód społeczeństwa przerywać się nie może. Nie jest to teoria bezlitosnego gnębienia, ale przyrodzonej duchowej konieczności. „Kto nie pracuje, nie powinien jeść” powiedział św. Paweł, i miał najzupełniejszą słuszość. Marnowanie sił na niedorzeczności jest społeczną zbrodnią. Gdyby się szczerze przejęto tą zasadą, mniej by było bawidełek i świecidełek, a więcej rzeczy użytecznych. Jeżeli bowiem autor zawsze i wszędzie występować będzie jako obywatel, jeżeli biorąc do ręki pióro nie będzie wprzód przemyślał, jakie frazesy najmilej wpadną w ucho czytelnikowi, ale zastanowi się nad treścią swego utworu i zda sobie sumiennie sprawę z celu, do którego ma dążyć, i ze środków, jakie do tego celu doprowadzić mogą, jeżeli wymagania i cele społeczne, nie zaś oklaski bezmyślnego tłumu będą jego przewodnikami, to utwór jego zadowoli zarówno estetyczne poczucia, jak i prawidła myślenia. Idzie tylko o harmonijne zespolenie wszystkich wymagań w jedną całość. Ostatecznie bowiem to, cośmy po-

wiedzieli wyżej, odnosi się do wychowania i wykształcenia literackiego, do urobienia charakteru przedstawicieli piękna; przy samym tworzeniu wszystkie owe czynniki stać się muszą w przedstawianiu takich postaci, w skreślaniu takich sytuacji, które by były jak najżywszym obrazem danej chwili w danym społeczeństwie, albo też chwili analogicznej, podobnej w dziejach tego samego albo innego społeczeństwa. Rozdwojenie artysty tu nie istnieje, wychowanie i wykształcenie popchnęło go już w oznaczonym kierunku; *dzieła jego będą jednolite*; bo odbijać będą myśl jednolitą. Obawa więc, o której poprzednio przy określeniu znaczenia tendencji mówiliśmy, jest najzupełniej płonna: nie ma podstawy w samej definicji utylitaryzmu. Panuje tu jedność; ogólna bowiem zasada zdążania do rozwoju i udoskonalenia społeczeństwa wszystkie różnobarwne promienie działalności autorskiej skupia w jeden promień biały, jasny jak światło słoneczne. Pod sztandar ten wszyscy szlachetni zapisać się muszą; a jeżeli były dotąd spory, nieraz nawet zacięte, pochodziło to z nieporozumienia, co pod wyrażeniem *utylitaryzmu w literaturze* rozumieć należy. Nie mamy nadziei, ażebyśmy artykułem naszym spory te złagodzili, zwłaszcza pomiędzy osobami interesowanymi, które po większej części przekonane aż do oczywistości nie chcą złożyć broni raz podniesionej i wolą się raczej narażić na zarzut niekonsekwencji, aniżeli uznać się za zwyciężonych. Szło nam głównie o czytelników bezstronnych, nieuprzedzonych; chcieliśmy wskazać nasze zapatrywanie się na zadanie i cel poezji i beletrystyki, która z powodu nadmiernego rozpowszechniania, a bardzo wielkiej nieużyteczności, wymaga prędkiej i stanowczej reformy, skąpania w nurcie myśli zdrowych, mogących wlać w jej żyły nowe życie i przemienić ją na istotny czynnik produkcji społecznej, nie wskutek pozoru, nie wskutek szumnych wykrzykników frazeologii, ale wskutek istotnej, prawdziwej użyteczności.

Niwa 1872, nr 18.

LISTY O LITERATURZE

Wiek XIX i tegocześni poeci — List I

(Wnioski końcowe)

Gdy, jak widzieliśmy wyżej, epoce naszej nie brakuje bynajmniej na wzniosłych ideach, na bohaterskich żywotach jednostek i mozolnych dążeniach mas ku ideałom, gdy zatem nie brakuje jej i na żywiołach poetycznych; gdy z innej strony znowu zadanie poezji jako sztuki pięknej mającej uszlachetniać umysły, pocieszać serca i krzepić siły ludzkie, nie ustało dotąd, jak prawdopodobnie nigdy nie ustanie, dlaczego nie posiadamy poetów, którzy by żywioły poetyczne czas nasz przenikające spożytkowali i zadanie kapłanów sztuki godnie pełnili? Czy przyczyną niedostatku tego jest we współczesnym pokoleniu istniejący brak poetycznych talentów? Gdyby tak było, gdyby talenty poetyczne nie istniały pomiędzy nami, całe pisanie to nie posiadałoby przyczyny bytu, co więcej, ośnova jego byłaby całkowicie fałszywą, gdyż tam, gdzie są żywioły poetyczne, muszą też być i poetyczne kierunki umysłów, kędy zaś ludzie z przyrodzonym popędem do poezji rodzić się przestali, tam istnieć przestała poezja. Dwa te bowiem istnienia, ducha poezji i poetów, mają się względem siebie tak, jak przyczyna względem skutku i skutek względem przyczyny.

Talenty poetyczne istnieją bezspornie wśród społeczności naszej we współczesnym nam pokoleniu, dowodem tego są te drobne lecz drogocenne perełki, które od czasu do czasu spadają nam z horyzontu poezji, szczerym uczuciem lub wzniosłą myślą wyróżniając się pomiędzy gładem udających brylanty mydlanych baniek, dowodem tego są nawet

i ci trzej poeci, których utwory powyżej cytowane¹⁾ obudziły niniejsze myśli i uwagi.

Nie do nas należy wyrokować o prawdziwości i stopniu talentu p. Leonarda Sowińskiego. Krytyka i publiczność wydały o nich od dawna wyrok przychylny. Najzupełniej zgadzamy się w tej mierze z krytyką i publicznością, uznajemy w p. Sowińskim poetę utalentowanego, władającego niepospolitą mocą, jędrnością i harmonią słowa. Nie idzie zatem przecież, abyśmy z całym szacunkiem należnym wybornemu tłumaczowi ukraińskich śpiewów Szewczenki*) i twórcy kilku istotnie pięknych, przed laty wyśpiewanych pieśni, zadać nie mieli pytania: dlaczego w lutni jego wszystkie popękały struny, prócz tej, która bardzo harmonijnie... zgrzyta na nutę komunału?*)

Panowie Miron i Gomulicki, jako młodzi ochotnicy w szeregu uprawiających literacką niwę, bardziej podpadają pod sąd swych współczesnych. W drobnych utworach Mirona znajduje się niejeden ton, który jak wszystko co szczere — idzie prosto z serca; niejeden wiersz, który wyblęśły z prawdziwego natchnienia, do rzewnej lub głębokiej zadumy kołysze zewnętrznymi sprawami roztargniony umysł czytelnika. Najwybitniejsze jednak piętna przyrodzonego talentu noszą na sobie utwory p. Gomulickiego. Przypomnijmy sobie parę utworów, pierwsze, jakie się nam na pamięć nawiną: *W zwątpieniu*, *Capriccio*, *Chloe*, *Pytanie bez odpowiedzi* itd. Pierwsza rzecz, jaka uderza nas w tych utworach, jest doskonałe władanie słowem. Jest to rzecz błaha i podrzędna, gdy, jak się to dzieje z wyżej wymienionymi utworami, nie towarzyszy jej podobnież władanie szczerem uczuciem i rozumną myślą. A jednak rzecz ta wymaga, koniecznie wymaga talentu. Ten, kto go nie posiada, sto piór zgryzie, morze atramentu wyleje, wyuczy się na pamięć słownika Lindego*) od pierwszej karty jego do ostatniej, a nigdy przecież tajemnic mowy nie odgadnie,

¹⁾ Mowa o poetach Sowińskim Leonardzie, Mironie i Wiktorze Gomulickim.

harmonii słów nie dosłyszysz, zginie — a w sedno sztuki nie ugodzi. Panowie: Gomulicki, Sowiński, Miron, El...y*) odgadli te tajemnice, dosłyszeli tę harmonię, trafili w sedno mowy naszej i wydobyli zeń źródło słów marmurowych, brylantowych, motyli i słowiczych. A więc pytanie znowu i cały szereg pytań. Dlaczego cudowne formy te tak drobne, tak mało ważące na szalach sztuki i rozumu, tak krótko żyjące w pamięci publicznej, tak obce nam, bezsilne, bezwplywowe?

Zobaczmy, w jaki sposób tegocześni poeci nasi określają sami stanowisko w świecie poezji i poetów, a na pytanie to odpowiedź z łatwością znajdziemy.

„Poezjo” — woła jeden z poetów — „ty klęczysz korna pośród stosu trupów, lży niedoli błyszczą w twoim diademie, a wzrokiem ścigasz pochod Mojżeszowych słupów¹⁾”. „Poezja” — mówi poeta inny — „z ramion krzyża modli się gasnąca²⁾”. „Poeci — wykrzykuje trzeci poeta — my jak lunatycy, wpołsenni nawet w dzień i na ulicy³⁾”.

Poezja tedy „przebywa pośród trupów”, a więc żyjących nie zna i nic o nich nie wie. Poezja przybita do krzyża nie posiada władzy ruchu, a więc świata nie widzi, bo po nim nie chodzi. Poeci — „lunatycy” idą za promieniem księżyca, a gdy w dzień półsenni, z zamkniętymi oczyma chodzą po ulicy, o życiu i sprawach jego rozmawiać muszą jak ślepi o barwach. „Poezja ściga pochod Mojżeszowych słupów”. Ostatniej tej czynności tegoczesnej poezji wcale nie rozumiemy i jakie by ona znaczenie miała, pojąć nie jesteśmy w stanie. Prawdopodobnie też nie ma ona żadnego znaczenia i wymienioną została tylko dla dźwięku i brzęku wiersza, jak się to musi zdarzyć każdemu, kto mówić pięknie umie, ale o czym by mówić miał — nie wie.

¹⁾ p. Sowiński w wierszu pt. „Dział pieśni” (przyp. aut.).

²⁾ p. Gomulicki w wierszu pt. „W zwątpieniu” (przyp. aut.).

³⁾ p. Miron w wierszu pt. „Na dziś” (przyp. aut.).

O czym by mówić mieli, nie wiedzą — w tym jądro kwestii.

Ile razy czytelnik przebiega oczyma poetyczne utwory, o jakich mowa, zachwycą się szczerze pięknnością ich formy, ale zarazem ze smutnym westchnieniem wymawia: gdyby ci ludzie siadając do pisania wiedzieli, o czym pisać mają! Jako przykład tej nieświadomości niech posłuży nam wierszyk p. Gomułckiego pt. *Pytanie bez odpowiedzi*. Pan Gomułcki kocha naturę, jest to widocznym, dopóki tedy śpiewa o jeziorze, księżycu, łabędziach, szmerze liścia i srebrzystych dymach, dopóty śpiewa pięknie, rozumie sam siebie i my go rozumiemy; ale gdy tylko na scenę wstępuje człowiek, gdy mówić wypada o smutkach jego, samotności, o zagadnieniach bytu jego wśród zjawisk otaczającej go natury — nic myśli urywa się, poeta zarzuca na się obłok tajemniczości, przykładą palec do ust i szepce: tajemnic! wszelkie *pytania zostają bez odpowiedzi*, bo poeta odpowiedzieć na nie nie umie, bo począwszy mówić o człowieku nie wie, co ma mówić.

Dzisiejszym poetom naszym nie dostaje dwóch dźwigni: miłości i wiedzy. Mało kochają, bo mało rozumieją; mało rozumieją, bo mało kochają. Jest to błędne koło, w którym druzgotać się, niszczyć i umierać muszą nie tylko talenty, ale i geniusze.

Dlaczego talenty nasze nie rozpręgną tego fatalnego koła, nie stopią go mocą miłości, nie otworzą w nim wrót szerokich na świat potęgą wiedzy? Odpowiedzmy na to znowu wyżej przytoczonymi słowami poetów: poezja kłęczy pośród stosu trupów, poezja na krzyżu modli się gasnąca, poezja ściga pochód Mojżeszowych słupów, poeci jak lunatycy wpołseni chodzą po świecie.

Tak, nie podobna i nie należy zaprzeczać temu, że jeśli tegoczesna poezja złorzeczy dzisiejszemu społeczeństwu, społeczeństwo dzisiejsze z niechęcią i niedowierzaniem, co najmniej z obojętnością, spogląda na tegoczesną poezję. I inaczej być nie może. Wszystkie zjawiska, czy to z za-

kresu pojęć i sztuk, czy z dziedziny instytucji, jeśli tylko zapoznawają zmiany dokonywane się wśród ludzkości, jeśli wpatrzone w to, co było, tracą z oczu to, co jest, nie chcą poznawać i wyrozumiewać tego, co się staje; pozbywają się powagi wszelkiej i użyteczności, biorą rozbrat z uczuciami i potrzebami pokoleń nowych, tracą rację i prawo bytu. Poezja dzisiejsza zapoznaje wszystko, co dzieje się i staje *teraz*, nieprzyjazne stanowisko zabiera względem wszystkiego, co jest przedmiotem miłości, czci, starań, prac dzisiejszej ludzkości, źródłem jej bólów i pociech, jej szczęścia i jej niedoli. Stąd wypływa, że poezja dzisiejsza stała się rezerwoarem zbierającym w siebie wszelkie wyobrażenia, które pomiędzy ludzkością kredyt utraciły, z dziedziny życia zostały wygnane w krainę *zmarłych*. Poezja dzisiejsza jest urną, do której w postaci mętnych łez spływają wykluczane z głów ludzkich przesady. Wtedy gdy ludzkość pracuje nad urzeczywistnieniem idei równości, ona ustanawia i przechowuje ostracyzmy*) nie tylko już kastowe, ale i najróżnorodniejszych odcieni i gatunków. Ostracyzmom tym podlega w dziedzinie poezji mieszczanin, bankier, fabrykant, kupiec, podlegają im szare surduty, fraki, cylindry, maszyny, skalpele*), lokomotywy, podlegają im całe epoki czasu, grupy ludności, krajów i idei.

Wtedy gdy ludzkość rozkochała się w nauce i w niej ujrzała najpewniejszy środek do uszlachetnienia się i uszczęśliwienia, poezja wyklina naukę; z jednaką zajądlnością chłoscze chemię i pedagogię, fizykę, ekonomię społeczną, fizjologię i psychologię. Wtedy gdy ludzkość wszystkimi siłami swymi dąży do obalenia fałszywych wielkości, doktryn*) absolutnych ducha krępujących; poezja zwraca je ku wiekom, w których wielkości te purpurą płaszców królewskich i krwi ludzkiej przyodziane, szumiały i tłumy niewinnych stopami swymi deptały; w których doktryny te rozkazywały ziemi „brzmieć chórem wiary archanielskim“, a ludziom nie myśleć, nie badać, łączyć z wyobrażeniem

Boga smołę piekielną. Obcy duchem dzisiejszej ludzkości poeci nie badają najgłębszej jej istoty, nie badając jej, nie posiadając o niej wiedzy, nie wiedząc o niej nic, nie czują ku niej miłości.

A jednak talent przyrodzony, a może też chęć odznaczenia się, zdobycia oklasków od „taboru ciurów” i lauru, jakkolwiek rodzi on żółędzie, popychają do śpiewania. O czym śpiewać można nie kochając nic, nie wiedząc o niczym? Ktoś, kiedyś, szczerze czy nieszczerze, zadał w róg Jeremiaszowy*). Była to tonika podana poetom, którzy czując popęd do śpiewania nie wiedzieli, o czym śpiewać mają. A tonika ta stała się całą poezją, a poezja stała się jednym wielkim... komunalem.

Tak, dzisiejsza poezja nasza, z wyjątkiem bardzo niewielu i bardzo zresztą niewiele znaczących piosenek, jest niczym więcej, jak tylko pięknymi bardzo słowy przyrodzianym komunalem. Zepsuty wiek XIX, tłusty bankier, sprzedajna niewiasta, niestała kochanka, prozaiczna chemia, bluźniercza ekonomia i ... cóż więcej? nic więcej w poezji naszej nie ma. A tłumy wojujące, zapytasz czytelniku, i tłumy uciskane i miliony jednostek ze wszystkimi uczuciami i myślami swymi, ze wszystkimi tak zmiennymi kolejami swych losów? a ideały cnoty, sprawiedliwości, piękności, miłości, zgody, braterstwa, przebaczenia, które jaśniej nad ludzkością? a otchłanie pokus, krzywdy, występku, zbrodni, zgryzoty i pokuty, otwierające się pod jej stopami? O niczym z tego nie wie tegoczesna poezja, nic z tego nie kocha. Słusznie więc mówimy do poety: O! przestań lunatykiem być i na księżyc patrzeć, nie śpij, lecz czuwaj, i gdy na ulicę grodu wychodzisz lub w ściany domostw wstępujesz, szeroko otwieraj wpółsenne dotąd twe oczy, a ujrzyś krzyże, o które się pytasz, krzyże sieroctwa i niedoli i krzywdy i rozpacz i rezygnacji i bólów serca i wątpliń umysłu i zgryzot sumienia, i ujrzyś te krzyże, a ponieważ dłoń twórcza zapaliła w twej piersi iskrę talentu, zaśpiewasz nam o tych krzyżach coś wielkiego i pię-

knego, a gdy o nich śpiewać będziesz, „pogodzisz się ze światem i z nami i z sobą¹⁾” i „poczujesz wieść życie porządniejszej treści.”

Aby poetyczne talenty wyjść mogły z obłądnego koła, aby wygrzeźły z komunau i ze stanu ubrylantowanej zarodkowości przejść mogły w stan rozwoju i potęgi: trzeba, aby nowożytni poeci sercem i myślą złączyli się z nowożytną ludzkością, aby ją poznali naprzód, pokochali potem; aby zapomnieli o owej postaci, która z rozczochrany włosem, ze zgrzytającymi zębami, w bezładnym odzieniu, z oczyma zaspanymi lub krwią zaszłymi, zjawia się w bajkach piastunek i nosi w nich nazwę poety, aby raz na zawsze przekonani zostali, że poeta rozczochrany, zgrzytający, wiecznie wpółseny lub nieprzytomny szaleńcem porwany — to fikcja, przesada, komunau, a poeta prawdziwy, duch prawdziwie wielki, mądry i twórczy — to rodzony lubo najstarszy brat ludzkości, mistrz jej dumny i zarazem pokorny jej uczeń, natchniony wieszcz i zarazem towarzysz miły i wyrozumiały jej przyjaciel, wychowawca jej i zarazem wychowaniec, a nawet wychowaniec wprzód jak wychowawca, to, słowem, według wspomnianego wyrażenia Byrona, który nim określił jednego ze swych przyjaciół-poetów, to cor cordum, serce serc.

Tak, społeczność dzisiejsza obojętnie znajduje się względem dzisiejszej poezji. Jest to prawda. Wina ta przecież nie po stronie społeczeństwa, lecz po stronie poetów. Fałszem jest bowiem twierdzenie, jakoby nowożytne doktryny zabijały w ludziach poczucie i pragnienie poetyczności. Ani pozytywizm, ani racjonalizm nie stają w sprzeczności z poezją w istotnym, wzniosłym i zarazem rozumnym jej znaczeniu, nie zaprzeczają ideałom przyświecającym drogom ludzkości, ani zrzekają się piękna i miłości, zachwyty i uwielbienia. Zrzeczenia się tego i zaprzeczenia dokonywa jeden li tylko egoistyczny materia-

¹⁾ Miron w wierszu pt. „Na dziś” (przyp. aut.).

lizm życiowy. Materializm ten przecież nie z żadnej naukowej doktryny lub filozoficznego systematu powstaje, ale z przewagi zmysłów nad umysłem ogarniającej pewne jednostki źle przez naturę stworzone lub okolicznościami zewnętrznymi skrzywione i zepsute. Materializm taki istnieje pomiędzy wyznawcami wszelkich szkół naukowych i filozoficznych, tak że dowiedziona jest rzeczą, iż człowiek najzażarciej w mowie lub pismach wojujący za ultramontańskie*) zasady lub wyznający idealistyczne teorie, w żądzach swych i obyczajach najgrubszym być może materialistą. Materializm taki w większej lub mniejszej mierze istniał zawsze, a jednak nie przytłaczał i nie unicestwiał nigdy poezji ani poetycznych duchów, ale owszem, one to umniejszały go i w cieple promieni swych topiły. Materializm życiowy istnieje i dziś, ale poezja nie umniejsza go już i nie topi dlatego, że nie ma w niej ani światła, ani ciepła, które powstać mogą tylko z wiedzy i z miłości. Poezja pozostawszy w tyle za ludzkością, wzięwszy z nią rozbrat, utraciła moc wzruszania, zachwycania i uszlachetniania, bezsilną się stała, bladą, niezrozumiałą i obojętną. I w tym właśnie leży olbrzymia szkoda, jakiej poniesieniem zagrożoną jest ludzkość! Jeśli poeci nie pogodzą się z nowożytnym światem, nie zrozumieją go i nie ukochają, nowożytny świat utraci bardzo ważną etyczną siłę i dźwignię.

Zagrożeni stratą taką, rozumiejący, jaką pustkę utworzy ona w tej skarbnicy, z której ludzkość czerpać powinna zdrowie swe, moc swą i zacność, posiadamy wszelkie prawo zawołać ku nowożytnym według czasu, prastarym wedle ducha poetom naszym: poznajcie nas i ukochajcie, sercem i myślą złączcie się z pracami i cierpieniami naszymi, pomagajcie nam spełnić pierwsze i dźwigać drugie, dla natchnień waszych źródeł szukajcie pomiędzy *nami*, przestańcie śpiewać dla gwiazd i archaniołów, a śpiewajcie dla *naszych* serc i umysłów, niech pieśni wasze brzmią tonami z duchów *naszych* wyjętymi, niech stawia nam

przed oczy ideały, które dla nas są ideałami. Jeżeli zaś widzicie złości jakie i nieprawości, a dla zniszczenia ich ujmujecie w swe dłonie miecz Temidy*) i dla wygwizdania ich przykładacie do ust swych flet bożka Pana*), ojca Satyrów, i dla wyszydzenia ich okrywacie swe głowy czapką błazeńską; bądźcie, jako był ów niemiecki poeta, którego dzwonekami tak chętnie i często, lecz tak nieumiejętnie dzwonicie, a który stał się trefnisiem ludu swego dlatego, aby, jak powiadał, pocieszać go i do męstwa zachęcać, aby w potrzebie najlepszy śmiech swój i całą krew swoją w ofierze mu składać, i śmiejąc się z niego łyzy nad nim ronić, i pod fałdami togi wieszczej jemu, ułomnemu lecz nieszczęśliwemu i uciśnionemu, przynosić berło mocy i koronę światłości.

Wtedy i my także zrozumiemy was i ukochamy, za głosem waszym iść będziemy w światy uwielbieni i ideałów, gwizdzące flety wasze zawstydzają i unicestwiają poczną nasze nieprawości, a dzwonki czapek błazeńskich włożonych na głowy wasze będą nam dźwięczeć w ucho jak przypomnienia piękna i cnoty, a w sercach naszych obudzać dla was wdzięczność i cześć.

Niwa 1873, nr 43—48.

FRANCISZEK KRUPIŃSKI*)

ROMANTYZM I JEGO SKUTKI

Rozdział III

(Wnioski końcowe)

W epoce, gdy kwitła poezja romantyczna, a czasy to jeszcze tak niedawne, popłacała teoria estetyczna, według której piękno ucieleśnione w sztukach pięknych jest samo dla siebie celem, jest jednym ze stopniów, po których się wspinają idea bezwzględna w swej wędrówce do zostania

duchem bezwzględny. Sztuka zatem według takiej teorii ma na celu nie dążenie do uszlachetnienia społeczeństwa, lecz zadośćuczynienie dialektycznemu*) rozwojowi idei bezwzględnej: jeżeli zaś oddziałuje na społeczeństwo, to tylko pośrednio, mimo, że tak powiem, swej woli.

Pod tym względem, tj. co się tyczy pojmowania celu sztuki, dzisiaj zmieniły się nieco pojęcia; coraz mniej o tym mówią, żeby sztuka miała być sobie samej celem: przeciwnie uczą, że cel jej, równie jak nauki, tkwić powinien w podnoszeniu społeczeństwa na wyższe uobyczajenia szczeble. I nie tylko pojęcie o celu sztuki uległo zmianie: zmieniło się też wyobrażenie o jej początku i rodowodzie. Nie mówimy bowiem, że idea bezwzględna zdradza sztukę jako konieczny szczebel swojego rozwoju; lecz że uczucia piękna tkwiące w duszy człowieka na równi z innymi uczuciami, jak niemniej potrzeby społeczeństwa, okoliczności, wśród jakich się rozwija, zdradzają tę lub ową sztukę, że zatem nie może ona stać w odosobnieniu, ale być czynnikiem przykładającym się do rozwoju moralnego społeczności. Przy tak zmienionym pojmowaniu i celu i rodowodu sztuki muszą oczywiście ulec zmianie i sądy nasze o dziełach pięknych. Będziemy się pytali nie tylko o to, czy poeta dobrze lub źle, konsekwentnie lub niekonsekwentnie przeprowadził swoje kreacje; lecz oraz jakie idee go ożywiały, do czego dążył w tych utworach fantazji. Słowem, będzie nam chodziło o zbadanie przewodnich myśli poety, o wywiedzenie się, jak oddziaływał na społecznych.

Pojmując literaturę w ogóle, a poezję w szczególności jako zostające w ścisłym związku ze społeczeństwem, musimy się zapytać, co też ta ostatnia zrobiła na rzecz owego postępu społeczeństwa, który bądź co bądź, powinien być tak dobrze jej, jak i wszelkich prac umysłowych naczelnym zadaniem. Zobaczymy zatem choć pokrótce, o ile romantyzm u nas oddziałał na spełnienie tego zadania.

Ani publiczność, ani poeci nie zechcą zapewne przeczyć, że utwory fantazji, tj. ich dzieła, przeznaczone są do czy-

tania lub wystawiania w teatrach: wszakże dla siebie nikt nie pisze. Ktokolwiek jest ten, co się publicznie odzywa, i bez względu na formę, w jakiej się odzywa, zawsze ma na widoku publiczność; a chcąc być czytany lub słuchany musi albo bawić, albo uczyć, albo razem i jedno i drugie czynić. Słowem, piszący świadomie lub nieświadomie oddziaływa na uczucia, wolę i rozum swoich czytelników. Już zaś dla normalnego rozwoju człowieka potrzeba, by jego uczucia, wola i rozum, o ile można harmonijnie się kształciły i wzajem posiłkowały. Gdy damy wygórować jednemu kosztem drugiego, tj. uczuciu np. nad rozumem, wówczas nastąpi nieład w rozwoju umysłowych zdolności, który koniecznie odbić się musi i w czynach ludzkich. Wprawdzie mówi się pospolicie, że ludzie częściej się rządzą namiętnością niż wyrozumowanymi pojęciami, niemniej jednak zaprzeczyć nie można, by i pojęcia rozpowszechnione drukowanym słowem nie brały udziału i w codziennych i w ważniejszych sprawach ludzkich. Kierunek zatem spraw jakiegoś społeczeństwa zawisł w *pewnej* części od jego literatury w ogóle, a jak w tym razie od literatury pięknej. Nie myślimy twierdzić, że wszystko, co jest lub co było, stało się za sprawą literatury; wiemy, że na jeden czyn, na jedno zdarzenie wpływa tyle przyczyn i okoliczności, iż częstokroć nie podobna od razu rozpoznać, co stanowiło główną przyczynę, a co występowało tylko jako okoliczności pomocnicze w przebiegu pewnego zdarzenia: dość nam jedynie stwierdzić, że literatura brała większy lub mniejszy udział w tych lub owych zdarzeniach.

Zrobiwszy to zastrzeżenie, utrzymujemy, że romantyzm u nas, chociaż oddziałał dodatnio na rozkwit poezji, jednak wpłynął bardzo ujemnie na rozwój nauk i bieg spraw społecznych. A to znów jakim sposobem? Oto najprzód przez nadmierne wyężenie struny uczuciowej, a po wtóre (co już było z pierwszego wynikiem) przez lekceważenie rozumu.

Że uczucie musi być głównym czynnikiem w produkcji poetycznej, tego nikt nie zaprzeczy: chodzi tylko o to, ku czemu owo uczucie będzie skierowane i jakiej skali do sięgnię. Jeżeli uczucie zwraca się ku przedmiotom nikczemnym i pospolitym, oczywiście nie podniesie tonu poetyckiego, i albo się wkrótce wyczerpie, albo przerodzi w okliwą sentymentalność. Takich sentymentalnych poezjek znajduje się w dziełach naszych romantyków pod dostatkiem: jest to studenckie kwilenie przy *bladym blasku* księżyca. Jeżeli znów uczucie skieruje się ku przedmiotom wspaniałym, te poetę natchną wzniosłą myślą i czytelni-kiem wstrząsną lub go do podumania przywiodą. I takich podniosłego nastroju utworów romantycy nasi zostawili tyle, że ich starczy dla paru pokoleń. Ale uczucie będące duszą poezji może być tak wytężone, może tak owładnąć poetą, że reszta władz umysłowych umilknie, rozum przestanie kontrolować działania imaginacji, kreślone obrazy przybiorą formy olbrzymie, fantastyczne, uczucie przejdzie w ekstazę*), na wyrażenie której zabraknie farb odpowied-nich w języku. Będzie to najwyższy romantyczności szczebel, ale też najniebezpieczniejszy dla niej samej — bo w tych sferach uczucie staje się samemu sobie nieprzytomne, musi się niedługo wyczerpać — a oczy zimnego rozsądku prędzej lub później w tych ekstatycznych utworach ujrzą karykatury: I takich karykatur romantyzm nasz niemało natworzył. Mieli więc słuszość romantycy, że się obawiali rozsądku: ma on *zimne nożyce*. Mistrz kazał im mieć tylko serce i patrzeć w serce. Rozum uważał za niebezpieczny, mędrców za niezdolnych do zrozumienia prawd wysokich, bo „ich dusza ciemna jak mogiła”. Uczucie to, spotęgowane do ekstazy, dyktowało poecie te wier-sze powtarzane potem nieraz naiwnie jako coś osobliwego, gdy radził młodości:

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie.”

Uczucie zaczęło łamać to, czego rozum nie mógł złamać, i powiodło najprzód do czynów nierozważnych, a potem zgasło, zostawiwszy ludzi w zwątpieniu i bez przewodnika na dalszy żywot, który przecież z uczuciem nie zgasnął i wlec go musieli wcale nieromantycznie. Na owoce tego wybujałego uczucia trzeba było poczekać pół wieku, ażeby się przekonać, że czego rozum nie złamie, temu młodzieńcze uczucie nie pomoże.

Gdy zatem romantycy zaczęli tak uczuciem szafować, zabrakło go najprzód ich następcom, dzisiejszym epigonom*), do utworzenia czegokolwiek ważniejszego; a po wtóre, drażniąc nieustannie uczuciową stronę społeczeństwa i tak już skłonnego do łez gorących, uczynili je niezdatnym do mierzenia na chłodno rozwijających się dziejowych zdarzeń. Zdarzenia te sądzono kodeksem romantycznym: miano serce i patrzano w serce, i tak się zapałtrono, że niespodzianie okazała się przepaść, wobec której najgorętsza fantazja musiała doznać śmiertelnych dreszczów i zimnym oblać się potem.

Czy to jednak nie za wiele na niekorzyść romantycznej i na wskroś uczuciowej poezji? Może jej być zadaniem kształcenie rozsądku, zbożenie rozumu owocami doświadczenia wiekami nagromadzonymi? Nie sądzimy, żeby poezja potrzebowała się ubierać w biret doktorski, żeby uczyła ludzi ładu panującego w świecie fizycznym i społecznym: trudnią się tym właściwie nauki. Niemniej jednak i poezja bierze pewien udział w dodatnim lub ujemnym kierunku ogólnej cywilizacji. Powinna ona idealizować ludzi i zdarzenia według skali prawdopodobieństwa, nie zaś chimerycznych*), niebywałych i być nie mogących; a tym mniej godzi się jej podsycać wiarę w upiory, czarownice i widma będące płodem ciemnoty. Tymczasem u naszych romantyków co rusz, co wiersz, wyskakuje upiór, duch, straszdyło: nic się nie dzieje przyrodzonym porządkiem, wszystko nadzwyczajne, nieludzkie, gdzieś w chmurach, w otchłaniach. Może to poetyczne, ale co prawda

dobrze dla dzieci, które niańki także upiorami i duchami straszą. Podsycać i tak już zakorzenioną wiarę w guślarstwo, zjawienia, proroctwa delfickie, nie jest to służyć ani sprawie oświecenia rozumu, ani nawet zabawienia wyobraźni, która w naszych czasach, cokolwiek wyleczonych z mistycyzmu, nie może smakować w tym, co utworzyła ciemnota. Pod tym więc względem romantyzm niedobrze usłużył społeczeństwu. Prawda, że uniknąć tego nie mógł, gdyż, jak Brodziński utrzymuje, poezja w ogóle, a romantyczna przeważnie bez mistycyzmu obejść się nie może; przeciwnie, zginąć by bezeń musiała. Lecz choćby to był i konieczny deus ex machina*) romantyzmu, niemniej jednak sprawił zły, a nawet gorszy skutek niż cały Olimp w poezji klasycznej.

Nieład w czynach i myślach będzie zawsze następstwem wygórowanego uczucia, które zechce *łamać to, czego rozum nie złamie*, ślepej wiary także uczuciowej, która *skuteczniej przemawia niż szkiełko i oko mędrca*. Głoszenie podobnych maksym, nawet przy licencji*) poetycznej, musi koniecznie uchodzić za błąd, który prędzej lub później doprowadzi do pogardy nauki i doświadczenia, a mierzenie wszystkiego uczuciem — do egzaltacji prowadzącej za sobą rozczarowanie i zawody. Rozczarowanie i zawody, na które obecnie patrzymy, są w znacznej części rezultatem romantycznej poezji, i rada nierada musi ona przyjąć odpowiedzialność za ten stan usposobienia umysłów.

Ale powiedziano wyżej, że romantyzm u nas ma swoje znakomite zasługi przez ożywienie tradycji i zwrócenie się do poetyzowania przeszłości, przez dotknięcie najsympatyczniejszej, a od klasyków zaniedbanej struny. Co do tego punktu, trzeba się bliżej przyjrzeć tym zasługom i zobaczyć, co one warte.

Przeszłość zamarła w rzeczywistości stała się tym droższą, że jej wskrzesić nie można było. Spostrzeżono się, że stracono skarb, który, jak to często bywa, nauczono się cenić dopiero po stracie. Romantycy zaczęli się rozglądać

w przeszłości: skłonność plemienna ciągnęła ich do przekazania w pieśni klęsk i tryumfów należących już do historii. Znając usposobienie romantyzmu łatwo było przewidzieć, jakie sobie z przeszłości wybierze ideały. Wieków średnich w ścisłym znaczeniu nie mieliśmy u siebie; ale było coś podobnego, coś całkiem romantycznego, i to wtenczas, gdy na Zachodzie dawno już minęły wieki średnie. Mickiewicz twierdził, że prawdziwy romantyzm kwitnął w wiekach średnich: trzeba więc było szukać czegoś analogicznego u siebie. I znaleziono te romantyczne elementy w zajazdach i najazdach, w buńczucznych i zawadiackich personatach*), w rycerskich pożogach i zemście za prywatne urazy szlacheckie. Poeci może tu i nie tyle winni, co okoliczności czasu. Brak było za ich pamięci, a i teraz jeszcze brak bezstronnie zbadanych dziejów swojskich, brak tej rozumnej i sumiennej krytyki historycznej, która by nauczyła ludzi, co z przeszłości cenić należy, a co powinno być napiętnowane ujemnie, a tym samym niezdatne do idealizowania poetycznego. Historycy nasi patrzeli na dzieje swojskie to przez demokratyczne, to przez monarchiczne okulary. Zналиśmy jednego, który się już połączył z ojcami, utrzymującego, że *liberum veto* nie było niczym znów tak strasznym ani tak nagannym, jak nieprzyjaciele wmawiają; inny radował się opisując, jak szlachta rozniosła na szablach dokument w oczach króla, którego syna owym dokumentem za następcę obrać przyrzekła; trzeci znów cieszył się z demokratyzmu tak wcześniej u nas rozwiniętego: u wszystkich zresztą na pierwszym planie tylko szlachta, rębacze i krzykacze, jakby innych warstw w narodzie nie było. Dodajmy do tego paradoks*) dość często powtarzany, że wina za złe nie w nas, lecz w zewnętrznych okolicznościach gdzie indziej leżała, a zrozumiemy, że poeci nie mogli czego innego podnosić i poetyzować, jedno te strony przeszłości, które i historykom najbardziej się podobały. Owszem, dla romantyków były to przedmioty jak najzupełniej do ich smaku przypadające, rycerskie,

przypominające średniowieczny *Faustrecht**). Takie epizody były najponętniejsze i najwłaściwsze w duchu romantyzmu do przedstawienia w eposowych ramach.

Potworzyli zatem nasi romantycy niby epopeje, których tłem społeczeństwo szlacheckie zuchwałe, krnąbrne, nie hamujące praw, mściwe, pyszałkowane; a treścią najazd, z prywatnych i małoważnych pobudek, pożoga, mord, słowem rycerskość. Bohaterami są zwykle: jakiś wojewoda lub starosta brzuchaty, wąsaty, mściwy, zakamieniałego serca; jakiś romantycznie czuły rycerz, jakaś roztkliwiona niewiasta, a wszystko to powleczone tajemniczością także romantyczną. Nie chodzi w tej chwili o to, czy charaktery w tych utworach pół opisowych a pół dramatycznych są utrzymane w konsekwencji z sobą, czy psychologicznie mogą być usprawiedliwione; chodzi o idee przewodnie, o typy wypowiadające te idee lub akcją swoją oneż wyrażające. I pod tym względem uważane, pomysły i wydarzenia wybrane przez romantyków, prawdziwe lub fikcyjne, najwięcej zdaniem moim grzeszą. Klasycy wybierali za przedmiot swoich opowiadań fakta dziejowe mniej lub więcej doniosłe, jakąś wyprawę np. pod Chocim, jakiegoś *bohatera* istotnie wielkiego, np. Czarnieckiego: epopeje ich może nie dorównały *Iliadzie*, ale zawsze przedmioty te nadawały się do kreślenia obrazów wspaniałych, podnoszących czytelnika: a jako pochodzące z lepiej znanych czasów, mogły być podobne do rzeczywistości. Romantycy, przeciwnie, szukali bohaterów swoich przeważnie w czasach mało znanych, ale bardziej po romantycznemu rycerskich, w walkach z Krzyżakami, w okresie, który kronikarze niedołącznie opisali, gdzie więc zostawione było swobodne pole do niesfornej fantazji. Stąd postacie romantycznych bohaterów bez względu na swoją wewnętrzną małość musiały być kreślone niewyraźnie, niepewną ręką, i przez to wychodziły najczęściej mgliste, niepodobne do ludzi, pół widma, a pół koślawe olbrzymy. Było to jednak całkiem zgodne z duchem romantycznym.

Ale te nienaturalne i nieprawdopodobne postacie, ich działania, dialogi i monologi mniej nas tu zajmują; krytyka patrząca na nie ze stanowiska sztuki może im zarzucić wiele artystycznych niedokładności, to jej zadanie: my chcemy jeszcze na jedną stronę romantyzmu zwrócić uwagę.

Romantycy chcieli wskrzesić przeszłość i wybrali z niej to, co najmniej było warte zachowania w pieśni: ujemne strony. Im zdawały się one dodatnie, lecz dalszy rozwój zdarzeń historycznych pokazał, że w istocie były ujemne: zajazdy, burdy, niekarność i ci, co byli ich sprawcami, nie mogą stanowić ideału dla pokolenia, które owoce tych rycerskich nasion zbiera. Romantycy nasi tego nie rozumieli: im się zdawało, że siłą uczucia można zakląć zbutwiałe formy i zbutwiałych ludzi, i powołać ich do życia w zupełnie zmienionych warunkach i okolicznościach. Dzieje ludzkie rozwijają się koniecznym łańcuchem przyczyn i skutków: dla romantyków zaś dzieje były przypadkową gmatwaniną, wśród której nie mogli znaleźć przewodniej nici i chcieli zwracać rzekę do źródła.

Z tego niezrozumienia dziejów ogólnych i swoich wynikł fałszywy pogląd na przeszłość i jej roboty, i równie fałszywy program dla przyszłości. Przeszłość ta wygląda u romantyków jak Chrystus ukrzyżowany, którego to porównania używano często i nadużywano bez potrzeby. Chrystus był niewinny; cierpiał za wszystkich i wszystkich zbawił. A więc... przeszłość była także bez winy i powołana jest do zbawienia rodu ludzkiego. Jak w układzie Ptolomeuszowym*) ziemia była centralnym ciałem, około którego wszystkie inne krążyły; tak romantycy przeszłość zrobili tym słońcem, na które wszelkie zdarzenia powinny być ciężać, osią, około której i dla której cały świat społeczny europejski musiał odbywać swoje obroty. Sofizmaty*) te ubrane w powabne obrazy stanowiły długi czas kodeks do sądzenia społecznych zdarzeń i zasiały najfałszywsze wyobrażenia o przeszłości.

Pod tym względem, tj. pod względem wpływu, jaki romantycy nasi na ocenianie przeszłości i urabianie wyobrażeń o przyszłości wywarli, jeszcze, o ile nam wiadomo, krytyka nie tykała prawie utworów romantycznych. To, co o nich pisano, nosi przeważnie charakter krytyki estetycznej i literackiej. Zostając pod urokiem artystycznym krytyka nie zdała sobie sprawy, o ile i w jakim duchu oddziałał romantyzm na bieg zdarzeń społecznych. Nawiwne, sentymentalne uwielbianie tego wszystkiego, co pisali romantycy, osobiście Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, nie pozwoliło dotychczas wyrobić się krytyce sumiennej i rozumnej, która by zwalała niektóre bałwochwalcze sądy o romantyzmie i pokazała go zarówno z dodatniej jak i z ujemnej strony.

Powiadają, że każdy wiek lub pewien okres czasu ma swoje właściwe dążności, idee, które poruszają umysły i serca, ma swoje ideały, które urzeczywistnić pragnie. Chociaż może nie jest to żadnym prawem, dałoby się jednak z dziejów umysłowego rozwoju okazać, iż w istocie tak bywa. Jakiż tedy ideał, jaki typ stworzył romantyzm, nad którego urzeczywistnieniem miało pracować społeczne mu pokolenie? Typem i ideałem poezji romantycznej jest zapaleniec, fantastyczny marzyciel, na poły bohater, na poły szaleniec, który pragnąłby świat wysadzić z zawias i pchnąć go na nowe tory; który się nie rachuje z rzeczywistością, z faktami; w którego mózgu płaczą się najrozmaitsze i najsprzeczniejsze pojęcia; trochę sceptyk*), trochę idealista, który o sobie i podobnych sobie sprawiedliwie powiada:

„Otóż ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiedłych liści.”

Naśladując Szekspira i Byrona romantyczny bohater powiada na innym miejscu:

„Teraz czas świat młodzieńca zapałem przemierzyć,
I rozwiązać pytanie: żyć? albo-li nie żyć?”

Romantyk, albo co jedno znaczy — bohater romantyzmu ma swoją religię i swoją moralność, swoje wyobrażenia o przeszłości, swój pogląd na teraźniejszość. Jest on mistykiem; gdy chce być głębszym, jest panteistą*) lub sceptykiem. Jest demokratą lub arystokratą stosownie do partii i zasad, w jakich go wychowywano. Bohater romantyzmu jest mieszaniną pod względem charakteru tak nienaturalną, nieprawdopodobną, że gdy go się widzi w czynach lub rozważa jego słowa, trzeba mimo woli powiedzieć sobie: to karykatura człowieka. A jednak był czas, gdy w tej istocie upiorowej podobano sobie, gdy niejedna dusza gorąca chciała zostać choć w miniaturze romantycznym typem. Egzaltacja posunięta prawie do obłąkania zmysłów okazała się być najwyższym szczeblem, na jaki romantyk wstąpiwszy rozwiązał apokaliptycznym*) językiem zagadki bytu i losy narodów. I tym sposobem romantyzm wyhodował marzycieli, którzy z *Irydionem* pod pachą przebudowywali społeczność, rwali się do łamania tego, czego rozum złamać nie mógł. .

Skutków tych romantycznego kierunku nie przewidywali klasycy, którzy przeciw niemu walczyli. Ich zraziło w romantykach odstępianie od prawideł poetyki Horacjuszowej*), prowincjonalizmy lub niegramatyczne zwroty mowy. Sam nawet Śniadecki bił głównie w tę stronę, obawiając się skażenia mowy. Tymczasem, trzeba to przyznać na chwałę romantyków, że język pod ich piórem najmniej ucierpiał. Wprawdzie można sobie było życzyć, żeby „Greczynki nie *piały*, a także i *Czerkieski*“; żeby nie „*piały*“ szumiące lasy“; żeby ludzi nie „pożałowano w biskupy“; żeby „rozziąglone łabędzie“ nie pływały; żeby się „trzody nie *wyperliły*“; żeby się czas nie „*przeterażniejszał*“; żeby mniej było anielic *rozklęczonych*, *rozmodlonych* i *rozanielonych*“; są to jednak drobnostki wobec prześlicznych i cudnym językiem nakreślonych obrazów. Skutki romantyzmu gorzej daleko odbiły się w życiu pokolenia niż w języku. Romantyzm to w znacznej mierze

sprawił, że mierzono siły na zamiary, a nie zamiary po-
dług sił, że rozkołysano uczucie i z pogardą rozumu połą-
czono lekceważenie doświadczenia; że uczuciem chciano
wszystko mierzyć wtenczas, gdy wokoło nas rozum coraz
więcej brał górę nad średniowieczną rycerskością, że po-
wołano do życia czarownice, upiory, widma, prorocтва,
wróżby i całą maszynierę dawno zardzewiałą, by wytrzeź-
wiony z baniałuk umysł cofnąć do wieku dzieciennego.

Tak się przedstawiają skutki romantyzmu wymienione
tu zaledwie w drobnym ułamku. Wiem, że sąd ten powi-
nien by być poparty liczniejszymi dowodami z dzieł sa-
mych romantyków: gdy to jednak przechodzi granice krót-
kiego artykułu, poprzestaję na tym ogólnym wrażeniu, ja-
kie na czytającym sprawiają utwory pierwszorzędných na-
szych romantyków. Kto by chciał utwory te poddać raz
jeszcze krytyce i rozważyć je nie tylko pod względem este-
tycznym jako dzieła sztuki, lecz także pod względem ich
wpływu na kierunek umysłów, uczyniłby istotną przysługę
literaturze naszej, a pośrednio przyczynił się do sprostowa-
wania wielu błędów z dobrą wiarą dotychczas powtarza-
nych.

Historycy literatury naszej stereotypowo*) uczą, że
plody umysłowe należy rozważać w związku z całym ży-
ciem społeczeństwa, przypatrywać się, jak literatura od-
działała na ludzi, jak znów ludzie, zdarzenia, smak i uoby-
czajenie wieku na nią wpływały; ale gdy przyjdzie do
rozwinienia tego zadania, kończą zwykle na kilku wytar-
tych komunałach*) i patetycznym uwielbieniu, na niemym
podziwianiu ubóstwianych wieszczów i wieszczek. Tak się
ma osobliwie z ostatnim okresem literatury naszej. Mniej-
sza o to, czy go nazywać będzie mickiewiczowskim czy ro-
mantycznym. Należy rozważyć, co ten kierunek wniósł do
społeczeństwa, jakie nowe idee, jakie pojęcia, i o ile te
pojęcia zasługują na uznanie lub odrzucenie. Żeby zaś za-
sługi nowego kierunku wystąpiły dobitniej, należy go po-
stawić obok poprzedniego, tj. klasycznego, ażeby ten kon-

trast pozwolił na jasne orzeczenie, co któremu z nich zarzucić, a co podnieść i uznać trzeba. Otóż pod tym względem i artykuły dorywcze i obszerniejsze prace dziejom literatury naszej poświęcone grzeszą dwoma błędami: z jednej strony poniewierają tak zwanymi klasykami, z drugiej bez miary uwielbiają romantyków. A przecież i klasycy byli dalszym ciągiem tego samego historycznego rozwoju, który romantyków powołał do życia, i klasycy stanowili ogniwo w łańcuchu zbiorowej myśli i także przyłożyli niejedną cegielkę do poetycznej świątyni, w której tylko romantykom palą się kadzidła. Klasyków ożywiały dążenia nie z La Harpe'a*) wysnute, ani też romantyków sam Szekspir, Byron lub Bürger*) wychowali: jedni i drudzy dla sławy swoich pracowali; tylko ze zmianą smaku zmieniły się estetyczne wyobrażenia o pięknie, a tym samym utwory ich noszą inne znamiona i stosownie do tych wyobrażeń powinny być oceniane. Nam dzisiaj ani Jowisze, ani uosobione Zemsty, Zazdrości nie przypadają do smaku; rażą nas równie upiory, szaleńcy, wiedźmy i cały ten kram nieokrzesanej, gminnej fantazji. Wszakże poza tą różnorodną maszyną ten sam duch swojski pracował i w klasykach i w romantykach: stanowili oni ogniwa tego łańcucha indywidualnej, plemiennej naszej myśli. Do historyka literatury należy bezstronnie ocenić zasługi i błędy jednych i drugich, chłodno, sine ira et studio*); a do tego trzeba się wytrzeźwić tak z nienawiści do klasyków, jak i z niemego uwielbienia dla romantyków. Jedni i drudzy byli koniecznymi przejawami specjalnej naszej myśli oraz dążeń i ogólnoeuropejskich wyobrażeń.

Ateneum 1876, zeszyt IV.

1. The first part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States. It is argued that a knowledge of the past is essential for a full understanding of the present and for the development of a sound policy for the future. The author points out that the study of history is not merely a collection of facts and dates, but a process of critical thinking and analysis. It is through the study of history that we can learn from the mistakes of the past and avoid them in the future.

2. The second part of the paper discusses the role of the individual in the history of the United States. It is argued that the actions of individuals, particularly those of the founding fathers, have shaped the course of the nation's history. The author points out that the study of the lives of these individuals is essential for a full understanding of the history of the United States. It is through the study of the lives of these individuals that we can learn about the values and ideals that have shaped the nation.

3. The third part of the paper discusses the role of the government in the history of the United States. It is argued that the actions of the government, particularly those of the federal government, have shaped the course of the nation's history. The author points out that the study of the actions of the government is essential for a full understanding of the history of the United States. It is through the study of the actions of the government that we can learn about the values and ideals that have shaped the nation.

4. The fourth part of the paper discusses the role of the people in the history of the United States. It is argued that the actions of the people, particularly those of the common people, have shaped the course of the nation's history. The author points out that the study of the actions of the people is essential for a full understanding of the history of the United States. It is through the study of the actions of the people that we can learn about the values and ideals that have shaped the nation.

5. The fifth part of the paper discusses the role of the future in the history of the United States. It is argued that the actions of the future, particularly those of the future generations, will shape the course of the nation's history. The author points out that the study of the actions of the future is essential for a full understanding of the history of the United States. It is through the study of the actions of the future that we can learn about the values and ideals that have shaped the nation.

ROZDZIAŁ III
W WALCE O POSTĘP

THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI*)

MY I WY

Potop! wykrzykuje z pełnych piersi kronikarz *Tygodnika Ilustrowanego*.

Bacność! woła autor *Pokłosia*.

Gore! ostrzega ktoś inny!

Jest więc coś, co trwoży falangę*) literacką: „*Idą ława*”, mówi pierwszy z tych pisarzów, i plwają na wszystko, nie uznają nic, co było przedtem i co jest poza nimi.”

„Energia skandalu robi coraz śmielsze wyłomy w literaturze”, mówi drugi. „I nie umieją gramatyki”, ze zgrozą dodaje trzeci.

To coś, to straszdyło, ta ława groźna mająca zatrwożyć i zohydzić obecny literacki okres w oczach potomnych — to jesteśmy my, młoda drużyna pisarzów. Teraz więc właśnie jest czas, gdy nas wskazano palcem, określić nasze stanowisko, zdefiniować cel walki, którą pismo nasze wytrwale i ciągle prowadzi lekceważąc sympatie sąsiadów i... rzekomych powag. Dopóki gniew pokrzywdzonych objawiał się bojaźliwymi strzałami zza węgła, dopóty nie wart był ze strony naszej pilniejszej uwagi, ale gdy dziś tenże sam gniew wyraża się coraz częściej pojawiającymi się, choć równie tajemnymi skargami, — zasługuje na uwzględnienie. Nie słuszność tych żalów, nie poczucie własnej winy skłania nas do tych tłumaczeń, ale objawienie faktu wywołanego przez nas, faktu, który bądź co bądź nie jest bez znaczenia. Nie potrzebujemy tego szeroko dowodzić, że tylko zastój, nieruchomość i senność w dziennikarstwie, le-

nistwo lub niedołęstwo w literatach, którzy coraz bardziej mnożącym się potrzebom wysługiwać się nie chcą lub nie mogą, którzy zyskawszy sobie jaki taki kredyt u ogółu zapomnieli o wypłacie mu najkonieczniejszych długów, że, mówię, to jedynie pobudziło nas do zajęcia innego stanowiska, do czynnych i energicznych wystąpień. Ci wszyscy, którzy w naszym postępowaniu widzą tylko nie znającą swych sił i celów młodość, a jeszcze bardziej ci, którzy umieją czytać *po między linijkami* zawiść i nienawiść prywatną, ci wszyscy podobni są do owych furmanów żydowskich, którzy sądzą, że na to tylko wynaleziona została kolej, ażeby im dokuczyć. Większa część piszących, a z nimi całe stronnictwo, któremu przewodniczą wszelkie starcia się zdań, wszelkie wyrażenia odmiennych opinii, działania w imię idei nie objętej ramami tradycji i wybierającej poza sferę pojęć utartych, przeżywanych przez kilkadziesiąt lub kilkaset osobistości zakwestionowanej siły umysłowej, większa część, mówię, najzacniejsze porywy śmiałej myśli sprowadza zawsze do jednego mianownika — rozdrażnień osobistych. Wykazywaliśmy już bezlogiczność podobnego zarzutu, — nie powtarzając się więc idźmy dalej i zsumujmy w tej chwili cały szereg napaści na nas i odpowiedzmy na nie kolejną głównych punktów obwinienia. Odpowiedź nasza zamykać się będzie w granicach pytania, kto jesteśmy *my*, a kto jeszcze *wy*, wielcy, zacni, uczeni, poważni, krzywdzeni i prześladowani? *My* jesteśmy młodzi, nieliczni, nie rządzący się widokami materialnych korzyści, uwolnieni z obowiązku hołdowania pewnym stosunkom i znajomościom; wypowiadamy swoje przekonania otwarcie, nie lękamy się sądu i kontroli, pragniemy ją rozciągnąć na wszystkich, pragniemy: pracy i nauki w społeczeństwie, pragniemy wywołać siły nowe, zużytkować istniejące, skierować uwagę przed, a nie poza siebie, — oto nasze wady. Wy jesteście starzy, liczni, krępowani między sobą tysiącem niewidzialnych nici, skradacie się za swoimi zasadami nieśmiało, żądacie w literaturze spokoju,

nieruchomości, każecie wszystkim patrzeć w przeszłość, szanować nawet jej błędy, chcecie, ażeby was tak jak senatorów rzymskich była zawsze jedna tylko liczba, ażeby was nikt nie sądził, nikt o nic się nie upominał, — oto wasza zasługa. Czy idąc tak odmiennymi drogami możemy się spotkać kiedykolwiek i uszanować wzajemnie swoje cele? Nigdy! Wiemy to — między naszymi obozami popalone mosty, pozrywane groble. Zarzucacie nam, że gardzimy wszystkim, co się przed nami stało, że nie jesteśmy sprawiedliwi dla zasług starszego pokolenia. Kłamstwo — ufundowane na tym, że nie jesteśmy zapalczywymi tych zasług czcicielami. Nie przeczymy, że każdy miał swój czas, w którym coś pożytecznego zrobił, ale czyż to nadaje mu prawo słusznego żądania od innych, ażeby cały swój czas poświęcali rozpamiętywaniu jego czynów — jako ośłodę jego ostatnich chwil życia. Wdzięczność i szacunek dla poprzedników w sferze pracy umysłowej nie jest wdzięcznością syna dla dobrego ojca. Postęp biegnie tak szybko, obowiązki jednostek tak wielkie, że ci, co wstąpili później do wielkiej pracowni ducha, zaledwie czas mają obejrzeć się na tych, co przed nimi byli. A cóż dopiero, gdy starsi zasmakowawszy w korzyściach swego wpływu na społeczeństwo, który już zaczyna być zgubnym, nie chcą oddać cugli młodszemu przybywającemu ze świeżością sił i lepszym pojęciem potrzeb? Cóż powiedzieć, gdy starsi zamiast usunąć się z pola, na którym już nic zrobić nie mogą, stoją na nim upornie, opóźniając postęp przekonań i wlewając w społeczeństwo tę martwość, która im już tylko z całego życia pozostała? Naturalnie, wtedy wywołują oni nie tylko opór, ale nawet potępiające sądy o swej działalności, której w porę nie umieli przerwać. Szkody, które robią przy końcu swego zawodu, każą nieraz zapominać o dobrodziejstwach przy jego początku. W życiu społeczeństw są zawsze pewne chwile, w których pokolenia jak warta zmieniają się nawzajem. Szczęśliwy ogół, około którego straż zmienia się regularnie, nieszczęśliwy i źle strze-

zony, gdy starych i znużonych długim czuwaniem gwardzistów nie zastępują nowi. W obowiązkach ludzi, którzy stanęli do przewodniczenia drugim, leży nie tylko powinność spełniania swej władzy sumiennie, ale także złożenia jej w porę. Każdy organizm ma swoją chwilę, od której przestaje być czynnym.

Wy wszyscy, którym już tylko siwizna i zmarszczki pozostały na obronę zdań własnych, pamiętajcież na Boga, że i słońce ma swoje południe. Czyż chcecie swój zachód przeciągnąć dlatego, ażeby wschód jak najpóźniej nastąpił? Czyż jeszcze będziecie się upominać o to, że niesprawiedliwie potępiamy was? Czyż kiedy wy, jako ludzie rozważni, doświadczeni, chłodniejsi, wystąpiliście do nas, już nie mówię ze słowami pochwały, ale przynajmniej szczerzej sympatii i zgody? Czyż w działaniu naszym uznaliście nas jako cyfrę, którą wciągnąć należało w rachunek ogólny? Czyż uznaliście w nas ludzi, którzy chcą i są zdolni pracować obok z wami? Nic nie zrobiliście z tego wszystkiego, a skarżycie się teraz, żeśmy się sami o swoje upomnieli, źle mówię, żeśmy się wam pamiętać kazali. Przypuśćmy, że wasza rola jeszcze nie skończona, dlaczego żeście nam wszelkiej zaprzeczali? Czy myślicie, żeście wy tylko zaarendowali honor, miłość dobra, poczucie piękna? Czyż sądzicie, że młodej piersi wszystko to obce, że serce nasze nie drga, imaginacja się nie zapala, umysł nie poddaje, a z oczu już łzy nie płyną, że nie cierpim, nie kochamy — a tylko nienawidzim plwając na wszystko szczerco?

Rezerwując sobie swobodę zdania nam odmówiliście prawa głosu. Powiedzieliście: usta ich wymawiać mogą tylko wyrazy niemego uwielbienia, a nie samodzielnego sądu. I dziś skarżycie się, że te usta wygłaszają na was tu nowe wyroki? Gdzie logika? Uzbrojeni pancerzem tak silnej powagi i mądrości, czyż powinniście przyznawać się do tych mrówczych ukąszeń? Smutna kolej — smutna

chwila rachunku z tymi, którym się zawsze istnienia zaprzeczało. Gdybyście byli od razu coś ustąpili ze swojej wielkości, gdybyście zgodzili się na to, że i nam wolno przyjąć udział w zadaniach, któreście dotąd sami spełniali, byłibyśmy dotąd lepiej sobie znajomi, może byście nauczyli się bezstronności, zapału, ruchu, śmiałości pragnień, a my skorzystali z waszej pomocy i doświadczenia. Powiadacie, że szanujemy swoje stanowisko, że trzymamy się *ławq*. Fakt pierwszy jest koniecznym następstwem odrębności naszych poglądów i waszej śmiesznej dumy. W samej zaś istocie zarzut niesprawiedliwy. Izolowaliście nas, a nie myśmy się odosabniali. Przejrzyjcie karty naszych pism, naszych artykułów, a znajdziecie się na każdej stronicy i przebóg! znajdziecie wyrazy słusznego uznania daleko częściej niżli chcecie przyznać. Ale otwórzcie karty wasze i pokażcie, coście na nich zrobili dla nas? Dość, aby nazwisko nasze rykoszetem*) choćby przyczepiło się do jakiejś sprawy, aby na nią rzucić anatemę*) w waszych oczach. Nie ma pardonu, nie ma oszczędzania, gdzież była miłość, którą w sercach nosicie? Patrzyliście na to mówiąc: jutro się obali. Ale nie stało się tak, czujemy się na siłach, zmężnieliśmy i — wygramy! Lecz wróćmy do rzeczy. Idziem *ławą*... a czy nie jest to na nasze tylko przeniesienie formy waszych własnych stosunków? Zapewne, że pokrewieństwo dróg i celów łączy nas z sobą, ale czyż to jest trzymanie się *ławq*? Czyż to jest widok waszego połączenia, w którym wyglądacie jak nieruchome, okryte skorupami i zbite w jedną wyspę małże? żyjące na dnie morza, które się życiem społecznym nazywa, nieświadomi niczego, co się na jego powierzchni rozgrywa, znajomi śmiałym żeglarzom tylko ze swego wiecznego snu i z tego, że się od czasu do czasu jakiś bystro płynący statek o wasze nieruchome mosty rozbija. Chcecie być kompasem ludzkości i oskarżacie gromko ludzi biegnących wspólnie do jednego celu o to, że się *ławą* trzymają? Spójrzcie tylko

choć pobieżnie na swoją falangę, która jak mur chiński broni wstępu każdej nowszej myśli — a z pewnością między sobą znajdziecie tę solidarność bezcelową, tylko związkami pobocznymi utrzymującą się, którą nam przypisujecie. Wy znacie bardzo dobrze prawdę, którą na monecie belgijskiej wypisują, że *l'union fait la force**), utrzymujecie się więc tylko gromadą. Rozdzieleni, zginęlibyście pod brzemieniem własnej bezsilności. Mimo to wszystko, mimo różnicy dróg i celów, mimo rozdziału i kolizji*), gotowi jesteśmy sądzić, że są pewne punkty, na których się spotykamy. Nie możemy w żaden sposób zrzec się tej myśli, że macie dobre chęci. I owszem, przypuszczamy raczej, że tak jak my pragniecie dobra ogółu i chcecie mu służyć. Z drugiej jednak strony widzimy, że was siły opuściły, jesteście styranii pracą i wiekiem, wzrok wasz się stępił na widoki nowe, zmysł stracił poczucie nowych potrzeb, leniwa myśl pozbawiona życia kręci się tylko w kółku dawnych celów, a świeżych rozpoznać nie umie. Nie grzeszycie więc może tyle przez złe chęci, ile przez naturalną niemoc. Całe nieszczęście w tym, że przeciągnąwszy swój zawód zbyt długo, obok strat zyskaliście jeszcze wadę nałogu przewodniczenia innym. To was w każdym razie nie tyle broni, ile szkodliwymi i nieużytecznymi czyni. Ustąpcie więc z drogi wszyscy, którzy ją tylko zawalać możecie, i nie dopędzajcie tych, którzy prędzej od was biegną. Próżne są wasze wołania, że młodość wyrzekłszy się szacunku dla starszych pędzi w szalonych skokach. Każdy jej błąd jest ojcem nowej prawdy, gdy tymczasem wasza ostygła i wyczerpana dusza może wydzielać z siebie tylko zarodki śmierci. Bo o cóż najbardziej chodzić powinno każdemu przyjmującemu na siebie obowiązek przewodniczenia drugim w sferze ducha? Naturalnie, jeżeli tu mamy na myśli swoje społeczeństwo, każdy starać się powinien przede wszystkim o wywołanie w ogóle jak najwięcej sił umysłowych, o przyśpieszenie

pory jego dojrzałości, o pobudzenie go do pracy, nauki, zrozumienia swego położenia i swoich zdań. Pytamy się, co wyście w tej mierze zrobili, wy, opiekunowie sentymentalnych powieści i zagważdżającej mózgi polityki? Czy to takie mają być tytuły waszej zasługi, takie dowody, które nas mają przekonać o waszej wielkości? Bądźcie więc logiczni — i pamiętajcie, że najtrudniejszą rzeczą jest być sprawiedliwym w rozdrażnieniu. Czy potrzebuję jeszcze zwalczyć ostatni zarzut mówiący nam o naszej zarozumiałości, nieuznawaniu nikogo obok siebie? Zarzut ten sam przez się upada porównany z całym ciągiem naszego poprzedniego dowodzenia. Że tłumaczymy się jasno ze swoich zasad i tendencji, że nie wstydzimy się ich wyznawać głośno, że lekceważymy wszystko to, cokolwiek zaraża niezdrowiem i martwością, czyż to jest taktyką zasługującą na tak głębokie i szerokie oburzenie, jakim nas darzą ci, którzy już powinni być dawno wykreśleni z liczby działających? Może nam ktoś powie, że nie szanujemy nawet młodszego pokolenia? Prawda — po co próżniaki i niedołągi mają wycierać na próżno kąty w dziennikach i nie dając nic literaturze marnować czas, który dałby się zużytkować w kierunku jakiego zacnego zajęcia? Czyż ich młodość ma wywoływać w naszym przekonaniu jakieś skrupuły? Zanadto dobrze wiemy, ile to takiego tolerowanego za młodu niedołęstwa kryje się pod łysinami dzisiejszych potentatów*), ażebyśmy jeszcze innych do tego zachęcać mieli. Metryka ani nas do ludzi zbliża, ani od nich oddala — tylko prawdziwa wartość ku nim pociąga.

To wszystko, cośmy powiedzieli, niech posłuży za objaśnienie nienawiści dla nas, za odpowiedź na skargi, które dają nam pewne zadowolenie. Krzyczą, więc czują — czują, więc żyją. — Żyją? Połowa naszego zadania spełniona.

Przegląd Tygodniowy 1871, nr 44.

MY I NASZE SZTANDARY

(Wyjątki)

.....Cała historia cywilizowanego świata wydaje się być pracą wykonywaną różnymi czasami w tym celu, aby ludzkość zdobyła sobie miarę swoich kierunków i zaznaczyła tym ostatnim granice. Siła jednokierunkowa i zbyt natężona sprawia, że brakuje pola dla sił innych; praca wtedy ma niesprawiedliwy podział, a wypadkowa zbliża się do głównie działającej siły. Organizacja społeczna dzisiejsza polega na podziale pracy. Jednostki, widząc różne role zajęte, rzucają się do tej roli, która nie jest jeszcze obsadzona albo jest obsadzona mniej doskonale niż inne. To im pozwala szczęśliwie współzawodniczyć z innymi, a jednocześnie być dla innych użytecznymi. Atoli podział pracy, jakkolwiek szeroko może być pomyślany i zastosowany, nie wyłącza jednak w danej epoce pewnych gustów i predylekcyj*), które sprawiają, iż jeden kierunek bywa uprawiany bardziej i wyłączenie niż inne. Sądzić można, że większa część spraw społecznych odbywa się w sposób nie obmyślany; nieświadomość gra tu dużą rolę, praca działają, a ludzie posłusznymi im być muszą.

Jeśli kierunek jakiś rozpoczyna się dopiero, u danego społeczeństwa, wtedy wyrobienie jego wymaga całego aparatu apostołstwa, ofiar, wielkiej liczby zwolenników i mistrzów, środków i sposobów. Gdy atoli wyłłóbił sobie łożysko, gdy kierunek wszczepił się w życie społeczne i stanowi już niejako nowy jego organ, wówczas rozpoczyna się normalniejsze funkcjonowanie obok innych kierunków. Wszystko, co ludzie robią, robią kosztem sił i czasu; przeto jeśli się praca jakaś odbywa z nadzwyczajnymi wysiłkami, to na tym tracić muszą inne rodzaje pracy. Wiadomo np., że zbyt liczne kontemplacje*) reli-

gijne wiodą do zaniedbania nauk oraz dóbr materialnych. Chwile, w których naród pielęgnuje żywe polityczne jakieś aspiracje, nie są też pomyślane dla wszystkich innych czynności. Zdaje się, że zbadanie kierunków danego społeczeństwa i stosunków podziału pracy byłoby wystarczającym, abyśmy zyskali pojęcie stopnia cywilizacyjnego rozwoju tegoż społeczeństwa.

U narodów dojrzałych historycznie zasadnicze kierunki pracy zostały dawno ustalone; spokojnie robi się to, co robić trzeba. Przemysł oraz handel, bardzo wielorako uczłunkowane, zakwitają równie pomyślnie, jak nauki i sztuki we wszystkich swoich gałęziach. Dobroczynność publiczna, polityka, wychowanie krajowe, miejscowy obyczaj i prawo, kult religijny wszystko dosyć proporcjonalnie, stosownie do potrzeb miejsca i czasu zostaje uwzględnione. Postęp odbywa się normalnie, bez wszelkich natężeń nieustannie powstaje jakiś nowy wynalazek, wytwarza się jakaś nowa gałąź umiejętności, a z drugiej strony upada przestarzały zwyczaj, przesąd szkodliwy, błędna hipoteza*), modyfikuje*) się niewłaściwe prawo itd. Im społeczeństwo jest dojrzałe, tym logiczniejsze być musi, a im jest logiczniejsze, tym bardziej prawidłowość jego musi się zbliżać do prawidłowej maszyny w bieg puszczonej, a jednocześnie nieustannie udoskonalanej.

Inaczej sprawy tego rodzaju stoją w społeczeństwach znajdujących się w dobie cywilizacyjnego świtania. Jeżeli porównamy nasze społeczne kierunki z takimiż kierunkami narodów zachodnich, to nie tyle może pod względem ilościowym, co jakościowym, znajdziemy przerażającą różnicę na niekorzyść naszą. Nasza produkcja dóbr materialnych, nasza naukowość są to zaledwie skromne początki ku lepszemu. Całe zorganizowanie zachodów i trudów około tych społecznych prac, rozdanie, że tak powiem, roboty między ludzi, przedstawia się jeszcze smutniej. Pod względem zapatrywania się na te kwestie posiadamy dwa stronnictwa: jedno twierdzi, że wszystko, co nasze, jest dobre,

że my byliśmy bardzo ucywilizowanym narodem i jako potomki dzielnych ojców mamy obowiązek wskrzeszać piękną tradycję, stać przy niej nawet wtedy, gdy nam rozum nakazywał uczynić z nią rozbrat. Tego rodzaju przekonania są widocznie pierwiastkami zachowawczymi, są one szczerne i poetyczne, ale właśnie dlatego nieuchronnie jednostronne, pochłaniające wiele dobrych sił, oraz wiodące do zrobienia eksperymentu, często na drodze uczuciowej jedynie. W opiniach tego rodzaju jest pewna rycerskość, jest gatunek cnoty, która zowie się nieugiętością i wytrwałością, jeśli zdąży do osiągnięcia rezultatu użytecznego bezwarunkowo i na pewno; ta sama zaś cnota zowie się uporem, jeśli konsekwentne jej pielęgnowanie przynosi same tylko szkody ogólne albo nie przynosi wcale żadnych korzyści. Konserwatyzm istnieć musi, stanowi on punkt wyjścia postępu, który przecież z niczego powstać nie może w danej miejscowości. Wierzyć chyba trzeba, że i bardzo daleko zachodzący postępowiec musi żywić pierwiastki zachowawcze, jeżeli tylko liczy się z warunkami, jeżeli rzetelnie pragnie coś zrobić, jeżeli nie jest wreszcie frazeologiem. Bo chodzi o to, gdzie są granice postępu i granice zachowawczości. Dwie te idee nie są przecież bezgranicznymi, albowiem gdyby takimi były, to pozbawione miary, służyłyby jedynie, jak labirynt, do bezowocnej lub też i szkodliwej błąkaniny.

Drugie stronnictwo u nas jest postępowe, trudniejsze do zdefiniowania aniżeli zachowawcze z tego powodu, iż pozbawione jest głosu wszędzie, a tylko przemawiać może w zakresie niektórych kwestii. Warszawscy postępowcy od niejakiego czasu znaleźli miarę dla siebie i weszli w kompromis*) z ideami zachowawczymi. Zwrot ten był koniecznością nieodzowną, jeśli program postępowy miał przyjść na porządek dzienny. Każdy chłodno na rzeczy patrzący człowiek rozumie, że społeczeństwo nie może się na jeden raz przeradzać, że nie podobna od niego wymagać, aby w susach i skokach czynności swego życia organizowało.

Jeżeli tylko jesteśmy rozumnie postępowymi, to jedynie powolnego postępu możemy oczekiwać; inaczej zmarnowanie sił i czasu zagraża nieuchronnie. Jakiż więc jest katechizm postępowców polskich? Zdaniem naszym, najważniejszą cechą i wyznaniem wiary chorągwi postępowej w Polsce jest nie negowanie tradycji, ale dążność do zasilenia ducha narodowego ideami cywilizacji zachodniej. Że zaś stosunkowo na każdym polu społecznym leżą u nas tylko odłogi po największej części, przeto przeszczepianie idei obcych odczuwa się może tu i ówdzie jakby gwałt zadany tradycyjnym nałogom. Na jedno atoli wychodzi, czy człowieka budzi lekki szmer, czy trzask niezmierny, byleby ze snu wstał i wziął się do pracy.....

II

Postęp, to najkrwawsza praca ludzkości. Postęp jednostki, wzniesienie się ponad poziom otoczenia pod jakimkolwiek bądź względem jest tak trudnym zadaniem. Mówi się zwykle o postępie w znaczeniu pracy czysto umysłowej, ale przypuszcza się jednocześnie całkowite uszlachetnienie człowieka, gdyż ta konsekwencja jest dosyć naturalną. Poszukiwanie prawdy niezależnie już od jej znalezienia mieści w sobie nieuchronnie pierwiastki tworzące charakter. Potrzeba tu wytrwałości i odwagi, wierności, skromności, cierpliwości, czujności, bystrości. Poprawiając własne błędy człowiek poznaje niedostateczność sił własnych. Prawda przyświeca nam jak gwiazda, rzekamy się dla niej dóbr materialnych, szlachetniejemy z dnia na dzień. Cóż nas wtedy obchodzi zwykły gwar świata; alboż nasz świat nie jest lepszy, piękniejszy? Czyż nie pracujemy, aby udoskonalić ludzkość? Nałogi wieków stają naprzeciwko myśliciela, naigrawając się z jego usiłowań; ale on, jak Tytan*) samym bogom zazdrości ich tajemnic. Życie nie płuży badaczowi, dopiero przyszłość będzie go błogosła-

wiła, bo on ją zapłodni ideą rozumną i z rozumu płynącymi cnotami. Nie we wrzawie świata, ale w cichych ustroniach są laboratoria dzieł postępu. Ten istotny postęp liczy na świecie zaledwie w ciągu wieku kilku istotnych przedstawicieli, których szlachetne idee ogrzewają najprzód ten grunt, który w mniejszym lub większym stopniu jest im przychylny. Wszystko polega tu na zasadzie, że jeśli jeden człowiek powziął myśl genialną lub rozpoczął badanie wielkiej doniosłości, to przyczyna tego musiała jednak być na czasie. Jeśli zaś tylko przyczyna taka istniała, to mogła ona zaprzętać i inne umysły, które atoli nie miały warunków, aby odpowiedzieć danemu zadaniu. Ludzkość cała związana jest więzami pokrewieństwa, a przynajmniej w specjalnym swoim gatunku wybrańców dąży ona do zjednoczenia się za pośrednictwem duchowych ogniwi. Jeśli tak jest, to każda wielka zasada obiecująca światu bogate żniwo prawdy ma już tym samym przygotowanych zwolenników. Pokrewieństwo krwi, tożsamość gleby i nieba nie odgrywają tu roli. Prawda obowiązuje ludzi zarówno między zwrotnikami, jak i pod kołami biegunowymi, na lądzie i na morzu. Filozof znad Tamizy może mieć uczniów i adeptów*) swoich nad Wisłą. Prawda nie ma też nic wspólnego z kastowością i kast nigdy nie wytwarza; prawda jest jedną wszędzie i dla wszystkich. Jednakże prawda, aby została zrozumiana, wymaga niezbędnie umysłowego przygotowania. Pewien dziki nie mógł zrozumieć, że woda rzeczywiście zamarza. W każdym społeczeństwie istnieje dużo umysłów nieuprawnych, zaniedbanych przez edukację; z tymi masami łączy się dopiero drugi zastęp, falanga*) ludzi, którzy dla prawdy żywią niechęć, najczęściej z powodu interesu bliższego lub dalszego. Dyskredytować*) jakąkolwiek prawdę naukową jest nadzwyczajnie łatwo, dosyć bowiem odwołać się do przesądu, z którym właśnie prawda do walki występuje. W czasach dawniejszych prawdy tajemniczo przechodziły z uszu do uszu i potrzebowały długiego czasu, aby się roz-

powszechnić. Obecnie mówi się o nich i wyznaje się publicznie, niebezpieczeństwo jednakże nie ustało jeszcze zupełnie...

III

Radykalizm*) można określać jako brak miary w danej dążności, często w dążności wcielenia w życie ideałów zbyt odległych. Zachodzi pytanie, czy to jest nadmiar energii pocho-
pnej do wykonywania większych czynów niż tego potrzeba? Co za przyczyna wyzwała siłę taką w jednostkach lub masach? Zapewne przyczyna nie jedna. Może tu działać tak dobrze zbyt wielkie poczucie obowiązku, jak i namiętność ludzka. Każdy na swoją rękę poszukuje normy postępowania, bo każdy już przez to, że się urodził człowiekiem, przyniósł na świat ze sobą duchową dziedziczność swoich przodków. Każda jednostka jest konsekwencją uprzedniego stanu rzeczy pod względem moralnym, umysłowym i fizycznym. Albo mamy uznać jakieś prawa, albo ich wcale nie uznawać. Jeśli je uznajemy, to się musimy zgodzić, że ogólnoludzkie popędy są dla nas tak właściwe, jak wszystkie uzdolnienia fizycznego organizmu. Przychodzimy na świat naturalnie uzdolnieni do rozwijania się w różnych, ogólnoludzkich kierunkach, tak jak rodzimy się z uzdolnieniem do mówienia, słuchania, oddychania, trawienia itd. Niemniej atoli musimy kształcić te pierwotne uzdolnienia w warunkach danych i albo je rozwijamy dostatecznie, albo rozwój nie dochodzi do wyższego kresu. Stąd zjawiska ludzi głuchych, ślepych i myopów*), nieudolnych pod względem funkcji trawienia, oddychania itd. a także myślenia, uczucia, chcenia. Nieświadomość bogactwa otrzymanego w spuściźnie po przodkach sprawia, że nieustannie błądzi każdy, ale wielka ilość błędów zostaje nareszcie spostrzeżona; błąd przestaje być wtedy błędem, a przyswaja się norma. Do tej zaś normy dopasowuje się cały umysłowo-zmysłowy organizm czło-

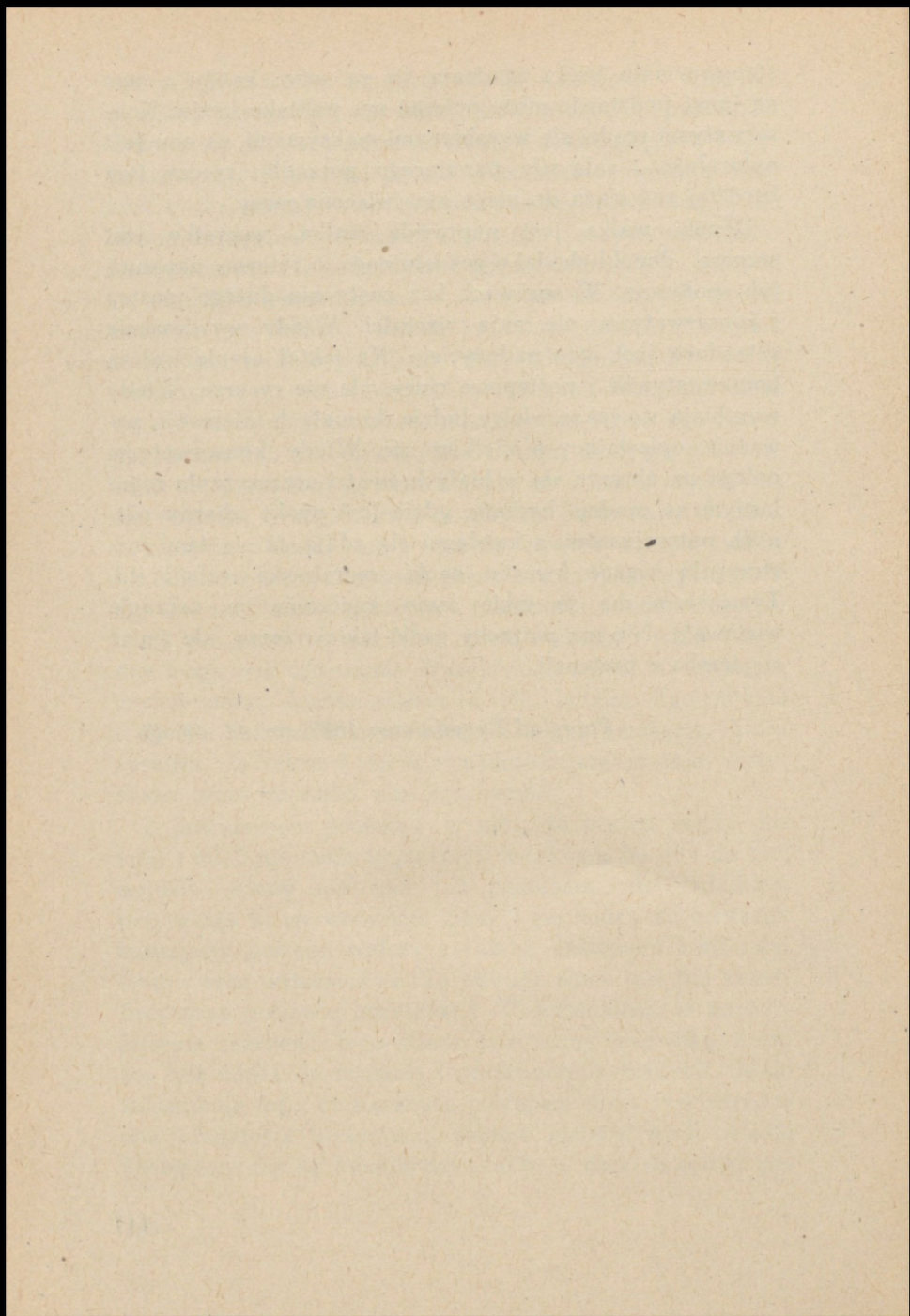
wieka i przekazuje się to generacji następnej. Więc też w wieku następnym nie ma błędów wieków poprzednich. Odbywanie się tego procesu stanowi arenę popisów radykalizmu, który jest po prostu tylko nieuregulowaną dążnością do normy albo poszukiwaniem równowagi. Ale okrom zaczynów w kierunku postępu otrzymujemy ustalone przywiązanie i wyrobione normy oraz miary, którymi się rządzą i kierowali nasi ojcowie we właściwych swemu wiekowi warunkach. Jeżeli to tylko dostało się nam w spadku, jeśli to pochłania wszystkie nasze siły, wtedy jesteśmy na starych śmieciach przeszłości. Wszystko może tu być szczere, prawdziwe, nieuchronne, może być nawet pożyteczne lub szkodliwe. Miłość starej tradycji, przywiązanie do przywilejów, westchnienia za czasami minionymi, nie wchodzi w człowieka z powietrza. Są to nabytki stare, z którymi nabytki nowe muszą stoczyć zaciętą walkę i właśnie w tej walce oraz przez nią jedynie wykształcić się. Są radykaliści postępowi i wsteczni. Jedni i drudzy mogą być parci wyższą albo niższą ambicją i jedni i drudzy mogą być egoistami. Wszystkie oręża w tej walce są czynne nieraz. Ludzie zawsze są tylko ludźmi. Egoizm kast i egoizm jednostek ma swoją własną organizację, która sprawia, że także i uczucia podnioslejsze zostają wyzyskane przez czynniki niższego rzędu.

Z powyższego poniekąd wynika, że postęp nigdy nie miał i mieć nie może organizacji ustalonej, bo gdy do niej dojdzie, wtedy nie jest już postępem, ale zadatkiem przyszłego konserwatyzmu. Stąd i pochodzi, że odważny entuzjasta postępu walczy z całymi zastępami konserwatystów oraz wsteczników. Ta odwaga sama jest już zaraźliwą przy posiewie przyszłości. Wstecznikiem, w najściślejszym znaczeniu tego słowa, nazywamy jednostkę, która nie tyle zdąża do ocalenia i przechowania tradycji, ile do zniszczenia tego, co się zowie postępem. Przy tym zdradza ona pragnienie utrzymania stanów niemożliwych. Hasła postępowe nie są bynajmniej utarte, a dwa dzienniki po-

stępowe mało kiedy zgadzają się ze sobą; każdy z nich na innej podstawie może opierać np. politykę kraju. Konserwatyzm rządzi się wyrobionymi maksymami, za nim jest naturalnie — cała siła panującego porządku rzeczy, tym bardziej zaś ciąży do niego nieoświecone masy.

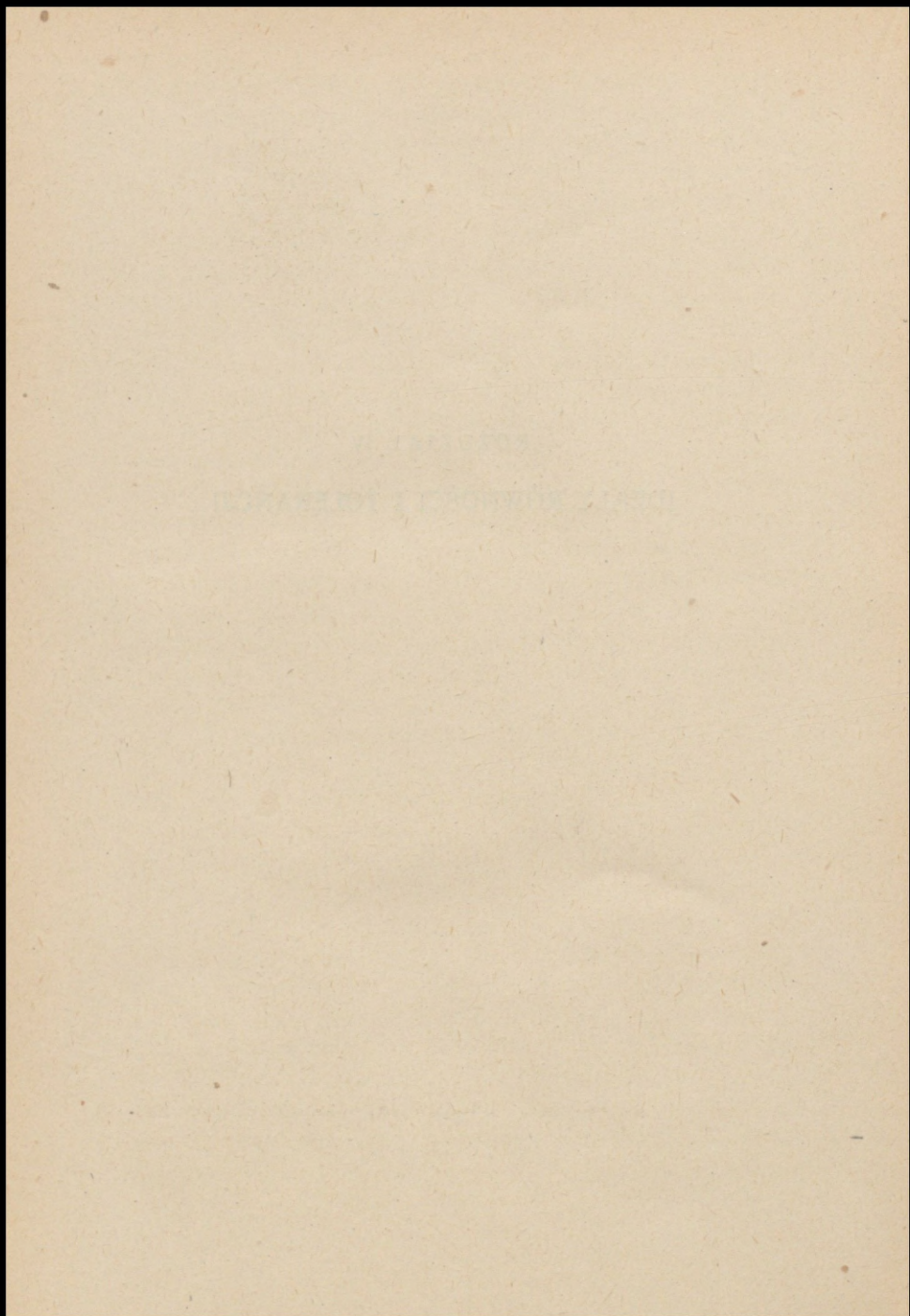
Dopóki walka jest naprawdę walką, wszystko jest szczere, dopóki chodzi o coś istotnego, o reformę naukową lub społeczną. W sprawach bez znaczenia dużego, postęp i konserwatyzm nie mają wartości. Wtedy wywieszenie sztandaru jest jego nadużyciem. Na takiej arenie walczą konserwatywne i postępowe ciury, ale nie rycerze. Wtedy wyrabiają się także wielcy ludzie do małych interesów, poważnie opiewający o wielkim nic. Wtedy konserwatyzm polega na ubraniu się w biały krawat i uczęszczaniu regularnym na modne herbaty, gdzie jest punkt zborny różnych patrycjuszów, a każdemu się zdaje, iż się tam rozstrzygają ważne kwestie nauki, moralności, religii itd. Tymczasem ma to takie samo znaczenie co zebranie wistowe*). Nie ma potrzeby ganić takiej rzeczy, ale śmiać się trzeba z pretensji.

Przegląd Tygodniowy 1882. nr. 44. 46, 48.



ROZDZIAŁ IV

IDEAŁY RÓWNOŚCI I TOLERANCJI



AUTOR NIEZNANY

TOLERANCJA PRZEKONAN

Rozdział I.

Niezaprzeczoną jest prawda, że ci, co wiedzą bardzo mało, sądzą, że wiedzą wszystko i że zdanie ich o pewnym przedmiocie jest nieomylnym. Najlepiej zauważyć to można u ludzi ograniczonych lub u niewykształconych niedorostków, którym się zdaje, że znają ostateczną prawdę w pewnym kierunku; dziwią się więc i uważają za nieuka tego, który inne ma zdanie aniżeli ich nauczyciel. Niechże jednak uczeń taki przeczyta kilka dzieł z rozmaitego stanowiska traktujących dany przedmiot, a spostrzeże z wielkim zdziwieniem, że to, co uważał za prawdę, niekoniecznie jest prawdą, że to, co według jego zdania było nieomylnym, stało się wątpliwym. Roztwierają mu się nagle oczy, zaczyna wątpić o innych, także uważanych poprzednio za nieomyłne, i przychodzi wreszcie do przekonania, że prawdę daleko trudniej jest odkryć, aniżeli podać zamiast niej jakiegokolwiek twierdzenie, że aby ją zdobyć, trzeba rzecz rozpatrywać z rozmaitych punktów widzenia, że wreszcie sprawdzianem prawdy nie może być ani przekonanie profesora, ani autora podręcznika, z którego się uczył, ale jego własny umysł. Uczeń staje się wtedy samodzielnym. Samodzielność jednego mistrza stanowiącego powagę zabiła w nim samodzielność jego własną, uczyniła go helotą*) naukowym; samodzielność zaś dziesięciu innych osób zaniepokoiwszy jego umysł i wydawszy go na pastwę zwątpienia i walk wewnętrznych,

przymusiła jego ducha do rozwikłania samodzielności własnej. Z tego zaś wynika bardzo ważny skutek. Młodzieniec, który uważał za głupca każdego, kto śmie mieć inne aniżeli on zdanie, przychodzi do przekonania, że należy uwzględnić zdanie innych, że nie wszystko jest fałszem, co mu się fałszem zdawało, i że to, co w danej chwili za fałsz uważa, może uznać później za prawdę, gdy widnokrąg swej wiedzy rozszerzy. Spostrzega również, że ktoś mający inne aniżeli on zdanie, mógłby go także uważać za nieuka, widzi, że to byłoby niesprawiedliwym; słowem, młodzieniec, który był nietolerancyjnym, staje się zwoleńnikiem tolerancji przekonań.

Taki jednakże zwrot w umyśle powstaje tylko u ludzi obdarzonych zdolnościami i pragnących dojść do prawdy. Nieudolni zaś i obojętni na prawdę, uczący się o tyle, o ile nauka daje pewne praktyczne korzyści, nie dochodzą nigdy do wątpienia, nie dochodzą do pierwszego punktu wyjścia wszelkiej mądrości, do zasady sokratesowej: wiem tyle, że nic nie wiem. Takie bowiem przekonanie rodzi się tylko w rozwiniętych umysłach, wiedzących co nauka zdobyła, a co jeszcze pozostaje do zdobycia. Nie mający więc zdolności lub chęci do dalszej pracy nad swoim umysłem poprzestają na tym, co w nich ktoś wpoił, poprzestają na wiedzy i przekonaniach pewnej osobistości lub stronnictwa, sądząc więc, że znają prawdę ostateczną, stają się zarozumiałymi i potępiają każde zdanie niezgodne ze zdaniem ich nauczyciela, które klepią bezmyślnie „jak za panią matką pacierz”.

Wystawmy sobie teraz, że taki człowiek jest ożywiony najszlachetniejszymi uczuciami, że pragnie dobra społeczeństwa i że gotów jest dla niego naruszyć własny swój spokój. Widoczna stąd konsekwencja, że będzie się starał rozwijać to, co według niego jest dobre, a gnębić to, co za złe uważa.

Jeśli więc jest przejęty bezmyślnym, a tak powszechnym wśród plebsu*) umysłowego mniemaniem, że czło-

wieka należy sądzić według wartości jego przekonań filozoficznych, a nie charakteru i czynów; to rzecz jasna, iż potępi wszystkich nie zgadzających się na twierdzenia będące w jego przekonaniu ostatnim wyrazem prawdy, będzie usiłował je przygłuszyć wszelkimi sposobami. Jeśli nie będzie do tego stopnia ograniczony, że się da powodować sofistom*) działającym dla osobistej lub swego stronnictwa korzyści, to może nie będzie się wahał użyć środków niegodziwych, aby tylko święty w swym mniemaniu cel osiągnął.

Taka jest geneza *uczciwej* nietolerancji przekonań.

Buckle*) zwraca uwagę, że właśnie najczęściej szlachetni lecz ograniczeni ludzie prześladowają za przekroczenia, gdyż pragną dobra swego społeczeństwa, a więc i rozkwitu zasad, na których, według ich mniemania, to dobro się opiera. Dlatego to najszlachetniejsi cesarowie rzymscy, jak Marek Aureliusz i Julian Apostata, byli najzapaleńszymi prześladowcami chrześcijan, gdy tymczasem w gnuśnej rozkoszy i wszelkich nadużyciach pogrążone wyrodki ludzkości, jak Heliogabal i Kommodus, pozwalali chrześcijaństwu swobodnie się rozwijać, bo dla siebie samych nie widzieli w tym szkody, a o swój naród nie dbali, choć, jak wiadomo, według przekonania Rzymian religia chrześcijańska była błędem i fermentem rozkładającym porządek społeczeństw. To samo odnosi się do inkwizycji średniowiecznej, która wszelkie swobodne myślenie, nie płynące według narzuconego przez nią planu, uważała za rzecz szkodliwą i dla zbawienia samej osoby myślącej i dla całego chrześcijaństwa.

Jednakże zarówno zdrowy rozsądek jak i historia przeszłych wieków dowodzą, że nietolerancja przekonań jest krzyczącą niesprawiedliwością, nie dającą zresztą pożądaných skutków praktycznych.

Przekonanie pewnej jednostki nie zależy bynajmniej od jej woli. Jest ono wynikiem wiadomości wpojonych przez rodziców, nauczycieli, książki i rozmaite zewnętrzne oko-

liczności. Kazać swemu umysłowi mieć inne przekonanie, różne lub wprost przeciwne przekonaniu powstałemu naturalną drogą, jest rzeczą niemożliwą. Kazać milczeć swemu rozumowi i przyjąć zdanie obce, byłoby to moralnym samobójstwem, występkiem przeciwko swej naturze, większym jeszcze aniżeli samowolne wyklucie sobie oczu lub zniszczenie przyrządu słuchowego dlatego, ażeby nie odbierać osobistych wrażeń i przyjmować je tylko za pośrednictwem kogoś innego. Na zmianę przekonania nie może wpłynąć ani własna, ani cudza wola, żaden przymus nie zdoła zmienić prądu myśli bez zniszczenia istoty myślącej: zawsze umysł będzie powtarzał swoje: *e pur si muove**). Pewne przekonania mogą zmienić tylko dowody. Masz inne przekonanie aniżeli ja, to dowiedz, że moje jest fałszywe, a twoje prawdziwe. Jeśli dowiedziesz, to muszę je przyjąć, choćbym sam nie chciał, choćbym się jak najbardziej mu opierał. Jeśli zaś nie dowiedziesz, jeśli bronisz fałszu lub nie jesteś zdolny do obrony prawdy, to żadna potęga świata nie zdoła mnie zmusić do tego, abym tak myślał jak ty, abym to, co według mnie jest prawdą, odrzucił, a przyjął to, co fałszem. Każesz mi sobie nie wierzyć? Jakież mi wtedy logiczne kryterium pozostanie? Jeżeli mi każecie wyrzec się, powiada Rousseau*), własnego rozumu, to jakim sposobem poznam, że to co wy mówicie jest prawdą? Tak mówi logika. Można wprawdzie przemocą, prześladowaniem, torturą wreszcie, wymóc na kimś, aby się rzekł własnych przekonań i przyjął cudze, ale to zrzeczenie się będzie tylko pozornym. Wywierający nacisk skorzysta tyle, ile skorzystali cesarowie rzymscy z powrotu niektórych chrześcijan do wiary pogańskiej, lub inkwizytorowie z nawracania Żydów, którzy po przyjęciu wiary chrześcijańskiej, w tajemnicy, tak jak dawniej, czcili Jehowę, lub też uciekwszy do Holandii i innych krajów jawnie do swej dawnej wiary powracali.

Cóż oni zyskali przez zadanie gwałtu niektórym ludziom? Nic — i owszem, nawet zaszkodzili swemu kra-

jowi, gdyż stworzyli ogromną ilość obłudników, co innego w duszy, a co innego w ustach mających, obłudników, w których i przemoc i przymus do grzechu, według ich mniemania, wzbudziły tylko nienawiść do nowej religii i jej wyznawców, a dawną religię jeszcze silniej w głębi ich duszy utwierdziły.

Jeżeli chcesz wiedzieć czytelniku, jakie wrażenie robi na człowieku prześladowanie religijne, to udaj się na skrzydłach wyobraźni do jakiegokolwiek kraju pogańskiego. Jesteś Europejczykiem i chrześcijaninem, a znajdujesz się np. w jakimkolwiek państwie indyjskim, do którego jeszcze Anglicy nie wprowadzili europejskiego porządku. Natrafiasz właśnie na święto Dżagannaty*). Tyśiące pielgrzymów rzuca się pod koła ciężkiego wozu i znajduje śmierć w błotnisto-krwistej kałuży.

Zgroza cię przejmuję, lecz milczysz, bo to ludzie obłąkani. Na domiar zaś okropności spostrzegasz jakąś piękną i młodą kobietę, którą kapłani przymuszają do wstąpienia na stos smolnego drzewa. Oburzenie przechodzi już wtedy granice twojej siły, biegniesz więc do orszaku i w najwymowniejszy sposób nakłaniasz do odstąpienia od tego obmierzłego auto^{da fé}*). Powiadasz, że to się sprzeciwia uczuciu ludzkości, że to jest grzechem przeciwko Bogu, że jest dzikością, barbarzyństwem, głupotą. Na to Indianie ci zarzucają, że jesteś człowiekiem zbłąkanym, nieświadomym, nie znającym Vedy*), i powiadają, że ze względu na twą gorliwość przysła ci bramina*), który ci oczy na istotną prawdę otworzy, i że wtedy dopiero zostaniesz ukarany, gdy uparcie będziesz chciał pozostać przy swych błędach. Bramin, którego ci przysłali, jest człowiekiem uczonym, łagodnym i szlachetnym; wierzy on jak najmocniej w prawdziwość objawienia Wisznu*) i pragnie cię tą wiarą uszczęśliwić. Ty zaś jako dobry chrześcijanin chcesz go nawrócić, tym bardziej, że myślące i szlachetne jego oblicze wzbudziło w tobie wielką sympatię. Wykładasz mu więc jak najjaśniej zasady wiary. Bramin nie daje się

przekonać, więc odwołujesz się do cudów. — Co to znaczy, powiada bramin. Twój Bóg nakarmił tysiące ludzi kilku bochenkami chleba? Wielka mi rzecz. Kryszna*) podniósł górę Diwalagivi małym swym palcem i używał jej zamiast parasola, jak dmuchnął, to słońce zgasło, a jak mu się raz pić zachciało, to wypił wszystkie rzeki i morza! Słuchając tych bredni apelujesz do rozumu. Co? — powiada bramin — rozum? Azali ty, nędzny robaku, swym kusym i mdłym rozumkiem chcesz zgłębiać takie rzeczy? Trzeba w to wierzyć, bo to jest wyższe nad rozum. Opierasz się jeszcze, dowodzisz, lecz bramin nie chce słuchać i w gorliwości swej o całość wiary oskarża cię o bluźnierstwo, obawia się stąd złych skutków dla Indian, i w najlepszej wierze przestaje być łagodnym nauczycielem i staje się okrutnym tygrysem. Zostawia ci dzień do namysłu: albo przyjmiesz wiarę bramińską, albo zginiesz pod ciosami siepaczy.

Masz więc przed sobą bardzo smutną alternatywę*). Tak źle i tak niedobrze. Jeżeli jesteś gorliwym wyznawcą swej wiary, masz męstwo i tęgość ducha, to zginiesz marnie, a nie odstąpisz od swych przekonań. Jeśli zaś słabszy charakter posiadasz lub wytłumaczysz sobie, że pod przymusem można pozornie zostać wyznawcą fałszu, aby tylko w sercu zachować prawdziwą wiarę, to przyjmiesz formy bramińskie, będziesz udawał najmocniej przekonanego o tym, że Kryszna używa Dewalagivy na parasol, a w duchu będziesz się śmiał z tych bóstw i cudów rzekomych, będziesz czuł odrazę do potwornych bałwanów, złorzeczając tym, co cię przemocą zmusili do pozornego przyjęcia przekonań i form nie odpowiadających twoim pojęciom. Jednym słowem, staniesz się obłudnikiem czekającym tylko na dogodną chwilę, aby powrócić do form swojej religii, i dyszącym zemstą ku tym, którzy cię do grzechu zmusili.

I w samej rzeczy prześladowanie za przekonania wywołuje tylko albo bezowocne poświęcenie, albo też obłudę

oraz utwierdzenie prześladowanych przekonań, tak jak tego dowodzą dzieje Żydów, którzy wtedy, gdy ich nikt nie przymuszał, często porzucali wiarę w Boga jedyne go i stawali się bałwochwalcami, a podczas prześladowań stale trwali przy wierze swych przodków i tylko pozornie na pewien czas ją porzucali. Nietolerancja więc żadnych pożądan ych skutków przynieść nie może i zawodzi zupełnie szlachetnych zelotów*). Przynosi ona korzyść tylko nikczemnikom, którzy na razie umieją z niej ciągnąć pożytki. Ogół zaś cierpi na tym, bo nietolerancja psuje ludzi zarówno prześladowających jak i prześladowanych. „Kiedy religia, powiada ks. Kołłątaj, a możemy dodać, że i wszelkie przekonanie filozoficzne, uważa się za regułę sumienia, należy ją tolerować i nie uciskać w żaden sposób, *bo by inaczej psuł się charakter człowieka*, którego obyczaje zaszczadza się na prawidłach przez niego przejętych, a głęboko przez wychowanie i nałóg w serce jego wpojonych.”

Nietolerancja, nie pozwalając być samodzielnym jednostce, jest też potężnym hamulcem postępu cywilizacji. Cywilizacja polega na ciągłej zmianie pojęć, a ponieważ prześladowanie występuje zawsze ze stanowiska pojęć ogólnie przyjętych i chce je chronić od zmiany, więc w społeczeństwie nietolerancyjnym ani mowy być o postępie nie może.

Zatraca się w nim powoli męska dojrzałość, poczucie własnej siły i godności, pełnoletność umysłowa, a następuje natomiast niemoc, umysłowa, znikczemnienie, materializm praktyczny, jako kara naturalna za zbrodnie. Przy mus bowiem do myślenia według cudzej, choćby najlepszej głowy, kucie w dyby umysłu, wmuszanie i torturowanie przekonań, jest moralnym zabójstwem, jest zbrodnią najcięższą ze wszystkich, jest czynem najzłobniejszym dla samego społeczeństwa, które przytłumia objawy swego własnego życia, swej własnej płodności duchowej.

Niwa 1874, nr 59 i 60.

O ŻYDACH I KWESTII ŻYDOWSKIEJ

(Wyjątki)

Gdybyśmy żyli w błogosławionych czasach, w których każde zawikłanie społeczne rozcinał miecz i przepalał ogień, mielibyśmy skłonność do postąpienia z Żydami tak, jak ongi Hiszpanie postąpili z Maurami, to jest połowę ich chcielibyśmy spalić, a połowę za granicę kraju wyrzucić. Nieszczęściem dla tych, którzy przychodząc na świat w wieku XIX, popełnili grubą chronologiczną pomyłkę, palenie, wyrzucanie, jakiegokolwiek tępienie należy już dziś do starych gratów spopielających w oczyszczającym ogniu cywilizacji. Popioły ich dotąd jeszcze zasypują ludziom oczy i atmosferę moralną napełniają truciznami, lecz jako narzędzia do rozwiązywania kwestyj wyszły całkiem z życia. Wynik to nauki wyjaśniającej pojęcie sprawiedliwości i łagodzącej obyczaje. Wynik to także zgromadzonych doświadczeń, które jak na dłoni wykazały, że ilekroć jacykolwiek Hiszpanie gnębią i tępią jakichkolwiek Maurów, Maurowie źle na tym wychodzą, ale Hiszpanie daleko jeszcze gorzej. Przejęci wstrętem ku haniebnym, a zawsze szkodliwym czynom gwałtu i prześladowania, co i jak, wobec warunków żywota naszego, czynić mamy?

Rzecz prosta: szukać sposobów usunięcia utrudnień i niebezpieczeństw na drodze pokojowej, z pomocą rozumu, dobrej woli, moralnych, umysłowych i gospodarskich ulepszeń. We względzie kwestii żydowskiej sposobów tych szukamy od dość dawna, a od lat kilkunastu bardzo nawet gorliwie, lecz szukanie nasze posiada jedną kapitalną wadę, mianowicie: bardzo niedokładnie znamy przedmiot ten, na którym odbywać mamy praktykę wynajdowanych przez nas teorii. Powiadamy: oświecać, poprawiać, przyswajać, jednać się — a wiedza nasza o tych, którzy mają

być przez nas oświeceni, poprawiani, przyswajani i jednani, z wielu względów nazwać się może dziecinna.

Co my wiemy o Żydach? Z jakich punktów widzenia zapatrujemy się na nich? Na jakich podstawach opieramy sądy nasze o nich?

Pytania te zmuszają usta do uśmiechu, bo przywołują do pamięci setki, tysiące twierdzeń i sądów wydawanych o Żydach, a które zdają się ubiegać ze sobą o pierwszeństwo w dziedzinie dzieciństw i płytkości ludzkich. Szachraj, wyzyskiwacz, fanatyk, gdy do masy ciemnych i biednych należy, pyszałek, arogant, samochwalca, gdy się wzbogaci, oto kim i jaki jest Żyd według wyobrażeń powszechnie u nas utrwalonych.

Jak to? i nic więcej?

Nie poszukujemyż w tej grupie społecznej, złożonej przecież z ludzi, żadnych już cech i właściwości innych?

A spostrzegając cechy wymienione powyżej, nie zapytujemy siebie: skąd się one wzięły?

Jakich czynników dziejowych i współczesnych są one wytworami?

Czy istotnie w chwili tworzenia Żydów natura była wielką kapryśnicą i jedno plemię to napiętnowała plamami od których wolne są wszystkie plemiona inne?

Nie poszukujemy niczego i nie zapytujemy o nic. Postępujemy w tym względzie gorzej od najlichszego powieściopisarza, który wie dobrze, iż nie wolno mu pokrywać papieru plamami sadzy.....

Co my, chrześcijanie, dla rozwiązania kwestii żydowskiej czynić powinniśmy i możemy?

We względzie teorii nad wynajdowaniem jej suszyć sobie głów nie potrzebujemy. Wynaleźli już ją najwięksi mężowie stanu przeszłości naszej. Literatura sejmu czteroletniego, pisma Czackiego*), Staszica*), Butrymowicza*), działalność margrabiego Wielopolskiego*), świadczą o dążności naszej, sto lat już mającej, ku zupełnemu, bezwarunkowemu równouprawnieniu Żydów. Ktokolwiek dziś

jest mu przeciwny, rozmija się z najlepszą tradycją naszą. Argumentów popierających teorię tę obszernie rozwijać nie ma potrzeby. Są one pacierzem każdego istotnie oświeconego człowieka. Dla mniej albo pozornie tylko oświeconych zamknąć je można w kilku okresach. Odbieranie jakichkolwiek praw zdejmuję z sumień tych, których dotyczy, odpowiednie im obowiązki, więc w miarę upływu czasu czyni ich do pełnienia obowiązków coraz bardziej niezdadnymi. Wyłączanie spod praw skłania do ich wymijania, więc szerzy nieuczciwość, hipokryzję*), podstępność. Spychanie ludzi z dróg jednych sprowadza tłoczenie się ich na drogi inne, więc nędzę fizyczną i jednostronne wyrabianie się zdolności ze szkodą dla innych zaniedbywanych. Poniżenie wywołuje gwałtowną żądzę wywyższenia się, nie przebieającą w środkach. Wyodrębnienia, gardzenie, jakiekolwiek krzywdzenie budzi wzajemne niedocenywanie się i nienawiści, czyli najsroższe zboczenia umysłowe i moralne. Na koniec ponad wszystkie względy praktyczne wzbija się idea sprawiedliwości, wspaniała rodzicielka wszystkich dobrych uczuć i postępów ludzkich, idea równości ludzi pomiędzy sobą wobec praw i obowiązków, będącej kamieniem węgielnym cywilizacji. Usunięcie ten kamień, a cała budowa nowożytnego świata upadnie w gruzy i od szczytów swych, od nauki i sztuki, do spodu swego, którym są najniższe prace i losy ludzkie, wszystko pogrąży się w upadek i zgniliznę. Te narody, które najgłębiej już przeniknęły się tą ideą i najlepiej ją urzeczywistnić zdołały, najszcześniejsze są i najdostojniejsze; te, którym najwięcej jej nie dostaje, najsilniej chwieją się na swych podstawach, najobfitsze źródło trucziny w łonie swym noszą. Powtarzam: pojęcia te nie są u nas ani nowe, ani rzadko napotymane. Absolutne równouprawnienie Żydów z innymi klasami ludności stało się dziś przed nami w tym samym świetle, w jakim przed oczami mężów stanu obradujących na czteroletnim sejmie stało równouprawnienie mieszczan. Najdroższe imiona przeszłości

naszej i znane jej doświadczenia, najwymowniejsze głosy i najgwałtowniejsze potrzeby naszej teraźniejszości, nawołują nas w tym kierunku. Wszystkie prace dla wszystkich, wszystkie społeczne godności dla wszystkich, wszystkie drogi, cele i narzędzia dla wszystkich, wszystkie nade wszystko, o! nade wszystko źródła oświaty dla wszystkich, oto modlitwa, którą z rana i wieczór ślać winniśmy do nieba i ziemi, do umysłów i sumień tych, którzy jej nie umieją jeszcze, i tych, którzy ją z ust naszych na kartę życia przenieść mogą.

Prawie każdy wie o tym, jakie znaczenie miałyby dla kwestii żydowskiej u nas rzucenie na całą przestrzeń kraju paru tysięcy szkólek pierwiastkowych, zastępujących chedery*), nie specjalnie żydowskich, lecz mieszaną ludnością dziecinną przez prawo przymusowej edukacji pierwiastkowej napełnionych.

Każdy wie o tym, czego nie możemy...

Rozejrzmy się na polu praktyki czyli powinności naszych, których spełnienie od nas wyłącznie tylko albo przeważnie zależy.

Przede wszystkim powinniśmy poznać Żydów. Dotąd doświadczamy ich tylko, ale bardzo niedokładnie, bardzo źle ich znamy.

Nieznajomość nasza Żydów jest faktem zdumiewającym. Żyć z ludnością jakąś na jednej ziemi przez wieków kilka, co minutę wchodzić z nią w stosunki interesowe, cierpieć od niej wiele, mieć w pamięci sporo wyświadczonych jej przysług i zadanych krzywd, wywodzić na nią ustawiczne skargi; czynić jej milionowe wyrzuty, czuć gorąco całą ważność skierowania się, jakiemu ulegnie — a znać ją tylko i jedynie w osobie Reb Jankła kupca, Szymszela faktora i Abramka lichwiarza, nie znać jej w jej historii, religii, obyczajach rodzinnych, w tym wszystkim, co na zbiorową istotę plemienia, na samego ducha jego szerokie i obfite rzuca światło! Nieprawdaż, że jest to leniwe za-

niedbanie się, czy brak wszelkiej ciekawości umysłowej, czy lekceważenie wcale nielogiczne tego, czemu przypisujemy w życiu naszym tak ważną rolę?

Zdaniem moim, kwestia żydowska kuleje u nas najbardziej z tej właśnie strony. Wyobrażenia nasze o historii, religii i obyczajach żydowskich są wprost dziecinne. Najśmieszniejszym pod słońcem sprzeciwieństwem, obok Szymaszka i Abramka, okrytego cechami najskrajniejszego naturalizmu, przed fantazją naszą stoi wiecznie Żyd taki, jakim wymalowały go średnie wieki: istota wpół-nadprzyrodzona, tajemnicza, owiana grozą popełnionych zbrodni i dymem siarczany wydobywanym z paszczy diabelskiej przez łacińskie egzorcyzmy. Na dnie duszy naszej, wstydliwie kryjąc się przed obliczem nowożytnej nauki, czał się jeszcze wielka skłonność do wierzenia w religijny przepis żydowski zaprawiania mac wielkanocnych krwią chrześcijańską.

Do pamięci naszej przybywają co pewien czas mętne przypomnienia o jakichś hostiach niegdyś kradzionych i do drzew przybijanych, o jakichś studniach zaprawianych trucizną, o jakiejś czarnej śmierci wjeżdżającej do krajów chrześcijańskich na plecach żydowskich.

Niby naprawdę nie wierzymy już w to wszystko; ale w imaginacji naszej pali się jeszcze isierka tej grozy, którą napełniały ją bajki piastunek, ale są jeszcze domy wcale światłe, z których podrostki w dni poprzedzające żydowską wielkanoc boją się, aby nie zostać porwanymi przez Żydów, — ale te szczątki czasów minionych konserwując się w klasach oświeconych podtrzymują pełne ich bytowanie w klasach nieoświeconych.

Bardzo często w zapale dysput odbywają się głośne i zupełnie szczere zaprzeczenia, jakoby Żydzi byli kiedykolwiek naprawdę prześladowani i dręczeni. Bardzo rzadko spotkać można pomiędzy nami jeszcze pojęcie o tym, jakie cechy ich jakim kolejom dziejowym przypisać należy.

Nikt prawie, oprócz garstki uczonych i pisarzy — nie wie na pewno, jakie prawa w ciągu wieków przysługiwały im w kraju naszym, a jakie odmawiane im były i w jakiej mierze byliśmy względem nich lepszymi od narodów innych, a w jakiej dzieliliśmy ogólne dążności czasów ku wyłączeniu ich i poniżaniu. Wszyscy prawie uważamy ich księgi jako zbiór samych tylko bezeceństw i złorzeczeń przeciw nam skierowanych, a nikogo nie zdejmuje ciekawość zajrzenia w te księgi dla przekonania się, czy to jest prawdą i do jakiego stopnia jest to prawdą.

Zwracając się zaś ku rzeczom najbliższym już, bo obecnym, czy wiemy, kim i jakim jest Żyd poza interesem pieniężnym, który z nami załatwia, — jakie są domowe obyczaje jego, rodzinne uczucia, uciechy, zabawy, cierpienia, dążności?

Wyobrażamy sobie naprawdę, że Żyd jest maszyną do liczenia pieniędzy, że z rana i wieczorem, w pracy i spoczynku, w święta i dni powszednie, u kolan matki i nad kolebką dziecka nie myśli on o niczym, nie czuje nic, nie kocha, nie pragnie, nie trwoży się i nie raduje, tylko liczy, liczy, liczy, liczy... Jak Franciszka z Rimini*) z kochankiem swym wiecznie od skały do skały leci i leci, tak Żyd w jakimś wymyślonym przez nas nowym kręgu piekielnym wiecznie liczy i liczy. Zbiorowej istoty tej zatrudnionej wiecznym liczeniem nie spróbowaliśmy nigdy dokładnie przeliczyć.

Czy posiadamy statystykę Żydów naszych, zawierającą rubrykę zajęć ich, stopnia oświaty, obracanych przez nich kapitałów itp.?

Czy doszliśmy kiedy, jaki jest liczebny stosunek Żydów posiadających wiele albo cokolwiek i nic wcale nie posiadających, trudniących się handlem wielkim i drobnym, pracami fizycznymi i lichwą, szkodliwą, choć trudną pracą kręcenia biczów z cudzego piasku?

O wszystkim tym mówimy, piszemy, dysputujemy podniesionym głosem i z dziarskimi albo skwaszonymi minami, lecz mówienie, pisanie, dysputowanie nasze nie ma jedynej podstawy, która by je mogła użytecznymi uczynić: podstawy gruntownej, obszernej, na faktach opartej znajomości Żydów. A wobec braku podstawy tej marzcie o rozwiązaniu kwestii żydowskiej, jeśli to wam przyjemność czyni, — ja o nim marzyć nie będę, jak nikt rozsądny nie marzy, aby prosto, prędko i bezpiecznie dojść do celu idąc doń po ciemku...

Od lat kilkunastu nauka zalecana jest wprawdzie narodowi przez przewodników umysłowości jego, zalecana powszechnie i często energicznie, ale w ogromnej większości wypadków zalecenia te mają pozór podawania choremu trucizny w dozach tak spreparowanych, aby wypadku śmierci spowodować nie mogły. W twierdzeniach o nauce ogromnej większości inteligencji naszej, w samych nawoływaniach ku niej dają się słyszeć wyraźnie albo łatwo domyślać myśli następujące:

„Nauka jest potrzebna dlatego, że takie już przyszły czasy, które obchodzić się bez niej nie pozwalają. Cóż robić? Ciężkie to czasy, ale trzeba się do nich stosować; skoro więc już inaczej nie można, uczcie się.

„Tylko ostrożnie! o! ostrożnie z nauką! Jest ona, jako ozor Ezopa*), rzeczą i najlepszą i najgorszą. Najlepszą, bo daje nam możliwość wytrzymania jako tako konkurencji na polach różnych z ludami innymi; najgorszą, bo posiada właściwości pewne, które zatruwają duszę narodu.

„Co? zatrucie duszy narodu! rzecz istotnie straszna. Więc może by lepiej wcale unikać tego źródła trucizny?

„Ha! gdyby tylko można było! Ale nie podobna. Takie już czasy przyszły, że bez nauki ani kawałka chleba mieć nie będziesz, ani narodowi swemu chwały przed obcymi nie przysporzysz.

„Więc dla celów praktycznych i po części patriotycznych uczcie się, ale pamiętajcie, aby nauka was do filozofowania jakiego nie doprowadziła.

„Fakty, cyfry, daty, imiona własne, techniczne procedury robót różnych, dobrze! ale syntezy wszelkie, wywody, konkluzje, wnioski, słowem, cała robota myśli wysnuwającej z suchego materiału naukowego wolne, szerokie poglądy na świat i ludzkość — nie!

„To wszystko już może zatruć duszę narodu, odebrać jej wiarę, miłość, ofiarność, poetyczność, a wtrącić ją w negację prawd moralnych, we wzgardę dla tradycji, w samolubstwo, nieobyczajność i cały, słowem, poczet grzechów tak powszednich, jako też i śmiertelnych.

„Najważniejsza zaś, że przejście się pojęciami wytwarzanymi przez naukę i kierowanie według pojęć tych społecznych spraw i losów przyprowadzić nas może o pograżenie w nicość zbiorowej indywidualności naszej.”

Takie obawy i takie przestrogi, wyraźne lub półgębkiem wymawiane, towarzyszą rozumowaniom o nauce większości inteligencji naszej. Niektórzy posuwają się jeszcze dalej. Był wypadek, w którym głośne morderstwo popełnione przez prostą chciwość łupów przypisano wpływowi kilku naukowych książek przez mordercę przeczytanych; i taki, w którym złoczyńcę kradnącego srebrną łyżkę w kawiarni, publicznie, w druku, nazwano pozytywistą.

Każdy zaś pilnie śledzący ruchy literatury naszej wie o tym dobrze, jakie insynuacje*) i oskarżenia najzłośliwszej i najdotkliwszej natury padają na pisarzy jasno i szczerze postępowych. Jasno i szczerze doradzać ogółowi dążenie ku nauce i oświacie, jasno i szczerze wyrażać przed nim filozoficzne i społeczne przekonania w nauce źródło mające, jest to stawiać czoło oskarżeniom o odszczepieństwo polityczne, co najmniej o polityczny indyferentyzm*).

Takie łączenie miłości dla nauki i choć trochę swobodnego sposobu myślenia ze zdradzaniem sprawy publicznej

i z umyślnym wystawianiem jej na niebezpieczeństwa stało się u nas orężem zupełnie pospolitym, a ten tylko ciosów czy ukłuć jego uniknąć może, kto zgodzi się być echem i cieniem większości.

Przyznajmy, że w sposób taki ustawiona i umiłowana nauka nie może wywierać na ogół potężnej atrakcji, że owszem, obosieczny ten miecz i to straszdyło rodzące potwory musi koniecznie budzić uczucie obawy, wahania się, niekiedy wstrętu. I — o szczycie niekonsekwencji! — ci sami, którzy uczucia te rozbudzili, niejednokrotnie potem wybuchają wyrzekaniami na obojętność ogółu dla nauki — wyrzucają mu upadanie albo nędzne istnienie pism naukowych, niechętnie branie udziału w przedsięwzięciach i czynach bądź naukę na celu mających, bądź przez nią budzonych i popieranych. Co można myśleć o konsekwencji dziennika, który na jednej z kart swoich uliczne burdy i rabunki przypisuje wpływowi na lud nasz teorii Darwina*), a na drugiej gromi ogół za obojętność dla naukowej wyprawy jednego z uczonych naszych! Wielki Boże! Darwin stworzył walkę o byt i rozwijanie się gatunków? Gdyby tak było, moglibyśmy mniemać, że nasz uczony stworzy coś innego, co darwinowskie twory w niwecz obróci. Ale każdy wie, że rzeczy tych Darwin nie stworzył, tylko wyczytał je na obliczu natury, którą badał.

Skoro zaś ostatecznym wynikiem czytania w obliczu natury są burdy i rabunki uliczne, głupstwem byłoby, jeżeli nie występkiem, popierać tego, kto płynie daleko, aby w czytaniu tym wziąć udział. A nuż wyczyta on to samo, co wyczytał Darwin?

Otóż i przybędzie jeden jeszcze szerzyciel mordów, zło dziejstw, burd, rabunków i — nade wszystko — politycznych odszczepieństw.

Nie! Dopóki nauka stawiana będzie przed ogółem w takiej postaci obosiecznego miecza, z taką twarzą Janusową*), z jednej strony ziemską a z drugiej piekielną, niepodobna spodziewać się, aby ogół ten przypadł do niej z za-

pałem, ze czcią, z wiarą w zbawiennosć jej dla losów publicznych. I zwaźmy jeszcze, że z natury swej skłonniejszy on jest do marzeń niż do badań, do artystycznego tworzenia niż do naukowych mozołów. I zwaźmy jeszcze, że na drodze umysłowego rozwoju jego stoi przeszkód tysiąc, do których my z naszej strony dodajemy tysięczną pierwszą, może najpotężniejszą.

Lecz słyszę odpowiedź:

— „Nie przed nauką przestrzegamy ogół, nie jej samej przypisujemy wpływy wytwarzające różne gatunki zbrodni i zbrodniarzy, ale — tym ruchom myśli, których ona jest budzicielką, tym ruchom myśli, które jak wzburzone fale biją w strony powag i jak topory pionierów trzebią gęstwinę dotychczasowych mniemań siejąc po drodze ziarna nowych pojęć, wiar i dążeń. Te to ruchy myśli w karbach trzymać chcemy, aby na kształt swawolnych dzieciaków nie rozrzuciły nam domu naszego.”

Teraz z kolei zawołać trzeba: ostrożnie! ostrożnie z trymaniem w karbach myśli ludzkich! Spowinięta i na miękkiej pościeli złożona może ona tylko spać albo kaprysić. Sen zaś myśli publicznej, to śmierć narodu, a kaprys jej, to szal niosący mu niebezpieczeństwa straszne.

Jakże podobna marzyć o załatwianiu spraw jakichkolwiek, o rozwiązywaniu jakichkolwiek zagadnień przez społeczeństwo, któremu własna inteligencja tylko w pewnych granicach i do pewnego stopnia uczyć się i myśleć doradza? Któremu wmawiają, że badanie, rozbiór, krytyka, są stopniami prowadzącymi do zbrodni? w którym każda myśl swobodniej nieco poruszająca się i przemawiająca nosi miano zdrady? Którego władze umysłowe zamiast nabierania w ćwiczeniach giętkości i energii, w zalecanej im bezczynności sztywnieją i drzemią?

Nie! Na takich drogach nie znajdziemy nigdy sposobów rozwiązywania węzłów społecznego życia naszego, ani sił dostatecznych do ich rozwiązania.

Po takich drogach społeczeństwo postępować musi z pospiechem podróżnika, który trzy kroki naprzód a dwa wstecz dokonywał, bo każdy postęp zdobyty mozolnie przez umysły uswobodnione i czynne pochłaniany będzie powodzią głupoty i apatii.

Tylko rozbudzona silnie ciekawość umysłowa doprowadzić może do zgruntowania interesów społecznych, tylko z niepodległej myśli powstać mogą zadość im czyniące energiczne czyny.

Kłamią z rozmysłem albo w dobrej wierze, lecz ciężko myślą się ci, którzy utrzymują, że badawczość, krytyczność, słowem niepodległość myślenia, sprzeczne będąc z narodową tradycją naszą, mogą zbiorowej indywidualności naszej właściwe cechy jej odebrać i, co za tym idzie, o znikanie i zniknięcie ją przypisać. O! po cóż tak gorąco niby tradycję tę miłując tak strasznie spotwarzać ją przed nami? Po cóż okazując dla niej cześć tak bezwarunkową wydzieracie z korony jej klejnot najwspanialszy?

Tradycja nasza, jak każda inna, posiada dwie strony: jedną, która wstecz cofa pokolenie współczesne, i drugą, która zaklina je, aby postępowały naprzód. Dlaczegoż w pierwszej tylko spostrzegać cechy właściwe zbiorowej jednostce i słyszeć nauki przodków?

Najwspanialszym klejnotem tradycji naszej jest właściwie ta epoka, w której z najswobodniejszych i najenergiczniejszych ruchów publicznej myśli powstawały wyprzedzające prawie czas swój zjawiska politycznej i społecznej natury. Była wtedy tolerancja religijna pozwalająca bezpiecznie i swobodnie żyć na ziemi naszej dysy-dentom*), Żydom i Mahometanom, a czcig publiczną okrywająca pisarzy takich, którzy jak Rej z Nagłowic wiarą religijną różnili się z większością narodu, lecz jednocyli się z nią w ludzkiej i obywatelskiej cnocie. Była wtenczas cześć dla nauki taka, że kanclerz państwa kosztem własnym wznosił w Zamościu przybytek dla niej, że największy z wieszczów krajowych jeździł po nią aż na krańce

Europy, że *Dworzaninowi* wolno było wobec księcia Kościół wystawiać wielkość jej i dobrodziejstwa, że sami książęta Kościoła jawnie i szlachetnie wyznawali humanitarne idee z gruntu jej wyrosłe.

Wtedy to na wysoki poziom wyniesiona cywilizacja klas wyższych wywierała na klasy niższe atrakcję potężną: mieszczanin oświecał się, wzbogacał, pracował — Żyd uczył się krajowej mowy i przybierał strój ogólnie noszony.

Oto jest strona tradycji naszej, którą bardzo mała liczba przewodników umysłowości społecznej społeczeństwa ukazuje. Cóż? Czy nie warto jej właśnie wziąć za przykład dla teraźniejszości, jej właśnie zagłady w pamięci publicznej lękać się, przez nią głosami przodków do ogółu przemawiać?

I kłamią także albo srodze mylą się ci, którzy budowę naszą za tak kruchą poczytują, że pierwsze lepsze nadużycie krytyczności i niepodległości myślenia o rozpadnięcie się przypisać ją może. Zapewne, każde dobro przynosi za sobą niepożądane wybujałości i nadużycia. Są krańce myślenia takie, na których krytyka wnet tylko może rozwalać a niepodległe burzyć, na których panują mrzonki, utopie*), wszechwzględne i rozkładające negacje. Lecz czyliż tak już jesteśmy słabi, że niezbędnej tej, wszędzie w Europie istniejącej wybujałości nie moglibyśmy zwalczyć i przerwać? Lękliwość ta nieuzasadniona, bo niczemu nie zaradzająca, bo to właśnie, czego lękamy się, wnika do nas przez wszystkie szczeliny na szeroki świat otwarte, a duszność powietrza naszego wzmağa tylko ostrość i szkodliwość tych powiewów przybywających z zewnątrz. Starając się zmniejszyć wpływy nauki na społeczność i trzymać w karchach rozwój i wzlot jej myśli, tłumimy ognisko, które grzać i oświecać nas może, a nie możemy przeszkodzić temu, że parzą nas iskry lecące z ognisk sąsiednich. Czyliż tak trudno zrozumieć, że dla swawoli myśli tylko swobodna praca hamulcem być może, że tylko

nauka udziela orężu mogących zwalczać utopie, że tylko na wysokim stopniu umysłowego rozwoju wyrabiają się siły twórcze zdolne stawić tamy prądom burzącym.

Co do mnie, wierzę, że wtedy tylko zagadnienia nasze społeczne wszelkie, z żydowskim włącznie, szczęśliwie rozwiązane zostaną, gdy nauka da nam możliwość badawczo, jasno i swobodnie myśleć, a myśl badawcza, jasna i swobodna, nauczy nas energicznie i umiejętnie działać.

Wierzę mocno, że zbiorowa indywidualność nasza posiada za sobą tradycję taką, a w samej sobie takie jeszcze siły trwania i życia, że myśl oświecona i niepodległa w najszerszych rozmiarach i ze wszystkimi nawet krańcowościami swymi unicestwić właściwych cech jej, ani o zagładę przyprowadzić jej nie może.

Wierzę, iż prędzej lub później — może bardzo prędko, zrozumiemy wielką omyłkę naszą i zamiast gasić światło z całych i wszystkich sił naszych rozpalać je będziemy.

Wierzę, że na wyższy poziom wyniosłszy ogólną umysłowość naszą, prędzej niż dotąd pozbywać się będziemy starych przesądów i nałogów; że pod działaniem uswobodnionej i wyćwiczonej myśli prędzej, dzielniej wykonywać się będą wszystkie nasze przedsięwzięcia i prace, że wiekowa cywilizacja nasza, skrzepiona i odmłodzona wiedzą i pojęciami czasów nowych, przyciągnie ku sobie i spoi ze sobą te grupy społeczne, które dziś są jej jeszcze wrogie albo obce.

Wierzę, że gdy dziecinne baśnie i fantastyczne widma ustąpią miejsca prawdom i naukom wiedzy, nienawiści umilkną, odrębności znikną, niedołęstwa zamienią się w dzielność, a pogardy i złorzeczenia we wzajemny szacunek dla spraw i godności człowieka.

Wierzę mocno, że tak się stanie. A jeśli ta wiara moja próżnym, jest marzeniem, niech umrę naprzód, nim ją postradam.

Wilno 1882.

RÓWNOUPRAWNIENIE WYZNAŃ I PŁCI

(„Nowe drogi”, rozdz. III)

Chociaż kwestie, któreśmy tu do wspólnego traktowania razem zestawili, dotyczą różnych stron ludzkiego życia, nie są one przecież do tyła sobie obce, ażeby przy sądzeniu podstaw edukacji człowieka łącznie rozebranymi być nie mogły. Zresztą, jeżeli nie istnieje między nimi żadne pokrewieństwo, to zarazem takie sąsiadowanie w jednym artykule nie obowiązuje przynależnych im dowodów do żadnej zawisłości.

Pomówimy zatem naprzód o równouprawnieniu wyznań. Zanim dalsze wnioski ściągną na nas anatemę*) krańcowych konserwatystów, pierwsze tytułowe założenie naszych dowodzeń naraża nas z pewnością u takichże postępców. Jeżeli bowiem chcemy wykazać konieczność równouprawnienia w wychowaniu wszelkich wyznań, tym samym sprzeciwiamy się najradykałniejszej teorii, która domaga się, ażeby z niego wyłączone były religijne pierwiastki. Twierdzenie swoje popiera tymi argumentami, że człowiek powinien się uczyć w dzieciństwie tylko tych niezawodnych prawd, które są wspólnym wszystkich ludzi wyznaniem, jego dojrzałości należy pozostawić wybór religijnego sztandaru. Te i tym podobne żądania, chociaż sformułowały się pod natchnieniem najsłuszniejszych zasad, chociaż niejednokrotnie wyrażają najwznioślejsze godła, grzeszą zwykle błędem wszystkich wielkich reform, mianowicie bezwzględnością. Rozwinąć w duszy tylko pojęcia matematycznej pewności, nie nawracać go (!) wtedy, gdy wszystko z sobą zrobić pozwala, ale ukształcić, uzdolnić i swobodnym popędem własnych myśli powierzyć — jest to bez wątpienia plan pedagogiczny tak wspaniały i racjo-

nalny, że nas nie dziwią najcudowniejsze rezultaty, jakie nieraz w swym wyjątkowym urzeczywistnieniu wydaje. Czy on jednakże może służyć za ogólny program wychowania? Czy można być pewnym, że prosty chłopiec lub rzemieślnik, wychowany tak jak Mill*) bez religii, również jak on będzie niepokalanie uczciwym? Nigdy! Nawet wątpliwością w tym względzie okłamywać się nie powinniśmy. Dlaczego? Rachunek bardzo prosty. Gdyby w edukacji owego prostaka zadanie religii podjęty i spełniły inne wpływy, nadto gdyby wpływy te były tak silne, złożone i szlachetne, jak w edukacji wspomnianego wielkiego myśliciela, rozumie się, dodatni wynik byłby niezawodnym. Ale zamiana taka w tym wypadku uskutecznić by się nie dała, zatem i religia przy roli swojej pozostać musi. Następuje więc tylko pytanie, jakie ona mieści w sobie wpływy, które jakkolwiek z innych czynników wydobyte być mogą, powszechnie jednakże w niej swe źródło mają? Odpowiedź jedna: wpływy moralne. Tak jest, religia ma dla społeczeństw wielką utylitarną*) wartość, wartość etyczną. Nawet wtedy, gdy nam postępowe reformy najbardziej umysł czarują, nie możemy, a raczej nie powinniśmy zapominać, że przez nas burzone systematy nie przestają ludzkości oddawać wielkich usług. Dziś religia, to dla nas zarazem etyczny kodeks. Ona jedynie uczy tłumy zasad moralności, ona układa ich surowe i żadnymi szlachetniejszymi popędami nie umiarkowane życie w ramy moralnie prawidłowego rozwoju. Gdybyśmy więc powiedzieli, że ona jest w ogóle bezpotrzebnym i szkodliwym w kształceniu elementem, że wychowanie człowieka winno być w zupełności bezwyznaniowym, popełnilibyśmy błąd i fałsz pedagogiczny. Pozbawiwszy nieuprawniony umysł prawd religijnych, pozbawilibyśmy go razem popędów moralnych, gdyż w nim ostatecznie tylko z pierwszych się rodzą. Oto są pobudki i zasady, które skłaniają nas do odrzucenia teorii bezreligijności jako absolutnego i całość dzisiejszych stosunków obejmującego prawa.

Mogłoby się tu jeszcze wsunąć nawiasowe pytanie, czy każda religia posiada tę moralną dla społeczeństwa użyteczność? Jakkolwiek głębokie istnieją między nimi przepaście i wydatne różnice, bez wahania powiedzieć można, że w zasadzie każda, a przynajmniej zrodzona i dojrziała na gruncie cywilizowanego życia. Jest to właśnie węzeł, który wszystkie łączy wspólnym pokrewieństwem. Choć natura historycznych i miejscowych warunków, w jakich się sformułowały pierwsze zawiązki, a następnie rozwinęły wykończone systematy religijnych pojęć, złożyła je z najrozmaitszych żywiołów i skombinowała w najrozmaitsze teorie, chociaż w nich etyczne reguły zajmują często wprost negujące się pozycje, to jednak niezmiennym pozostaje powszechny fakt ścisłej solidarności każdej religii z moralnością tego czasu i narodu, do których obie należą.

Zrobiwszy to zastrzeżenie, a raczej komentarz wyjaśniający nasze stanowisko wobec zyskującej coraz szerszy kredyt antyreligijnej w wychowaniu teorii, powracamy do głównego naszego przedmiotu, a mianowicie do równouprawnienia wyznań. Przede wszystkim musimy odsłonić znaczenie, jakie tym wyrazom nadajemy. Mówiąc bowiem nie o jakiejś specjalnej formie edukacji, w której one reprezentują określoną i znaną zasadę, ale o edukacji w ogóle, moglibyśmy bardzo łatwo gołosłownością narazić myśl naszą. Jakiż bowiem na pozór związek mieć może kwestia równouprawnienia wyznań z wychowaniem rodzinnym? Dzieci jednych rodziców nie są przecież, a przynajmniej nie są zwykle różnowiercami — mielibyśmy doradzać, ażeby nimi były? Nie o to idzie. Przez równouprawnienie wyznań w wychowaniu pojmujemy: w rodzinnym zasadę szanowania każdej religii, a w publicznym, zasadę jednakowego dla wszystkich obywatelstwa. Innymi słowy, postulat ten wypełnionym będzie wtedy, gdy rodzice uchronią się od fanatyzmu, a państwo od nietolerancji. Zastanówmy

się osobno nad obydwoma stronami kwestii. Naprzód, kiedy rodzice uchronią się od fanatyzmu i dlaczego odeń uchronić się mają? Pierwsza połowa tego pytania rozwiązuje się łatwo. Jeżeli wychowując dziecko w ten sposób na nie działamy, że ono czcząc swoją religię wszystkie inne obok niej jako niższe, ale również szacunku godne uważa, jeżeli wskutek naszych usiłowań nie stanie się ono w tej sferze Grekiem przekonanym, że poza krawędziami jego wyznania żyją tylko barbarzyńcy, że jednostki odmawiające inny pacierz lub wierzące w inne dogmata są stworzeniami pośledniejszego gatunku — to wtedy widocznie nasze edukacyjne środki i sposoby nie zarażone były fanatyzmem. Podstawy zatem służącej tym rezultatom metody są bardzo jasne. Pozostaje więc tylko drugie zagadnienie, czy podobna metoda jest racjonalną, dobrą i konieczną? W liczbie celów wychowania mieści się jako jeden z najważniejszych obowiązek wyrobienia w dziecku tych przekonań, które mu najbezpieczniej, najszcześliwiej i najumiejtniej pozwolą jako człowiekowi istnieć i działać w przyszłych warunkach życia. Czyż więc te warunki wymagają po nim religijnej tolerancji? Nie inaczej. Żadna cywilizowana społeczność nie jest jednolitą, w skład jej wchodzi w większym lub mniejszym stopniu żywioły różniące się nie tylko inteligencją i stanowiskiem, ale także i religijnym wyznaniem. Każdy z nich, o ile to ostatniego względu się tyczy, jest przez miejscowe prawa równomierne z innymi uprzywilejowany. Ażeby więc człowiek mógł się utrzymać i działać w otoczeniu tych sprzecznych z sobą i z nim elementów, musi dojść do pewnego z nimi porozumienia, do pewnej zgody, to jest musi ich z przekonania obok siebie równouprawnić. Nie ma wątpliwości, że samodzielne życie jest także bardzo wpływową szkołą i że często bez śladu zaciera błędy i naprawia niedostatki wychowania, ale i to także jest niezawodnym, że ono wobec silnie sformowanych organizatorów traci nieraz swą siłę,

że pierwotny układ natury człowieka opiera się niekiedy najpotężniejszym naciskom doświadczenia, że wreszcie nawet własnowolny przymus nie może nigdy doprowadzić do tej z warunkami harmonii, do jakiej zawsze doprowadzają szczere przekonania. Jeżeli przypomnimy sobie owe dziwnymi pobudkami wywołane, a kosztownymi moralnie skutkami kończące się katastrofy, owe gwałtowne starcia wrogich żywiołów, które istniejąc obok siebie wcale się nie poznały i żadnym związkiem nie skojarzyły, owe niczym nierozpłatane powikłania stosunków religijnymi sprężynami do walki popchniętych, ową nienawiść i wzajemne krzywdzenie się partyj interesem tego lub owego hasła wiary sfanatyzowanych, jeżeli mówię, to sobie przypomnimy, zrozumiałą wyda nam się zasada tolerancji do rodzinnego wychowania wprowadzona. Obok tych stają inne równie ważne względy. Fanatyk jest kaleką umysłowym. Skrępowany w swym duchowym rozwoju pętami systematu, który jego myśli nie pozwala zrobić żadnego swobodnego ruchu, kręci się w zakłętym i ściśle ograniczonym kole pojęć, nie może wznieść się ani nad poziom swego ciasnego światka, ani obszarów wolnym okiem zmierzyć.

Wyznanie, któremu się bez zastrzeżeń sprzedał, odliczyło mu i odważyło pewną gromadkę prawd, które mają mu na wyżywienie duszy przez cały czas jej istnienia wystarczyć. Nawet dorobek tu jest niemożliwy i wzbroniony. Wolno tylko otrzymany zapas pewników drobić, w najrozmaitszy sposób przyrządzać i kombinować, ale pomnażać lub przerabiać — nigdy! Fanatyczny religijny system wyznawca nie powinien uwierzyć w przyciąganie ziemi lub siłę pary, jeżeli go ów systemat do tego nie upoważni. Na jaką wartość dla siebie i ogółu umysł podobny zdobyć się może?

Jakkolwiek już równouprawnienie wyznań w edukacji domowej przypisuje rodzicom, ażeby, o ile im stosunki pozwalają, wcześniej oswajali dzieci z wszelkimi gatunkami

religijnych odmian, wszakże zadanie takie należy przeważnie do obowiązków publicznych. W szkole bowiem, gdzie odmiany tego rodzaju gromadzą się liczniej i stykają bliżej, zaprowadzenie między nimi harmonii jest kwestią pierwszorzędno znaczenia. Ażeby ją rozwiązać, a rozwiązać racjonalnie i sprawiedliwie, musi państwo równouprawniać wszystkie religijne żywioły wobec oświaty, a wykonawcy jego woli równouprawnienie to aż do najdalszych jego krańców rozwinąć. Innymi słowy, edukacyjny systemat nie powinien mieścić w sobie żadnych przywilejów i wyróżnień, nauczyciele powinni wszelkie religijne dysharmonie praktycznie godzić. Słuszność przyznać każe, iż rządy całej niemal Europy zasadę tę przyjęły, jeżeli więc o co obecnie dbać trzeba, to głównie, ażeby ona umiejętnie i całkowicie stosowana była. Szkoły wyznaniowe wobec nauki straciły już nieodwołalnie wszelką rację bytu, z organizacji publicznego wychowania usuwane są nieustannie. Za śladem nauki i ludy doszły do tego wniosku, że jeżeli różne religijne społeczeństwa składniki muszą w nim z sobą sąsiadować, winny się porozumieć, i że porozumieć się mogą w życiu tylko wtedy, gdy się poznają i połączą w szkole... Taż sama zasada, która nam każe głosić i wierzyć, że wspólne w młodości obcowanie ludzi rozmaitego pochodzenia sprowadza upadek kast i stwarza obywatelską równość, taż sama, mówię, zasada wskazuje, że wspólne w młodości obcowanie ludzi odmiennych wyznań przyczynia się do religijnego, a zatem i społecznego pojednania. Szkoła nie powinna wychowywać nienawiści, lecz braterstwo, nie powinna puszczać w świat apostołów fanatyzmu, lecz tolerancji.

Sądźmy, że suma wymienionych i z lekka potrąconych przez nas względów rozstrzyga w przekonaniu czytelnika kwestię równouprawnienia wyznań w wychowaniu twierdząco.

Przechodzimy do drugiej. Łączy się ona z pierwszą nie tylko podobieństwem teoretycznego w naszym wywodzie rozkładu, ale nadto podobieństwem życiowych zagadnień: obie w sobie mieści lub porusza. Postarajmy się więc i dla niej naprzód o ścisłą definicję. Przez równouprawnienie płci w wychowaniu rozumiemy, w domowym równomierną i równoległą edukację wszystkich dzieci, w publicznej zaś równomierną i równoległą edukację młodzieży obu płci. Przed bliższym określeniem naszych zasad względem każdej z tych form wychowania winniśmy uprzednio dodać, że zamykając kwestię w obręb kategorycznego postulatu nie mamy zamiaru wydawać prawodawczych w teorii postanowień, ale tylko rachujemy na znajomość czytelnika z przedmiotem, którego zasadnicze punkty stały się dość popularne, a główne wywody i wnioski zdecydowane i wiadome. Przyszajemy to, że żądając dla obu płci jednakowego wychowania, a zatem i ukształcenia, dotykamy sprawy rozległej, do dziś sądzonej, poplątanej chaosem najrozmaitszych świadectw i mniemań, nie wahamy się mimo to, usunawszy na bok jej akta, oświadczyć się za wyrokiem najpotężniejszych umysłów, za wyrokiem ogłaszającym zupełnie równouprawnienie kobiety i mężczyzny wobec wychowania. Ta zasada jest naszym punktem wyjścia — mijamy drogę, która do niej prowadzi, a wskażemy tylko tę, którą ona rozpoczyna. A więc zgodziwszy się na to, że obie płcie mają jednakie prawo do naukowej i życiowej wiedzy, zastanówmy się nad pytaniem, czy one powinny być wspólnie wychowywane? Być bowiem bardzo może, iż młodzież żeńską tak samo kształcić trzeba jak męską, ale czy również potrzeba kształcić je łącznie? Czy jednostki i narody nie utracą w takim skojarzeniu płci wszystkich tych korzyści, jakie by przy ich rozdzieleniu odnieść mogły? Pytania te służą wprowadzić jeszcze za temat długich i różnymi wnioskami kończących się rozpraw, nie kryją one wszakże już takich wątpliwości, które by przeciwko sta-

nowczej odpowiedzi protestowały. To, co jeszcze pozostało w nich niepewnego, dotyczy zaledwie pobocznych stron zagadnienia. W jakąż więc formułę ułożyć się daje i powinno jego rozwiązanie? Jedynym, a przynajmniej głównym punktem sporu w tym przedmiocie są względy etyczne. Jeżeli powstajemy przeciwko wspólnemu wychowaniu młodzieży, to przede wszystkim dlatego, iż obawiamy się o interesa moralne. Czyż więc rzeczywiście są one wtedy bardziej zagrożone? Nigdy, przenigdy. Nałóg, uprzedzenie, ślepota, nieświadomość lub coś z tego rodzaju może tylko natchnąć podobną opinię. Wyżej powiedzieliśmy, że ażeby różne religijne lub społeczne żywioły mogły się pogodzić, powinny się wcześniej z sobą oswoić i wzajemnie na siebie oddziaływać. Taż sama reguła, w tymże samym znaczeniu da się tu użyć. Jeżeli stosunek między płciami ma być moralnie prawidłowym, musi być wcześniej przygotowany, jeżeli mężczyzna nie ma być drapieżnym zwierzęciem, a kobieta niedołączną ofiarą, muszą oboje rozwijać się obok siebie i z sobą. Europejczyków zwiedzających Amerykę niezmiernie zadziwia fakt szczególnej obojętności męskiej połowy zaludnienia względem żeńskiej. U nas dzieje się wprost coś przeciwnego. Mężczyźni wszelkich odmian połowę swych myśli marnują na niskie, człowieka niegodne zachwyty lub refleksje nad *płcią piękną*. Zdaje się, ich zajęcia są tylko dodatkowymi i pobocznymi zawodami przy jednym głównym, wszystkich obejmującym, mianowicie przy zawodzie adoracji niewieścich wdzięków. Tam — w owym świecie — rzeczy te ogółu gwałtownie nie interesują. Mężczyzna przestając z kobietą od dzieciństwa oswaja się z nią, nie łechcze swej wyobraźni tajemnicami przeczuwanych i powiększanych rozkoszy, ona zaś przestając z nim wychładza w sobie pomału trawiące popędy i nabiera odpowiedniego hartu. U nas objawy są przeciwne, bo też są rezultatami przeciwnych psychologicznych procesów. Młodzież męska, usunięta w wychowaniu od nie-

wieściej jakoby dla jej bezpieczeństwa, czeka tylko sposobnej chwili zbliżenia się i powetowania sobie z całym składanym procentem wszystkich straconych zadowoleń. Dodajmy, że uczucia tych zadowoleń, o ile w swych związkach są spokojne i niewinne, o tyle w późniejszym, zaledwie przemocą stłumionym natężeniu, stają się źródłem gwałtownych i skażonych namiętności. Podobnie rzecz się ma z rozwojem kobiecej młodzieży. Trzymana w klauzurze*) domowej lub szkolnej edukacji karmi imaginację obrazami przyjemności wysnionych, domyślnych, z dalekiego odgłosu wrzawy zachwyconych i fałszywie pojętych. Tak zwana dojrzała panna wstępując w życie nie zna go, nie zna głównego swego przeciwnika-mężczyzny, z którym musi stoczyć pojedynekową walkę, nie zna wreszcie ani sposobów oporu, ani rodzaju broni, ani korzyści zwycięstwa, ani klęsk przegranej. Słowem, idzie tam, gdzie ją niewiadomoś i potrzeba wrażeń prowadzą, gotowa w największym upadku dojrzeć bohaterstwo i odczuć rozkosz. Wobec tej niestety dość licznej kategorii zjawisk czy można się obawiać szkód moralnych równouprawnieniem płci w wychowaniu sprowadzonych i czy można się wahać w przyznaniu takiej reformie chwały zwrotu dobroczynnego? Jak słyszymy, zyskała ona w ucywilizowanym świecie sankcję*) najpomysłniejszych rezultatów praktycznych. Zresztą, jeżeli odbywana u nas próba może coś w tym względzie zaważyć, a zaważyć powinna, to przypomnijmy sobie, że w naszych szkołach elementarnych od dawna już stosowane równouprawnienie płci wykazuje tylko dodatnie skutki. Pozostaje więc jedynie pragnąć, ażeby rodzice uprzedzając państwową reformę w swoim obrębie i swoimi środkami działali w jej duchu.

O WYŻSZYM UKSZTAŁCENIU KOBIET

(Odczyt z dnia 13 grudnia 1873 r.)

(Wnioski końcowe, które nie były wygłoszone w odczycie, a wydrukowane zostały w numerze 9 jako zakończenie).

Wyższe ukształcenie kobiet nie miało u nas w przeszłości wielu, a nawet nie miało silniejszych wyrazów. Wprawdzie już od początku wieku XVI zaczyna się nieprzerwany i coraz liczniejszy zastęp autorek, wprawdzie np. Piotrowczykowa biegle pisze po łacinie; Radziwiłłowa gruntownie zna historię, prawo krajowe, kanoniczne*), a nawet teologię; Wielopolska i Jabłonowska wydają znakomite na swój czas ustawy gminne; Czartoryska wykłada samodzielnie teorię ogrodnictwa, a tłum niewiast umiejętnie kieruje społecznymi i politycznymi sprawami; wszakże mimo te objawy historia wyższej wiedzy kobiecej u nas jest ilościowo i jakościowo daleko uboższą aniżeli historia tej wiedzy w innych krajach, którym nasz dorównywał w cywilizacyjnym rozwoju innych żywiołów. Wsparty na podstawach rodzinnej surowości, a przechowany do najpóźniejszych czasów patriarchalizm*), poddaństwo prawne i obyczajowe, ograniczenie pola pracy, mała skala edukacji średniej, brak zakładów wyższej, wszystko to łącznie tępiło w żeńskiej młodzieży bujniejsze pragnienia, a co najmniej nie pozwoliło im rozrosnąć się i dojrzeć. Jak powszechnym gaszeniem kobiecej myśli i jak ona niemieniała, świadczą już wzmianki pisarzy jeden (Glober) skarży się, iż „mężych przodków strzegą, aby białogłowy ły i ksiąg żadnych rozumnych nie czytały w obawie, ażeby kobiety obdarowane

z przyrodzenia ostrzejszym pojęciem nie przewyższały ich rozumem¹⁾), gdy tymczasem znowu drugi (Górnicki) dowodząc swej tezy, iż „białogłowa wszystko to umieć może, co i mężczyzna” i że jest „sposobniejsza ku pojęciu nauk subtelnych”, kreśli dokładnie surową fizjognomię przeciwnego tym pojęciom stronnictwa²⁾). Jak wykrywa monografia p. Chomentowskiego, nawet w łonie sejmujących w Warszawie r. 1653 stanów podnoszono kwestię ograniczenia wpływu niewiast. Jeżeli obok wszystkiego przypomnimy sobie, że aż do XVIII wieku zwykłe wychowanie było prawie wyłącznie domowe, najczęściej zredukowane do czytania, pisania, religii i rachunków, a w zamożniejszych domach powiększane co najwyżej o znajomości jednego lub kilku nowszych języków, co nie mogło dać gruntowniejszej wiedzy ani nawet do niej pobudzić, jeżeli to sobie, powtarzam, przypomnimy, to wcale nam się nie wyda dziwnym, że gdy Sowiński³⁾ przed 50 laty zebrał swą wprawdzie niekompletną, ale względnie dość obfitą galeryjkę *uczonych Polek*, pokazało się, iż właściwie *uczonych*, oprócz może kilku, nie było, i że reszta z niewielkim wyjątkiem składała się z samych tłumaczek...

Ale... zamknijmy tymi kilkoma spostrzeżeniami rachunek z przeszłością, której długi względem naszej oświaty ko-biecej czy to przez niemożność, czy przez nieogłędność nie spłacone — są dla nas w obecnej chwili przedmiotem kwalifikującym się tylko do nawiasu. Główny bowiem akcent naszej uwagi spocząć musi na teraźniejszości, w łonie której pod lekką powłoką starej pleśni, pokrywającej jeszcze zwykłe opinie w kwestii niewieściej nauki, dojrzały i prze-

¹⁾ Cyt. u Wł. Chomentowskiego „Stanowisko praktyczne dawnych niewiast polskich”, Warszawa 1872 r. (przyp. aut.).

²⁾ Łuk. Górnickiego „Dworzanin Polski”, wyd. K. J. Turowskiego w Krakowie 1858 ks. II (przyp. aut.).

³⁾ Sowiński Jan „O uczonych Polkach” Warszawa i Krzemieniec 1821. Dziś bardzo rzadkie, zaledwie udało mi się wynaleźć je u Friedleina, Księgarza w Krakowie (przyp. aut.).

mówiły potrzeby na elementach nowszego życia wyrosłe. Jakimiż więc te potrzeby przemówiły do nas wymaganiami? Albo inaczej mówiąc: czego żąda od nas dla swego rozwoju sprawa wyższego ukształcenia kobiet? Żąda: 1) gruntownej średniej edukacji jako przygotowania, 2) wyższych żeńskich instytucji jako opieki, 3) protekcji ogółu jako poparcia. Jakie naukowe drogi głównie zaleca żeńskiej młodzieży? *Przedewszystkiem* te, które prowadzą na pola pracy dozwolone, a mianowicie gałęzie umiejętności dotyczące trzech przeważnych u nas kierunków działalności kobiecej: pedagogiki, gospodarstwa, przemysłu.

Stały tu więc przed nami literalnie też same odpowiedzi, któreśmy już poprzednio wyrazili rozstrzygając powyższe pytania w ramach ogólnego życia ucywilizowanej ludzkości. Pozorne to wykrycie ogólnych wniosków kwestii w specjalnych prawidłach naszej logiki społecznej wkłada na moją pogadankę obowiązek przypasowania teoretycznych zasad do praktycznych warunków naszego życia. To jest, że np. wskazawszy potrzebę wyższego zakładu dla kobiet winienem jednocześnie zaraz objaśnić, według jakiego planu i jakimi środkami stworzyć go trzeba. Tego rodzaju wszakże zadanie z jej ram wyłączam. Jako potoczny temat jednogodzinnego przemówienia byłoby ono za obszernie, a jako propozycja lub rada z tego miejsca wygłoszona — bezpotrzebne i daremne. Od kogo ma wyjść inicjatywa, kto winien starać się o jej zatwierdzenie u rządu, skąd i jak należy zgromadzić odpowiednie zasoby, czy wziąć od Kursów Żeńskich w Moskwie, czy od Wassarowskiego Kollegium, czy złożyć sprawę w ręce klasy możnej, czy oprzeć się na drobnych ofiarach średniej — te i tym podobne pytania dałyby właściwy materiał rozprawom posiedzeń jakiegoś stowarzyszenia lub artykułom dziennika, a nie teoretycznym wywodom. Ukazałem szanownym słuchaczom w przelotnym spojrzeniu, czy i jak opiekować się

należy wyższym ukształceniem kobiet, czy i jak cywilizowane ludy nią się opiekują: ponieważ zaś widzieliśmy, iż w całej niemal Europie dopiero pracę na tej niwie rozpoczęto, zatem wszystkie uwagi, jakie nam się przy ogólnym tej kwestii sądzeniu nasręczyły, mogą służyć jako wskazówki uprawy owego ukształcenia u nas. Godząc tedy charakter i plan mojej pogadanki z istotą i logiką potrzeb mojego społeczeństwa, wypada mi tyle tylko i tak powiedzieć.

Prawa wszechludzkiej cywilizacji, prawa naszego historycznego rozwoju i obecnego położenia wymagają po nas, ażeby rodzice wobec swych celów i obowiązków odnoszących się do wyższego ukształcenia dzieci równouprawnili z synami córki, ażeby przed wprowadzeniem tych córek do przybytków szerszej nauki i na pole szerszego życia, przygotowali należycie do pierwszej ich umysł, do drugiego ich charakter, ażeby zwracali je głównie ku kierunkowi wiedzy najbardziej odpowiadającemu naturze niewieściego przeznaczenia, społecznego układu i nastroju w danej chwili; ażeby znowu inteligentny ogół ze swej strony zajął się stworzeniem odpowiednich u siebie instytucji. W tym krótko sformułowanym wymaganiu mieści się cały systemat postępowania i pracy dla interesów wyższej edukacji kobiet. Drobiazgowo, praktycznymi wskazówkami przetykane przeprowadzenie tego systematu, byłoby zbyt czynnym wyręczaniem rozważniejszych umysłów, które sobie z niego łatwo szczegółowe wnioski wysnują. Rozumny ogół nie żąda takiego trudu, on zawsze dobroczynne natchnienia pojmie właściwie i całkowicie. Odnosnie więc do wyższego niewieściego ukształcenia, dla poparcia przed nim jego sprawy, dosyć mu przedstawić główny jej przebieg, punkty sporu, oskarżenia i obrony, dosyć wreszcie przeniósłszy proces na grunt swojski, powołać się na takie ogólne argumenty: Żyjemy w kraju i czasie, w których nam nie podobna bez obrazy praw powszechnej cywilizacji i własnej naszej umy-

słowej godności, smakować w szyderstwach z żeńskiej nauki, chociażby najprzedniejszym ekstraktem satyrycznego dowcipu przyprawionych. Jest rzeczą dowiedzioną teoretycznie i praktycznie, że wielkość kobiety leży w prostym stosunku od wielkości jej myśli, że wyższa wiedza podnosi i reguluje zarówno jej działalność, jak stanowisko, i że jedynie uzdolnia ją do umiejętnego wyzyskiwania sfer pracy już zdobytych i trafnego wyboru jeszcze nie zajętych. Czyli, że podstawiawszy w tę ogólną regułę specjalne wyrazy naszego życia, powiedziec wypada: Przez wyższe ukształcenie kobiety zyskujemy to, iż 1) jako żona nie jest, mówiąc językiem Pelletana*) „drewnem do rozpalenia domowego ogniska“, lecz równą umysłowo współpracowniczką i współtowarzyszką swego męża; 2) iż jako matka nie jest fizyczną jedynie żywicielką swych dzieci, lecz zarazem światłą ich dusz piastunką i mistrzynią, nie tą opiekuńczą ręką, która młode organizmy od spożycia każdej świeższej prawdy strzeże, lecz tą, która im owe prawdy na odpowiedni pokarm przerabia; 3) iż jako jednostka społeczna nie jest pasożytem lub ofiarą swej niemocy, lecz dzielnym i użytecznym człowiekiem, który ma trwałą podstawę i rację samoistnego bytu, który umie wybrać sobie właśnie pole do pracy, uprawić je doskonale i utrzymać się na nim bezpiecznie; 4) iż jako część społecznej ciała jest jego koniecznym organem i przyczynia się do powiększenia skali jego życia, dobrobytu i oświaty. Czy idea wiedzy niewieściej potrzebuje silniejszych blasków, ażeby olśnić i zjednać dla siebie nieufną wiarę naszą? A gdyby można było wszystkie te jej blaski ukazać! Szczęściem dojrzy je każdy z szanownych słuchaczy, jeżeli tylko umie wznieść się aż do tych wyżyn myśli, na których z pół odsłoniętym obliczem spoczywają wielkie zagadki naszych ludzkich i społecznych przeznaczeń.

Przegląd Tygodniowy 1874, nr 1—9.

KILKA SŁÓW O KOBIETACH

Rozdział I

O celach i drogach kobiet

(wyjątek)

Z jakiegokolwiek stanowiska zapatrujemy się na człowieka — czy z ewangelicznego, które się opiera na ogólnej miłości, czy z ekonomicznego, które się opiera na ogólnej korzyści, czy z egoistycznego, mającego na względzie interes jednostki — zawsze widzimy nieuniknioną dla człowieka potrzebę raz obranego i wytkniętego celu istnienia, jeżeli to istnienie ma być rozumne i przynoszące pożytek tak jemu, jak społeczności, do której on należy. Jakim jest cel ten, zależy to już od wyłączonych usposobień i położenia jednostki; ale jakikolwiek on jest, stanowi w życiu człowieka główny punkt, na który skupiają się wszystkie siły jego działalności, niby nici zbiegające się w środkowym węźle pasma. Z natury człowieka i ustroju społeczeństw wynika, że każdy dążący do pewnego stale zakreślonego celu na drodze swojej spotykać musi zapory, to płynące z własnej jego istoty, jak na przykład: nieumiejętność, namiętność, brak silnej woli itd., to leżące w prawach rządzących społecznością, w przesadach moralnych lub materialnych niedostatkach, we wszystkim zresztą, co będąc z natury swej złym czy dobrym, odnośnie do jednostki jest utrudzającym jej dojście do zamierzonego celu żywiołem. Zwyciężanie, obalanie tych rozlicznych zapór jest trudem; aby trud ten ponieść skutecznie, trzeba posiadać siłę do przeniesienia go i umiejętność skierowania wysiłen swoich tak, aby w danym razie najkorzystniejszymi były. Ani z siłą taką, ani z umiejętnością nikt na świat nie przychodzi.

Uczeniem się, pracą, mozolnym zaprawianiem się człowiek zdobywa jedno i drugie; długo pracować on musi na to tylko, aby jak najlepiej pracować umiał, a ta udoskonalona z pomocą długich trudów umiejętność pracowania służy mu do osiągnięcia wytkniętego celu.

Ktokolwiek więc ma wytknięty przed sobą cel życia, musi wiedzieć, jakie w dojściu do niego spotka zapory, jakie trudy przyjdzie mu ponieść dla zwyciężenia tych zapór, musi uczyć się znoszenia tych trudów, a następnie, w logicznym porządku rzeczy, jak najumiejtniej i najkorzystniej dla swego celu je ponosić.

Surowe to jest zapewne i na pierwszy rzut oka niepowabne pojmowanie życia, konieczne jednak, bo wskazywane nam przez wszelkie poglądy teoretyczne i doświadczenia praktyczne.

Evangelia mówi: „drzewo bezowocne rzucone będzie w ogień na zniszczenie.” Owocem życia człowieka jest czyn, pojęcie zaś czynu nasuwa myśl celu, dla którego czyn jest spełniany, i trudu przywiązanego koniecznie do aktu spełniania.

Ekonomia polityczna ukazuje nam człowieka spotykającego w istnieniu swym trzy konieczne żywioły: *potrzebę, wysiłek, zadowolenie*.

Wysilenie — więc trud, zadowolenie — więc cel, potrzebę — więc wrodzoną konieczność trudu i celu. Historia przedstawia nam wspaniały widok ogromnych zbiorowych jednostek zwanych narodami, dążących do rozlicznych celów przez najróżniejsze, a często krwawe zapasy i trudy.

Dla jednego z narodów tych, wskutek czasu i miejsca, w jakich żyły, i natury składających je jednostek wytkniętym celem był przemysł (Fenicia, nowożytna Holandia); dla innych podboje (starożytny Rzym); dla innych jeszcze sztuki piękne (starożytna Grecja); to znowu doskonałość politycznych i społecznych instytucyj (Stany Zjednoczone, Szwajcaria).

Dobre lub złe, stosownie do pojęć różnych czasów i umysłów, zawsze jednak cele te były punktami ciężenia, ku którym zbiegały się mozolne, często męczeńskie, wysilenia narodów. A im który jaśniej cel swój widział przed sobą, im wytrwalej, wierniej i umiejętniej do niego dążył, tym był potężniejszy; wszelkie zaś zboczenia i zachwianie się, czy to wynikłe z rozprężenia zaszłego w jego własnym organizmie, czy zrządzone przez parcie zewnętrznych okoliczności, stawały mu się powodem nieuniknionego chylenia się ku upadkowi albo zupełnego upadku. Przejście wielu lat albo też pochłaniający jednostkę widok ogólny całego narodu wyjątkowo tylko daje nam rozróżniać pojedyncze dążenia i działalności. Wszakże najprostsze pojmowanie rzeczy wskazuje, że w narodach jednostki, które je składają, dążą przez trud do celu.

Wszędzie więc i zawsze, gdziekolwiek rzucimy okiem, czy to w dziedzinę nauczających ludzkość, z samej-że natury tej ludzkości wysnutych, teoryj, czy na zastosowanie tej teorii w długim przebiegu dziejów różnych społeczeństw, widzimy niezbędny, nieunikniony dla istnienia człowieka cel i konieczny też dla dojścia do celu trud.

A im lepiej jednostki chcą i umieją dążyć do swoich celów, tym prędzej, tym skuteczniej ludzkość cała dąży przez postęp ku dobru.

Jeżeli zatem człowiek chce żyć logicznie i rozumnie, a pożytecznie dla siebie i ludzkości, której jest członkiem, powinien: 1) znaleźć i jasno wytknąć sobie cel; 2) poznać i zrozumieć leżące tak w nim samym, jak w zewnętrznym świecie zapory; 3) nauczyć się najwytrwalej ponosić trud i najumiejętniej kierować wysileniami mającymi go doprowadzić do osiągnięcia wytkniętego celu. Takim się zdaje być rozumne osnucie człowieczego istnienia, taka rządząca tym istnieniem teoria.

Przejdźmy na pole praktyki.

Ile jest na świecie gałęzi działalności ludzkiej w dziedzinach fizycznej lub umysłowej pracy, tyle różnych celów

odkrywa się przed wchodzącym na drogę życia mężczyzną. Zaledwie umysł jego pojmować zaczyna, słyszy on o tym, że jest człowiekiem, że winien mieć swój cel istnienia, do którego chcąc dojść spotykać będzie zapory, że zapory te zwyciężać i obalać przyjdzie mu z trudem, że zatem nabywać winien umiejętności pracowania, to jest obalania zapór w dążeniu do celu.

Wchodzący na drogę życia mężczyzna bada swoje skłonności, zdolności, warunki społeczeństwa, w jakim żyje, stosownie do własnej natury i zewnętrznych okoliczności, co go otaczają, wybiera sobie cel istnienia; pracuje naprzód dlatego, aby w przyszłości najlepiej pracować umiał, następnie wchodzi w życie znając zapory, jakie leżą w nim i w koło niego; walczy z nimi; wiedząc, jak walczyć trzeba, aby zwyciężyć, i o ile nie staną mu na przeszkodzie nie mogące być z góry przewidzianymi i obrachowanymi zapory, dochodzi do wytkniętego przez się celu.

Takie właśnie i jedynie takie życie mężczyzny nazywa się życiem logicznym, prowadzącym do pewnych pożytecznych wyników i jego jako jednostkę i społeczność, w której żyje.

Zobaczmy, o ile takie pojęcie życia służy istnieniom kobiety.

Mało zapewne w wieku, w którym żyjemy, znajduje się ludzi, co by w teorii zaprzeczali temu, że kobieta równym mężczyźnie jest człowiekiem. Tyle wreszcie i tak długo pisano i mówiono o tej elementarnej prawdzie, której jednak ludziom tak trudno się nauczyć, że dziś, gdyby ktokolwiek i powątpiewał o niej, skryłby w sobie to powątpiewanie nie chcąc narazić się na nazwę zacoфанego człowieka. Ogólnie więc, z przekonaniem lub z pozorem przekonania, powtarzają wszyscy, że kobieta równym jest mężczyźnie człowiekiem.

Pojęcie to jednak istnieje tylko w teorii, a w zastosowaniu kobieta zawsze zostaje istotą ludzką wprawdzie, ale

niepełnoletnią, naturą swoją więcej zbliżona do kwiatu, lalki, anioła, niż do człowieka.

Bardzo rzadko i wyjątkowo na początku istnienia swego dowiadyuje się o tym: że jest człowiekiem w całej pełni i doniosłości tego wyrazu, że zatem winna wytknąć sobie cel ludzki, do którego osiągnięcia iść ma przez trud, to jest przez pracę myśli i czynu.

Wprawdzie gdy mowa jest o celu istnienia kobiety, brzmi zwykła, odwieczna, jak codzienny pacierz powtarzająca się formuła: kobieta stworzona jest, aby być żoną, matką, gospodynią i brzmia też odwieczne wyrazy: poświęcenia się, zaparcia itd. Bywa jeszcze niekiedy mowa o celu estetycznym, o tym, jak kobieta ma wyobrażać w ludzkości piękno, sferę idealną itp., co zawsze wychodzi na odzianie jej więcej kwiatkową lub anielską, niż człowieczą naturą.

W każdej z tych formuł i w każdym z tych pięknie brzmiących wyrazów leży wielka prawda, ale zawsze w zastosowaniu brak im tej zasady: kobieta jest przede wszystkim i nade wszystko człowiekiem, cele więc jej muszą być ludzkie i, jako takie, spotykać zapory nie dające się inaczej zwyciężyć, jak trudem; aby zaś ten trud skutecznie ponieść, kobieta powinna posiadać i używać takiejże siły moralnej i umiejętności, jakie w logicznym życiu posługują mężczyźnie.

Warszawa, 1888.

ROZDZIAŁ V

PRACA OD PODSTAW I PRACA ORGANICZNA

PLATE 7

PLATE OF THE WALL OF THE CHURCH

PLATE OF THE WALL OF THE CHURCH

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI*)

PRACA U PODSTAW

I. Ogólne jej pojęcie.

Żaden może przesąd nie wrósł głębiej w grunt życia narodów, żaden dłużej nie opierał się najgwałtowniejszym burzom socjalnym, jak przesąd kastowości. Dziewiętnaście wieków powtarza ludność hasło wielkiego mistrza z Nazaretu, głoszącego wszechwieczną równość, a jednocześnie przez całe te dziewiętnaście wieków rozłamuje się uparcie na często wrogie, a zawsze obce sobie żywioły.

Chryścianizm z całą swą szlachetną tendencją, z całą mocą swego wpływu i potęgą władzy nad umysłami, byłby nie podołał sile pogańsko-barbarzyńskich obyczajów, gdyby go nie wsparła nowoczesna cywilizacja. Mechaniczne tylko nałogowe wymawianie przykazań nie zdołało zmusić nikogo do stosowania ich w czynie. Nieraz nawet praktyka strasznie swym przeczeniem urągała martwej teorii, w której iskry życia pomału wygasły. Na wskroś chrześcijańskie i religijne wieki, jak np. średnie, były zarazem epoką najliczniejszych i najbardziej skamieniałych rozgraniczeń kastowych. Nigdy systematycznego sztucznego porządkowania warstw społecznych nie był więcej rozgałęziony, nigdy hierarchia stanów pilniej strzeżoną, nigdy drabina socjalna liczniej uszczelbioną stopniami pochodzenia, jak w tym okresie najgorliwszego przywiązania do godeł równości wypisanych na sztandarze wiary. Ileż to szerokich schodów umieszcila niewielka na pozór przestrzeń, dzieląca pana feodalnego od kmiecia! Żelazne kadry ukute w ciemnym wnętrzu poga-

nizmu rozlutowały się i roztopiły na chwilę w ogniu nowej nauki, ale wnet zimny powiew średniowiecznego barbarzyństwa tak je zmroził i powiązał, że już późniejsze, znacznie wychłodzone ciepło religijne trwałości rusztowania naruszyć nie mogło. Dziś, gdy rzucimy okiem na tę dobę dziejów, spostrzegamy w niej dość dziwny i ciągle powtarzający się widok różnego rodzaju suzerenów*), których stopy wtłaczają bezlitośnie w ziemię stos wasalów, a usta jednocześnie szepcą słodką modlitwę — równości. Widok ten naturalnie z postępem czasu się zmieniał i szlachetniał. Pomału niewolnicy zaczęli wysuwać się spod gniotących stóp swych panów, chłop, choć długo schylony i przywiązany do nóg swego dziedzica, wreszcie stanął obok niego z pewną swobodą ruchów. Odtąd pękały jedne po drugich ogniwa w tym łańcuchu poddańczej zawisłości, ludzie niezależnie od swego stanu wstąpili wobec prawa i opinii na równy mniej więcej poziom. Akt ten badany nawet wyłączenie na gruncie nowożytnej cywilizacji dokonał się nie wszędzie w tejże samej chwili i mierze. Gdy bowiem w jednym miejscu spełnił się całkowicie, w innym pierwsze dopiero przebył stadia, gdy np. w Szwajcarii granice stanowe zatarły się zupełnie, we Francji duch kast wygnany z prawodawstwa pokutuje do dziś dnia w obyczajach. Bądź co bądź jednak, niezależnie od wszelkich lokalnych różnic w procesie naturalnego układania się żywiołów społecznych, jest rzeczą niezawodną, że najwydatniejsze zwroty i najcenniejsze korzyści tego procesu noszą na sobie datę bardzo świeżą, bo zrodziły się dopiero na łonie obecnego wieku. Czemu tak późno? Dla ścisłości odpowiedzi przeńmiemy od razu kwestię na grunt nasz własny. A więc zapytajmy, czy, od jak dawna i ile feudalizm stracił ze swej średniowiecznej siły? Rozstrzygnięcie tego pytania we wszystkich kategoriach i odcieniach społecznych rozdziałów przeszkłoby poza kres szczupłego artykułu i zabrałoby miejsce stosunkowi, który nas w tej chwili głównie obchodzi, a mianowicie stosunkowi rolnika-chłopa do rolnika-pana.

I dlatego też uwagi nasze ograniczymy obrębem tych tylko dwu pozycji.

Każdy, kto zmierzy te pozycje w ich odległości dzisiejszej i przed laty choćby tylko piętnastu, otrzyma olbrzymią różnicę. Tam kmięć jest półniewolnikiem w pracy, w życiu, w majątku, zależnym od dziedzica, tu znowu jest istotą swobodną, ma swoją własność, swoje prawa, swoją nawet zupełną autonomię. Tam był bierną i ślepą siłą roboczą, tu jest czynnym, samowiednym i samodzielnyim człowiekiem. Ta wielka przemiana odbyła się szybko przed naszymi oczyma przez reformę prawną. Zastanówmy się nad skutkami. Skutki te układają stan rzeczy następujący: Chłop uznany jest obecnie przez ustawy krajowe za jednostkę podległą *tylko* tymże ustawom. Z wszelkich zależności prywatnych najzupełniej zwolniony. Na równi z urzędnikiem, przemysłowcem, szlachcicem, magnatem ma przyznane prawo obywatelskie. Obok tego nadany mu został swobodny i rozległy samorząd, za pośrednictwem którego może wpływać na własne sprawy. Słowem, chłop w obecnym swym stanie posiada prawie wszystkie przywileje ludów wolnych. Zastanówmy się trzeźwo, czy podobny ustrój społeczny w *zasadzie* swojej jest szkodliwy i nie odpowiada ani potrzebom narodu, ani wymaganiom cywilizacji? Żaden zdrowy umysł nie postawi w tym miejscu odpowiedzi twierdzącej. Ustrój taki bowiem w *zasadzie* nie może być ani wsteczny, ani rujnujący. Z którejkolwiek bądź strony na polu rozumowania rozpatrywać go będziemy, zawsze ujrzymy jego użyteczność. Jeśli bowiem idzie o świadectwa teoretyczne, to nauka daje w tym względzie najzupełniejszą aprobatę. Wszystkie niemal systematy socjologiczne, niezależnie od różnicy swych podstaw, zgodnie przyznają każdej jednostce, każdemu stanowi przywilej swobody.

Nauka nie zna lepszych i gorszych odmian zajęcia, ani gatunkuje krwi ludzkiej podług urodzenia. Ona zna tylko człowieka i w imię praw przyrodzonych domaga się dla

niego praw społecznych. Ten jej wyrok w zupełności odpowiada wnioskowi z życia wywiedzionym. Bo jeżeli znowu chodzi o interesy dobrobytu krajowego, to i one na równouprawnieniu i wyswobodzeniu odnoszą olbrzymie korzyści. Niedorzeczne skargi i protestacje leniwych dziedziców, ściągających stęsknionym okiem wystraszone widmo pańszczyzny, niczego tu nie dowodzą. Naród to nie łami-główka, którą by dowolnie podług rozmaitych wzorów układać można. Plantatorzy zawsze przeklinać będą filantropię*) za to, że im Murzynów wydała, podobnie niejednego panek wypasiony niewolnictwem chłopu złorzeczy losowi, który mu go, to nieoszacowane bydło robocze, w wolnego człowieka zamienił. Ale czy takie przesądne, zwykle samolubnym popędem natchnięte głosy, zaważą cokolwiek na szali trzeźwych, sprawiedliwych sądów? Bynajmniej. Nietoperze i puszczyki o każdym zmroku przelatywać będą nad głowami ludzkimi, lecz nigdy zamachem swych tępych skrzydeł nie zgaszają słońca, ani też grobowym kukaniem nie uciszą życia. Niezależnie od wszelkich namiętnych wrzasków obyczajowego fanatyzmu i eksploatacyjnych zachcianek ekonomiczne i prawne wyzwolenie kmiecia w zasadzie nie podlega najmniejszym zarzutom. Umysłnie bezwzględna wartość przypisujemy zasadzie takiego państwowego ustroju, gdyż u nas zastosowanie jej nie odbiło się w podobnie cennych skutkach. Reforma włościańska nie wydała na naszym gruncie, tak jak gdzie indziej, szczęśliwych a nawet rzecz można zdrowych owoców. Dlaczego? Rozwiążmy zagadnienie o tyle tylko, o ile jego rozwiązanie w łonie naszego ogółu spoczywa. Pierwszą bez wątpienia i od nas zależną przyczyną ujemnych następstw wyzwolenia stanu kmiecego była jego ciemnota i dziecięca nie-dojrzałość.

Ze źródła tych dwu niedostatków spłynęły bardzo liczne szkody. Nieumiejętność użycia rozległych przywilejów marnowała mnóstwo możliwych zysków, płodząc nadużycia lub błędy. *Uwłaszczenie* włościan nadało im, oprócz

wswobody i gruntu, obszerny zakres praw z samorządem połączonych. Gdyby takie nadanie otrzymał lud przynajmniej elementarnie w masie wykształcony i cokolwiek do samodzielności nawykły, z pewnością umiałby wyciągnąć wielkie dla siebie korzyści. Tymczasem u nas karłowato wyrosły nasiona, na twardą opokę umysłową rzucone.

Prostak nagle olśniony blaskiem szczęścia, które na niego szeroką falą się zlało, nie mógł osłabionym długą ciemnotą wzrokiem zmierzyć granic swej nowej pozycji, i jak dawniej niedola, tak teraz niespodziewaną pomyślnością oslepiony, nie dojrzał w potoku reform istotnej ich dla samego życia i losu wartości. Zdawało mu się tylko, że dostał w darze kawałek pola, sześć dni na tydzień pańszczyźnianej roboty, uwolnienie od ekonomicznych harapów, kumawójta i nic więcej. Dalej już inteligencja jego sięgnąć nie mogła. Nawet ci, którzy stanęli przy sterze zarządu, nie zawsze zdolni byli pojąć i objąć rozmiaru swej władzy. Czyż zresztą jest rzeczą podobną, ażeby prosty chłop nie umiejący czytać, wzrosły w ciężkim poddaństwie, zostawszy naczelnikiem gminy zrozumiał od razu, na jakie wysokie wstąpił stanowisko, i ażeby na nim umiał odpowiednio działać? Nie dziwny mu się więc. Nałogami i upodobaniami przyczepiony do sfery, z której myśl nigdy na szersze horyzonty nie wybiega, organizacją moralną bardziej z uległością niż rozkazywaniem spokrewniony, wiedzą do najprostszych i najpospolitszych pojęć zaciśnięty, musiał koniecznie nagiąć się pod brzemieniem roli, którą odgrywał nieprzygotowany.

Stąd też często można było widzieć, jak prostoduszny wójt, wszechwładny kierownik gminy, urzędnik, zdejmował pokornie czapkę przed zwykłym policjantem lub słuchał uważnie admonicji tużurkowego interesanta. Poczciwy człowieczysko, nie odczytując swej instrukcji, nieraz ani się domyślał rozległości swej władzy. A jeżeli ją poznał, to znowu nie czuł się ani godnym, ani zdolnym jej używać. Jednym słowem, możliwe korzyści reformy włościańskiej

u nas rozbiły się naprzód o niemowlęstwo umysłowe ludu. Druga przyczyna, jakkolwiek w wyższej warstwie narodu złożona, niemniej jednak naturą swą była ściśle do pierwszej podobną. Obywatele ziemscy, tak jak i wieśniacy, znaleźli się wobec nagłej przemiany stosunków zupełnie nieprzygotowani. I tu i tam zbyt spóźniona niedojrzałość przeszkodziła w osiągnięciu należytej sumy zysków. Jakże się głównie objawiała ta niedojrzałość wśród obywateli? Niskim wykształceniem i anachronistycznymi pojęciami. Na jałowym gruncie szlacheckiej tradycji wyrósł spróchniały przesąd, że poddaństwo chłopu jest normalnym jego stanem, że pańszczyzna jest tak słusznym czynszem dla pana, jak pogarda i ucisk zapłatą dla poddanego.

Wkorzeniona w umysły zasada społecznych rozdziałów, podsycana lekkomyślnością panów i ośmielona biernością ciemnego tłumu, nie kruszyła przegród, którym wieczne naznaczyła istnienie. Gdy więc przegrody te pod nagłym uderzeniem pękły, żywioł uprzywilejowany, nie złączony z poddańczym żadną prawie siłą moralnego powinowactwa, stał się względem masy ludu zupełnie obcym, a w odwet za poniesione straty wprost nieprzyjacielskim. Gdy sztuczne sploty wiążące obywatela z knieciem rozerwały się, zarazem rozerwała się wszelka pomiędzy nimi spójnia. Na początku pierwszej połowy obecnego wieku, na którą właśnie ustawodawcza zmiana przypada, nasz obywatel wiejski uważał siebie jeszcze za suzerena, a chłopu za wasala. Ani nawet myślał, że taka forma stosunku jest sztuczną, przedawnioną, niesprawiedliwą i że przy lada chwili upaść może. Nie tyle okrutny, ile słabo wykształcony i lekkomyślny, a nadto obalamucony tradycyjnym przesądem kastowości, jeżeli nie uciskał poddanego, to w każdym razie nie uważał go za człowieka, którym by warto było się zająć lub należało opiekować. Słowem zarówno w okrucieństwie jak i w pogardzie przekonany był o prawości swego postępowania i nie poczuwał się do żadnych innych obowiązków. Brak więc było ustrojowi tych

stosunków władze moralnych i dlatego gdy prawne przecięto, obie warstwy odłamały się od siebie zupełnie. Tym sposobem reforma włościańska, spotkawszy w obu żywiołach względną niedojrzałość społeczną, podgryzana z jednej strony ciemnotą, z drugiej przesądem, nie wyrobiła odpowiedniej sumy dodatnich skutków, jaką jej ogólna zasada tego rodzaju przekształceń oznaczała.

Wskazując złe i jego źródła już tym samym określiliśmy w przybliżeniu naturę zaradczych środków. Przystępując do ich szczegółowszej charakterystyki musimy uprzednio wstawić tu nawiasową uwagę. Wszelka teoria przekraczająca granice możliwości jest utopią*). Otóż zrzekamy się zupełnie tej roli wobec kwestii, która nas obecnie zajmuje.

W sprawie tej cały ciężar obowiązków złożonym być musi na element oświeceńszy, tj. na obywateli ziemskich. Zadanie ich przedstawia się w takim kształcie: dla dobra ogółu, kmieci i własnego, winni oni środkami ustawą nie wzbronionymi zdobyć wpływ na sprawy ludu i jego życiowy rozwój, nawiązać pomiędzy nim a sobą pasmo ścisłych spójni. Naturalnie, mówimy tu przede wszystkim o wpływach moralnych, a nie zwierchnicznych. Chłop jest dziś usamowolniony, uwłaszczony, uprzywilejowany, czy to upoważnia do nienawiści? Czy jeżeli jego szczęście rzuciło kiedykolwiek cień na szczęście obywatela, on temu winien? Czy jeżeli niedołążnie lub szkodliwie używa swej władzy, jego ciemnotę oskarżać należy? Nie i stokroć nie. Przyczyną błędów i krzywd nie jest ani on, ani jego swoboda. Jeżeli zaś jedno lub drugie popełnia, to sam stopień jego inteligencji, wreszcie wspomnienia ucisku uniewinniają go w zupełności. Ażeby zaś go inaczej usposobić, trzeba w nim tę inteligencję podnieść, te wspomnienia zatrzeć. Jak? Odpowiemy przykładem u obcych zapożyczonym. Nie może być na pozór większy przedział społeczny jak pomiędzy arystokratą i chłopem angielskim. Dlaczegoż jednak ten ostatni, chociaż także wolny, widzi w pierwszym swego ojca, opiekuna, i chętnie składa w jego ręce mandat

władzy? Odpowiedź prosta: dlatego, że ten pan jest rzeczywistym jego ojcem i opiekunem i najlepszym kierownikiem.

Zajrzyjmy do jakiegokolwiek opisu stosunków ziemiańskich w Anglii, a zobaczymy, jak tam lordowie, obok całej dumy rodowej, pracują w interesie ludu. Ten zakłada szkoły, tamten szpitale, inny biblioteki, inny kasy itd., nie więc dziwnego, że kmieć więcej dojrzały chętnie poddaje się pod zwierzchnictwo swego dobroczyńcy.

Myli się zupełnie ten, kto sądzi, że ciemny prostak pochopny jest do rządzenia i że słusznie lub niesłusznie użyłskawszy władzę, nie zrzecze się jej nigdy na korzyść wykształceńszych i lepiej uzdolnionych. Praktyka stanowczo zaprzecza podobnym twierdzeniom.

Z pewnością on woli słuchać rozsądnego i poczciwego pana, którego ceni i szanuje, aniżeli najlepszego swego kuma, którego godnym zwierzchniej nad sobą władzy nie uznaje. Trzeba jednak, ażeby ten pan był istotnie rozsądnym i uczciwym, to jest trzeba, ażeby nie poniewierał, ale serdecznie i ciągle zajmował się niższymi i ciemniejszymi.

U nas pomimo że wrodzona łagodność narodu nie posługiwała się nigdy wyrafinowanym tyraństwem, pomimo że doświadczenie poduczyło i umiarkowało umysły, postępowanie jednak obywateli z włościanami nie miało nic wspólnego z ojcostwem i opieką. Zawsze pojedynczymi wyrazami tych proporcji był przesąd, szlachecka buta, pogarda, niedbalstwo, a często ekonomiczne baty. I dlatego jeżeli wykładnik dzisiejszych stosunków nie ma być ujemny, powyższe czynniki zmienione być winny na: szkoły, biblioteczki, moralne wpływy, opiekę i tym podobne dźwignie ludowej oświaty i dobrobytu.

Tymczasem, czy nasi obywatele rozpoczęli już tę pracę? Czy zawiązali chociaż jedną nić jakiegokolwiek związku? Czy usłyszeliśmy, ażeby jaki zamożny właściciel ziemski kupował i rozdawał użyteczne publikacje dla ludu, ażeby założył, albo chociaż opiekował się wiejską szkołą? Niestety! O tym cicho. Jak dawniej tak i teraz chłop i pan,

to dwa przeciwległe, tylko obacnie odpychające się bieguny. Jakież więc prawo skargi ma ten ostatni? Czyż nie od niego wyjść powinna inicjatywa zbliżenia? Zdarzają się nieraz wypadki, w których gmina wybiera sobie za wójta byłego swego dziedzica. Dlaczego? Bliżej chyba prawdy stoi przypuszczenie, że ów dziedzic jest lepszym człowiekiem, aniżeli że owa gmina posiada lepszych chłopów. Gdybyśmy tylko zapuścili się we wnętrze takich faktów, z pewnością znaleźlibyśmy tam zawsze głęboki rozsądek, szlachetny charakter, powagę obejścia, znajomość położenia, wytrwałą pracę około dobra ludu, który widząc wszystkie te przymioty w obywatelu, ochotnie czyni go swym rządcą i sędzią. Niech zaś nikt nie sądzi, ażeby takie wzajemne przyciąganie się żywiołów było zjawiskiem wyjątkowym. Przeciwnie, jest to najzupełniej naturalna logika rozwoju stosunków społecznych. Chłop, czy będzie posiadał samorząd i swobodę czy też nie, zawsze mandat zwierzchnictwa złoży w ręce pana, ale jeżeli przedtem z tych rąk odbierał światło i pomoc, a nie... policzki. Tak więc dopiero wtedy, gdy obywatele zaczną murować fundamenty społeczne, pracować u dołu, gdy zajmą się ludem, jego oświatą i interesami, gdy swymi zasługami wyrobią sobie wpływy i zaufanie, wtedy dopiero, mówimy, obecny ustrój gminy wydać może dla wszystkich jej elementów i całego kraju rzeczywiste zyski.

Domyślamy się, że taka rada nie wyda się naszym ziemianom zbyt ponętną. Jedni nie uznają słuszności zasady, drudzy możliwości czynu. Z dwojga złego wolelibyśmy jednak słyszeć jako usprawiedliwienie wymówkę, że zadanie jest zbyt trudne, aniżeli że jest zbyt wstrętne. Słabość łatwiej przebaczyć i zużytkować można, aniżeli fanatyczną ciemnotę. Ci z obywateli, którzy rozumieją ważność i naturę położenia, którzy kochają lud i pragnęliby się z nim zespolić, ale nie znają dróg i środków, ci, mówimy, prędzej czy później dorosną do wysokości potrzeb czasu. Daleko gorsza sprawa z tymi, którzy okiem powłoką przesądu

zasuniętym nie mogą rozpoznać swych praw osobistych i wymagań społecznych. Tych jednak zgńiecie nieubłagana logika wypadków, która bez litości roztrąca spróchniałe tamy i spędza z kolei narodu wywleczone z feodalnych grobów upiory. Na próżno! Widma chłopskiego poddaństwa i pańskiej samowoli, przywołane z przeszłości żałosną skargą na terażniejszość, nie wstrzymują postępu i nie zepchną go z prostego kierunku. Dziś już nie wolno stać do walki z losem w zbroi przesądu. Dawniej mógł pan wyrwy i trzęsawiska życia zawalać i wyrównywać chłopskim ciałem, ażeby rozleniwiona i czuła jego stopa po gładkiej posuwała się drodze, dziś musi on stopę tę przyzwyczaić do wszelkich potknięć i wybojów, a z owym ciałem iść ręka w rękę. Dawniej pan mógł poddanych jak słupy wkopywać w ziemię i na ich szyjach zawiązywać sznurki huśtawki swych dzieci, teraz musi on w te dzieci, gdy słupy ożyły swobodą, tchnąć miłość i szacunek. Pociaszamy się wiarą, że niewielu jest takich, którzy by dawną formę stosunków powrócić chcieli.

Owszem, przypuszczamy nawet, że takie spleśniałe anachronizmy to tylko nieliczne czarne punkty na jasnym tle naszego obywatelstwa. Idee równości, swobodnego i naturalnego grupowania się stanów, głęboko już przeniknęły ogół. Jeżeliby co większości zarzucić można, to tylko niemoc i niezaradność wobec nowego położenia rzeczy. Sieć kastowych rozgraniczeń coraz bardziej targa się i rozdziera — z drobnych, a przez czas poszarpanych oczek tworzą się coraz obszerniejsze. Pragnęlibyśmy, ażeby one porwały się zupełnie. Nie idzie nam o żadną dziwaczną i utopijną formę społeczeństwa, która by wypychała obywatela do karczmy a chłopca do salonu, ale idzie nam o to, ażeby społeczeństwo powiązało się ściśle i organicznie. Chcemy tego, ażeby ogół złożył się w jedno ciało, którego członki, choć kształtem różne, były sobie pokrewne i wzajemnie pomocne.

Przegląd Tygodniowy 1873, nr 10.

O JEDNEJ Z NAJPILNIEJSZYCH POTRZEB
SPOŁECZEŃSTWA NASZEGO

I

(w skróceniu)

... Praca rąk otrzymała już u nas rehabilitację, ale jeszcze nie zupełną; pojęliśmy już wagę jej i znaczenie, ale nie przewyżczyliśmy w zupełności wstydów, starych wstrętów i nałogów, które nas od niej odwracają.

Falszywym wstydom tym i wkorzenionym przesądom w znacznej części przypisać należy to straszliwe wyrzekanie, tak często dające się słyszeć w formie wyrazów: nie ma pola do pracy! Jest ono, owszem, i dość obszerne i uprawiaczy oczekujące, ale przedstawia to odgałęzienie pracy, któregośmy dotąd ani zrozumieć, ani ocenić należy nie potrafili. Rzemiosła wszelkiego rodzaju pozostają u nas w najsłutniejszym opuszczeniu, w podziwieniu i zarazem pożałowania godnym zaniedbaniu, a to na całej niemal przestrzeni kraju.

Zdaje mi się, że nie omyłę się wcale, albo przynajmniej omyłka moja rzadkich wyjątków tyczyć się będzie, jeśli powiem, że jedna tylko Warszawa poszczycić się może oświeconą i umiętną w swych zawodach klasą rzemieślniczą. A i na tym słońcu ludzie, z bliska rzecz znający, mnogich dopatrują plam; miasta zaś prowincjonalne, których jednak ilość jest znaczna, a z których niejedne dosięgają dziesiątków tysięcy mieszkańców, zostają pod tym względem w stanie prostoty niemal pierwotnej, objawiającej lenistwo umysłów nie umiejących lub nie chcących torować dróg nie utartych, wielce zgubne przynoszącej skutki, bo wprowadzającej w odrętwienie moralne i materialny niedostatek część ludności, która przecież pracować mogłaby

z pożytkiem znacznym tak dla siebie, jak dla pomyślności i wygody ogólnej.

Rzemieślników jest u nas wszędzie za mało, a ci, którzy są, nie odpowiadają bynajmniej ideałowi umiejętności, sumienności i oświaty, jakie niezbędnymi są wszelkiej klasie, mającej otrzymać zaszczytne znaczenie w społeczności, dopomóc choćby najmniej szczęśliwemu rozwojowi gospodarstwa społecznego. Z wyjątkiem największego w kraju miasta, stały pobyt w którym sam już przez się nadaje ludziom pewien stopień ogłady i elementarnych przynajmniej wiadomości, na całej przestrzeni kraju połączenie oświaty z pracą rąk wydaje się dotąd rzeczą wcale nieznaną i do sprawdzenia niepodobną.

W miastach i miasteczkach prowincjonalnych klasa rzemieślnicza składa się w znacznej części z Izraelitów, u których rzemiosło jest rodzajem dziedzictwa rodzinnego. Szwiecstwa lub krawiectwa ojciec wyuczył syna, syn naukę otrzymaną bez najmniejszych odmian w niej lub postępu przekazał swemu synowi, i tak dalej; z czego wynika to, że umiejętność rzemieślników stoi na takim zupełnie stopniu, na jakim stała przed stu laty, za czasu ich dziadów; nawet stoi ona niżej jeszcze, gdyż brak szerszej konkurencji zachęca do niedbalstwa i niesumienności. Nikt zresztą rozsądny i sprawiedliwy nie może czynić z przeważnego zajmowania się przemysłem małomiasteczkowym ludności izraelskiej niechętnego i ujmującego zarzutu. Nie ogarnęła go ona przemocą, ale przejęła, gdyśmy jej przemysł jako jedyny środek egzystencji oddali, sami się odeń odsuwając. Jest to fakt dziejowy, sprowadzony powszechnie znanymi przyczynami i rozciągający następstwa swe aż po nasze czasy. Nikt też nie pomyśli pewnie o zagradzaniu Izraelitom drogi do jakichkolwiek czynności, zarobek lub przysługę społeczną na celu mających, o usuwaniu ich od jakiegokolwiek pola działania. Ktokolwiek bez uprzedzeń i bacznie spostrzegał lud izraelski, ten nie mógł nie upatrzyć w nim obok stron ujemnych, wytworzonych właści-

wościami rasowymi, a więcej jeszcze kolejami dziejowymi, przymiotów i cnót dodatnich, pośród których zdolności umysłowe i wytrwałość w pracy wszelkiej nie są najmniejszymi i bezsprzecznie dają mu nie tylko prawo, ale i możliwość współuczestniczenia w ponoszeniu ciężarów i spełnianiu zadań społecznych. Z innej przecież strony wiemy dobrze, na jakim stopniu oświaty znajduje się uboższa i liczniejsza część ludności izraelskiej. Stopień ten jest tak niski, że nie tylko wszelkie wymagania uczuć i usposobień obywatelskich czyniłby nieledwie niedorzecznymi, ale nawet nie dosięga tych elementarnych zasad życiowych i wiadomości fachowych, które tworzą nie doskonałych już, ale po prostu sumiennych i znośnie umiętnych pracowników. Wszystko tedy, co na obszernej przestrzeni kraju wykonywa się w dziedzinie rzemiosł, wykonywa się niedołąźnie; stosunki rzemieślników do kundmanów*) przedstawiają widok zdolny obudzić i złość każdego przyjaciela ludzkości; oparte z jednej strony na nikczemnej pokorze i niesumiennym wyzyskiwaniu, z innej na pomiataniu i niedowierzaniu, najfatalniej wpływają na charakter stron obu, tamują w zawodzie zlanie się klas ludności w całość spojona dobrze zrozumianym interesem wspólnym, sympatią i zaufaniem.

Nie znającemu dobrze różnych stron kraju wyda się może przesadzonym twierdzenie, że w pewnych miejscowościach głębokiej prowincji do tego stopnia brakuje tych nawet niedołążnych i niesumiennych pracowników, że niejednego mieszkańca ich znajduje się niemal w położeniu Robinsona Cruzoe, zmuszonego za pomocą najpierwotniejszych środków i narzędzi czynić zadość codziennym swym potrzebom.

Po mniejszych miasteczkach częstokroć jeden człowiek mieści w osobie swojej wiele umiejętności: jest zarazem kowalem, szewcem, krawcem, kapelusznikiem, a raczej czapnikiem, nieraz także kramarzem i do tego jeszcze pastierzem i rolnikiem. Jak spełnia powierzone mu roboty? Odgadnąć nie trudno...

Stary zwyczaj, rutyna ukazują ludziom, dobrowolnie lub z konieczności obierającym sobie zawód rzemieślniczy, jako jedyną drogę przysposobienia się do tego zawodu — uczenie się, czyli tak zwane terminowanie u majstrów. Jest to przecież droga ciasna, nie wszędzie i nie dla wszystkich możliwa, pełna stron ujemnych, zniechęcających, najfatalniej na koniec wpływających na charakter i fachowe przysposobienie uczących się.

Bez względu już na to, że prowincjonalni majstrowie w znacznej części są Izraelitami, a więc terminowanie u nich młodzieży innego wyznania jest, jeżeli nie niepodobnym, to przynajmniej do najwyższego stopnia utrudnionym, sam już stopień wiadomości ich fachowych i ogólnej oświaty mało obiecuje dla postępu umiejętności rzemieślniczych, a gorzej wpływa na zależne od nich osoby.

Niedołężne nauczanie i grubijańskie obejście się stanowi jedną, a przynajmniej najogólniejszą ośnowę stosunku majstrów do terminatorów. Jeżeli dodamy do tego zły przykład niesumienności w wykonywaniu robót, nierzetelności w ich zbywaniu, nałogu opilstwa tak nieszczęśliwie rozpowszechnionego pomiędzy rzemieślnikami naszymi, łatwo pojmemy, jak małe pożytki umiejętnościowe, a jak wielkie szkody moralne wynikać muszą dla młodzieży rzemieślniczej z tej wyłączności dostępnego im wychowawczego środka.....

Dla zaradzenia panującemu u nas zastojowi pracy rąk, dla pchnięcia ku temu obszernemu a zaniedbanemu działowi pracy tej części ludności, która wyrzeka lub w przyszłości wyrzekać będzie, że brak jej pola działania — niezbędną jest instytucja publiczna, po prostu szkoła, w której by każdy, bez względu na wiek, stan, wyznanie, a jeśli można i na płeć, znalazł odpowiednie zdolnościom swym i chęciom środki wychowawcze, do której każdy z łatwością trafić mógłby, — której powaga, kompetencja, stosowne obsadzenie nauczycielami pociągałyby, zachęcały i dopo-

magwały usiłowania ludzi dobrej woli i zdrowego rozsądku.

Powstanie takiej szkoły powinno zajmować jedno z pierwszych miejsc w myślach i wnioskach ludzi, dbających o dobro ogólne; ono to jest pilną, nagłą potrzebą społeczności naszej, którą miałam na myśli, kreśląc tytuł niniejszego pisma.....

II

..... Ludzie, głęboko zastanawiający się nad rozwojem władz człowieka moralnych i umysłowych, od chwili, w której świta mu pierwszy promień poczucia samego siebie i pojęcia, do tej, w której staje się on w pełni świadomym siebie i otaczającego świata, odkryli i ogłosili wielką prawdę, iż w dziele wychowania i kształcenia najważniejszą rzeczą jest zbadanie przyrodzonych właściwości jednostki i ścisłego stosowania do nich wszelkich rad, nauk, wskazówek, mających złożyć się na wychowanie jej i wykształcenie. Dziecię wychowane być powinno nie dla takich celów, ku jakim skierować by je chcieli ci, którzy je wychowują, ale dla takich, jakich osiągnąć mu pozwalają przyrodzone właściwości charakteru jego i zdolności umysłu....

U nas... z wyjątkiem warstw ludności najniższych, wszystkie inne na wyższych szczeblach materialnego dobrobytu, względnej oświaty i społecznego położenia postawione, nie widzą dla dzieci żadnej innej pracy, jak ta, która nieodwołalnie wymaga pewnych danych zdolności umysłowych, żadnego innego fachu, zawodu, jak te, które, górując nad wszelkimi innymi, stanowią szczyt działalności ludzkiej, koronę z laurów i złota uwitą, lecz nie do każdej głowy przypadającą.....

Jeden z koryfeuszów*) piśmiennictwa naszego przed laty już zwracał uwagę społeczeństwa naszego na ten osobliwy fakt, iż rodzi się i wzrasta pomiędzy nami tyle geniuszów, że nie ma nieraz kogo wybrać na podsędką.

Orzeczenie to tyle prawdy w formie żartu zawarło, że stało się niemal przysłowiem. W pewnym zaś zakątku kraju powstało z tych samych przyczyn przysłowie inne, o niejednym wysoce naukowo utytułowanym mężu orzekające, iż „parobka w nim zepsuto, a doktora nie zrobiono”. Zaprawdę, iluż tu u nas zepsutych szewców, kowalów, ślusarzy, tokarzy, a niedokonanych doktorów, adwokatów, technologów itd.!...

A jednak szydło i młot dźwigane umiejętnie więcej przynoszą rzeczywistego zaszczytu i dobrze zrozumianej korzyści, niż toga okrywająca niegodną jej głowę...

Nikom u nas dotąd, albo prawie nikomu do głowy nie przychodzi, iżby młody człowiek, który ukończył kurs gimnazjalny, mógł iść się innej pracy, jak najwyższej, najzaszczytniejszej, najwięcej wszelakich pożytków obiecującej. Nikt tu ani z kierowników, ani tym bardziej z podlegających kierownictwu nie ma na względzie istnienia lub nieistnienia w danym razie niezbędnych zdolności i nimi stworzonego przyrodzonego popędu. Z młodego człowieka, który mniej lub więcej zasłużenie stał się posiadaczem patentu świadczącego o ukończeniu nauk szkolnych, uczynienie skromnego pracownika rąk wydaje się ogłowi naszemu dziwactwem, potwornością, zbrodnią niemal, wołającą o pomstę do ojcowskich herbarzy i macierzyńskich rojeń o synu geniuszu.

... Rzemieślnik, u którego patent ów istniał kędyś na dnie szuflady przechowany jako droga pamiątka młodości, jako świadectwo zdobytego w części dostojęństwa rozumu i oświaty, rzemieślnik, który by taki patent mógł szlachetną choć zgrubiałą dłonią wydobyć z ukrycia i ukazać go dzieciom swym jako dowód, że nauka nie znajduje się na biegunie przeciwnym temu, na jakim żyje i działa praca rąk, że ponad każdą areną życiową świecić może i powinna błogosławiona i błogosławiąca gwiazda wiedzy, że on sam, nim jął się ciężkich, grubych narzędzi, piastował w dłoni swej,

chłonał umysłem skarb i drogowskaz ludzkości — książkę, a dlatego że piastował ją i chłonał, stał się i pozostał uczciwym, pracowitym, pożytecznym sobie i innym, wzrokiem i sercem sięgającym daleko poza ciasne ściany swej skromnej pracowni; taki rzemieślnik, jeśli znajduje się gdziekolwiek w kraju naszym, dla patrzącej na niego powszechności jest sfinxem, z którego romantyczne wyobrażenie wyczytują tragedie nieszczęść, kapryśnych zmian losu! Ukończył szkoły, a został rzemieślnikiem? Jakaż dziwna zagadka! Jest człowiekiem oświeconym i przyzwoitym, a został rzemieślnikiem? Co za nieszczęście! nie święci poniedziałków, umie coś więcej, jak sylabizować w pocie czoła książkę do nabożeństwa i koślawymi cyframi sprawdzać rachunki kundmanów, nie obcy jest sprawom społecznym, zabiera głos o nich, chciałby przyjmować udział w czynnościach obywatelskich, wcale rozsądnie przemawia na rzecz swych przekonań, a cześć człowieka, zacność pracownika i dzielność obywatela przechować umie w sobie w czystości i sile, i z tym wszystkim jest przecież rzemieślnikiem tylko, po prostu rzemieślnikiem? Jakaż szczególna anomalia*), co za tajemnica, brzemienne niezwykłą historią, na wskroś zbruzdzona naprzód i wstecz toczącym się kołem fortuny?

Rzemieślnik oświecony, czujący po ludzku i myślący po obywatelsku, jest dla większości ogółu naszego zagadką, anomalią, tajemnicą, zjawiskiem wzbudzającym najfantastyczniejsze domysły i najzarliwsze ciekawości, czymś na kształt królewicza ożerionego ze służebnicą, syna gwiazdy wygrzebującego ze śmietnika — łachmany. Tak, rozum oświecony nauką jest królem świata, a ten, kto go posiada, nosi w sobie i na sobie najpiękniejsze ze światel ziemskich. Lecz nawzajem praca rąk nie powinna być uważana za służebnicę niewolną, ani twory jej za łachmany, niegodne rąk szanownych.

Niwa 1873, t. III.

AUTOR NIEZNANY

NASZ PRZEMYSŁ
ODNOŚNIE DO MIEJSCOWYCH WARUNKÓW

R o z d z i a ł I

Nie umilkły jeszcze echa przemysłowo-rolniczej uroczystości, którąsiny w zeszłym miesiącu obchodzili w Warszawie. Dzienniki brzmią jeszcze opisami, zachwytem, pochwałami i zachętą dla wystawców — i bardzo słusznie — należało się im to bowiem za pracę, staranność i dobre chęci.

Ale — owo wieczne ale — w dalszym ciągu tej świetnej działalności należy nam obejrzeć jej stronę odwrotną, pokazać ujemność w tym celu, aby płynąca nauka nie powędrowała na góry i lasy, ale służyła ku pożytkowi powszechnemu. Cieszyliśmy się więc wystawą i lubowali na niej pszenicą *frankensteińską*, żytem *probstejskim*, jęczmieniem *angielskim*, gryką *syberyjską*, kartoflami *belgijskimi*, konopiami *piemonckimi*, rapsem *holenderskim*, chmielem *bawarskim*, koniczyną *szwedzką*, kapustą *brukselską*. Podziwialiśmy rasy koni *perszeronskie*, *styryjskie*, buhaje *tryzyjskie*, *schwytzkie*, *algauskie*, krowy *holenderskie*, *szwajcarskie*, jałowice *simenthalskie*, owce *Rambouillet*, *Negretti*, *Suthdown*, świny *Yorkshire* lub *Suffolk*, kaczki *labrador*, kury *la fliche*. Widzieliśmy pługi *amerykańskie*, drapacze *pruskie*, zgłębiacze *belgijskie*, wypielacze *angielskie*, grabie *Howarda*, kosiarki *Champion*, żniwiarki *Jonstona*, młocarnie *amerykańskie* i *francuskie*. Przeniósłszy się do pawilonu przemysłu, oglądaliśmy: kasy *wiedeńskie*, kuchnie *norweskie*, bryczki *amerykański*, piece *berlińskie*, maszyny szwackie *nowojorskie*, pończosznicze *hamburskie*, szkło *czeskie*, obicia *paryskie*, wódki *gdańskie*, kamienie młynarskie *śląskie* itd. itd.

Litania bardzo długa i zawsze w tym guście.

Cóż więc widzieliśmy własnego? naszego? swojskiego?

Dziesięć, dwadzieścia, sto przedmiotów na kilka tysięcy wystawionych, które zalecając swą dobroć, praktyczność, postęp, przyczepiają do siebie nazwy znamionujące cudzoziemskość pomysłu, systemu, ulepszenia, pochodzenia. Ten uderzający fakt zaznaczamy, bo uwidacznia on stan naszego rolnictwa i przemysłu, które nie wyrastają z własnego gruntu, z korzeni głęboko w społeczność swojską zapuszczonych, ale żyją myślą obcą, pomysłem wziętym z zewnątrz i tymi pierwiastkami posilają się na drogę dalszą. Szczególniej zaś widoczne to w przemyśle, który ruchliwy, więcej postępowy, silniej cechą obczyzny razi.

A nie tylko wystawa — jako fakt czasowy, ale i wędrówka choćby najlżejsza po naszych handlach i sklepach, po fabrycznych składach, aż nadto powyższy sąd usprawiedliwia. Wszędzie, gdzie tylko zajrzymy, wszędzie spotykamy się albo z wyrobem obcym, albo też wyrobem naśladowanym. U naszych przemysłowców uczynić jakiś postęp, znaczy sprowadzić sobie z zagranicy *gotowy* pomysł, maszynę, wzór, model — albo też gotowy towar. I tak zarówno czy to idzie o deseń na obicia, o szlak do chustki, o formę czajnika, wazonu, czy o drogą biżuterię, czy o taną zabaweczkę dla dzieci. Wszystko nie nasze, wszędzie świeci myśl obca, cecha obcych potrzeb i obyczajów, a razem obca praca ducha, względem której jesteśmy dłużnikami.

Taki stan przemysłu, do wykazania którego nie potrzeba ani długich cyfr statystyki, ani rozciąganych wywodów, tak on jest widoczny, tak rażący — stan taki, mówimy, nie znamionuje wcale zdrowia i *postępu* tej gałęzi bogactwa krajowego. Najprzód taka zależność pod każdym względem od zagranicy w danym wypadku może być i jest nader niewygodną — a co gorzej, świadczy o braku samostanności, o niedostatku żywotnych sił w samym organizmie naszym przemysłowym. Nikt zapewne nas nie posądzi

o chęć chińskiego zasklepienia się, o jakieś nierozsądne odrzucanie obcych dobrych pomysłów, wzorów. Wiemy bardzo dobrze, że na polu przemysłowym, jak i na każdym innym, koniecznym czynnikiem ruchu i postępu jest krzyżowanie się obcych, z zewnątrz przybywających pierwiastków z własnymi; ale chcąc wyciągnąć wszystkie korzyści, trzeba posiadać także *własne* siły, *własną* krew, *własną* myśl, *własny* wzór i *własną* formę. Nasz przemysł niczym zaś nie wykazuje, aby te własne zasoby posiadał, aby zanosilo się nawet na ich wyrobienie. A jednak musimy to przyjąć jako bezwzględną prawdę, historią sztuk i przemysłu stwierdzoną, iż przemysł, który nie sięgnie do własnej narodowej myśli, który na własnych pierwiastkach nie osnuje swej twórczości, *taki* przemysł nie może być ani trwałym ani żywotnym, ani też nie wniesie w ogólną dziedzinę wszechludzką nic *oryginalnego*. To dążenie oparcia się na gruncie narodowym spotykamy z wielką starannością pielęgnowane w przemyśle francuskim, angielskim, niemieckim oraz pomniejszych nawet państw europejskich; i wszędzie, gdzie tylko ta czarodziejska siła narodowego pocucia dotknie się gałęzi przemysłu, tam wszędzie on zakwita życiem i rodzić zaczyna owoce. Na ostatniej wystawie wiedeńskiej prawie na każdym kroku ten sens moralny z wystawionych przedmiotów uderzał. Brak pomysłu, ciężkość kształtów, niezdatność wykończenia, widniały wszędzie, gdzie tylko ograniczano się na naśladowaniu, np. starożytnych wzorów lub średniowiecznych kształtów — i dopiero gdzie sięgnięto do narodowej myśli, do własnych zasobów, zjawiała się twórczość, zapał, forma odpowiadała myśli, wykonanie zamiarowi.

Dla naszego przemysłu, jeśli ma żyć pełnymi siłami, zdrowo, rozwijać się szczęśliwie, nie ma innej też rady nad oparcie swych fundamentów nie, jak dotąd, na obcych pierwiastkach, na naśladowaniu cudzego, na pożyczce z zewnątrz, ale na pierwiastkach swojskich. Myśleć o tym nie jest już za wcześnie, jakby sądzili niejedni, ani też nie jest

za późno, jakby pragnęli interesowani sąsiedzi z zachodu. Myśl ta jest *zasadniczą*, a że się i w przemyśle i na praktyce nie objawia, należy ją wszechstronnie i często rozbierać, podnosić i dyskutować.

Przede wszystkim rozebrać trzeba, co jest takiego stanu przyczyną? Tylko bowiem znając źródło możemy podać zaradcze środki.

Źródłem braku swoich żywiołów w naszym przemyśle jest obcy pierwiastek przemysłu naszego, gdyż nie wyrósł on ze swojego nasienia, ale z cudzych sadzonek. Ustrój nasz społeczny w minionej historycznej dobie nie sprzyjał wcale przemysłowi, ile zaś razy starano się takowy zaszczerpić na naszym gruncie, używano ku temu obcych. Niemcy, rzadziej Francuzi, z kapitałami lub bez kapitałów, z większą lub mniejszą umiejętnością fachu, osiadali przynosząc z sobą obcą naukę, obcą myśl, obce wzory, które były ich własną nauką, własną myślą, własną formą. Ani się dziwić, ani tych przybyszów za to potępiać nie można. Krzewili oni i tak zamożność budząc pracę, zużywając surowe materiały, dając wzór innym. W dalszym rozwoju obcy przybysze nie mając naszych i nie znając naszych właściwych potrzeb, ani się do nich stosować mogli ani potrzebowali — gdy im przychodziło coś ulepszyć, coś poprawić, jakąś nowość zaprowadzić — boć łatwiej im było i jest wziąć już rzecz gotową z zagranicy, niż tworzyć własną nową, co nie łatwo i pociąga często zawody, straty, koszty. Po co np. myśleć o nadaniu jakiemuś odlewowi form z własnych, miejscowych pierwiastków wysnutych, kiedy tysiące wzorów obcych sprowadzić można za małe pieniądze? Chcąc np. na roletach do okien dać rysunki krajowych okolic, ileż to należy pokonać trudności! Gdzie szukać zdolnych i zręcznych rysowników, gdzie kolorystów, kto dobierze barwy, kto wytnie modele do drukowania itd., kiedy wszystkie te trudności obchodzi się sprowadzeniem kliszy z nadreńskimi widokami? Robota w takim razie nieco gorsza od oryginałów, ale idzie na pewno, jest z czym ją

porównać, nie ma obawy o straty i niepowodzenia — a że się tam obraża czyjeś uczucie, to co to fabrykanta lub dyrektora Niemca może obchodzić? Nasi fabrykanci krajowcy, mianowicie drobniejsi i rzemieślnicy, jakkolwiek mają poczucie swojskości, ale zbyt są ubodzy, aby mogli ponieść kosztą, jakie są konieczne przy pierwszych na tej drodze krokach. I oni wobec konkurencji innych muszą szukać sposobów i środków łatwiejszych, a nie tych, które stratami i kosztami grożą. Jeżeli bowiem przy wielkich fabrykach, przy zakładach tysiące rąk zatrudniających, nie widzimy ani pracowni dla *oryginalnie* pracujących konstruktorów, ani sal, gdzie by rysowano oryginalne wzory, formowano oryginalne kształty, jeżeli wszędzie po najznakomitszych zakładach naszych kwitnie naśladownictwo obcych — to jakże żądać, aby mali fabrykanci, zupełnie i zewsząd pomocy pozbawieni, zdobyć się na coś podobnego mogli. Takie jest bowiem nieszczęśliwe położenie naszego przemysłu, iż myśl swojska, mogąca jedynie wlać nowe i silne w niego życie, znikąd nie doznaje poparcia, ani pomocy, ani zachęty — i nie dzieje się to z umysłu, ale jest wynikiem szczególniejszego zbiegu okoliczności. Jeżeli np. weźmiemy handel, który z natury rzeczy jest już rodzonym bratem przemysłu, to myśl swojska przemysłowa w handlu nie ma żadnego poparcia. Najprzód z tego powodu, że handel pozostaje w rękach obcych, albo nie mających interesu w popieraniu przemysłu krajowego, albo tego interesu nie rozumiejących; po wtóre w handlu rządzić się sentymentalizmem nie można. Kupiec musi baczyć na to, aby dostał towar jak najtaniej, na warunkach o ile można najdogodniejszych i w gatunkach takich, które by znalazły zbyt. Cóż więc dziwnego, że się zaopatruje ze składów zagranicznych, gdzie znajduje przystępne ceny, łatwy kredyt i obfity wybór. Toż samo w kraju łatwiej i taniej się zaopatruje z fabryki będącej własnością bogatego, rządowego Niemca — niż z zakładu ubożego, małego przemysłowca, który pochodzeniem swoim, poczuciem, własne pierwiastki

reprezentuje. Jeslibyśmy kupcowi przedstawili bogate składki własnych, oryginalną myślą natchnionych wyrobów, łatwy kredyt, obfitość wyboru, to pewno nie udawałby się on do Lipska, Hamburga, Paryża, ale przeniósłby tujejsze towary... mianowicie jeszcze, gdyby je publiczność kupowała. Bo i nasza publiczność, czyż ona nie jest tamą rozwojowi przemysłu o własnych pierwiastkach? Dopóki tkwić będzie w ogóle to przekonanie, że co angielskie, francuskie, niemieckie, to się odznacza gruntownością, mocą, elegancją — dopóki tysiące mydła Pulsowskiego krążyć będzie w etykietach o Société*), Hygiénique*), dopóki tysiące ludzi okrywając głowy kapeluszami Weigtowskimi są przekonania, że noszą oryginalne kapelusze paryskie „Gibus“, dopóty nasz przemysł nie odetchnie swojskim powietrzem. A czyż publiczności można także bezwzględnie czynić zarzut za jej gusta zagraniczne? Czyż te gusta w znacznej części nie są wynikiem doświadczenia? Jeżeli publiczności przedstawia się dwie lampy, z których jedną podpira niezgrabny posążek Światowida, a drugą biegłą ręką artysty wyrobiony Kobold, czyż uczucie smaku nie przeniesie ostatniego, chociaż to bożek Teutonów? A nie mówimy już o cenie, która na wyrobach zagranicznych znacznie jest niższą.

Widzimy więc, że ani przemysł, ani handel, ani nawet publiczność nie są winni, iż w wyrobach fabryk naszych rękodzielni pierwiastek swojski tak małą, że prawie żadną gra rolę; że to co jest postępem, pięknem, pożyczanym bywa od obcych.

A przecież niemniej jest pewną rzeczą, że taki fałszywy, niezdrowy i niepewny kierunek zmieniać trzeba, że brać jedynie dobrą, swojską drogę dla przemysłu wypada.

Jak to zrobić? Gdzie szukać środków, które by umożliwiły dopływ pierwiastków swojskich do przemysłu? które by następnie nową twórczość naszą własną na tej drodze wywołały? Oto pytania i zagadnienia, które będą przedmiotem następnego artykułu, temu ważnemu, choć dla

wielu czytelników nudnemu przedmiotowi poświęconego. Co zaś do nas, wydaje się ten przedmiot nader na czasie i nie bez znaczenia. Jeżeli bowiem świat literatury, sztuki, jest skarbnicą naszą, jeżeli warunkuje nasz byt, to nie powinniśmy lekceważyć niczego, co do tego samego wielkiego celu zamierza. Wyłączne otoczenie z obczyzny w sprzętach naszego mieszkania, w ubiorze, w przedmiotach zbytku i użycia przeświecającej, ściera z nas właściwą cechę i po-ciąga tym wstrętnym werniksem*) kosmopolityzmu*), który okrywa tylko obojętność i rozkład.

Przegląd Tygodniowy 1874, nr 42.

BOLESŁAW PRUS*)

WIEŻA PARYSKA

Wiadomo, że w roku 1889 ma odbyć się wystawa powszechna w Paryżu. Celem zaś zwabienia największej ilości widzów, których już przestały zaciekawiać zwykłe wystawy, Francuzi wymyślili szczególnego rodzaju przynętę, mianowicie wieżę — aż na 300 metrów wysoką.

Wieża będzie zbudowana ze sztab żelaznych w taki mniej więcej sposób, jak kratowe mosty na Wiśle. Będzie też najwyższym budynkiem, jaki kiedykolwiek dźwignęła ludzka ręka. Cud świata — olbrzymie piramidy egipskie wyglądać mają obok niej jak stado cieląt obok słońca.

Dosyć powiedzieć, że gdyby owa wieża, po wybudowaniu jej w Paryżu, przewróciła się w Warszawie, zajęłaby prawie całą długość Saskiego Placu od ulicy Wierzbowej do Królewskiej, a może i dalej.

Dbała o zadowolenie czytelników redakcja uprosiła swego naczelnego korespondenta w Paryżu, ażeby nadesłał

bliższe szczegóły, dotyczące 300-metrowej wieży. Wieży jeszcze nie ma, nawet fundamentów pod nią nie wykopano i w ogóle na pewno nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie na świecie. Niemniej jednak nasz naczelny korespondent rozesłał swoich oficjalistów*) po całym Paryżu, z surowym rozkazem, ażeby 300-metrową wieżę koniecznie znaleźli, a przynajmniej ażeby dokładnie opisali wszystko, co z niej widać.

No, i wieża znalazła się; jeden z naszych reporterów był na niej i oto co zobaczył:

Jest nas trzech na szczycie: ja, naczelny architekt i wartownik uzbrojony w potężną lunetę, przez którą widać nie tylko cały glob ziemski, ale jeszcze wszystko to, co się na nim dzieło i dzieć może.

Zaiste, obszerny widnokrąg do obserwacji. Na zachód pienia się z głuchym szumem fale Atlantyku, na południe błyszczą spokojnie zwierciadło morza Śródziemnego, a za nim czernieją wybrzeża Afryki, wreszcie od północy i wschodu rozciąga się europejski półwysep, przyrośnięty do Azji jak olbrzymia huba do dębu.

Wicher dmie wściekły i w różne strony chwieje wierzchołkiem 300-metrowej wieży. To przypomina mi owe szczęśliwe lata, kiedy w parku łazienkowskim wdrapywałem się na szczyty drzew wybierać młode wrony. Ponieważ było bardzo zimno, skosztowaliśmy więc (z naczelnym architektem) po kropelce koniaku.

— Co pan tu robisz? — zapytałem patrzącego w lunetę wartownika.

— Śledzę, czy Niemcy nie przekraczają francuskiej granicy — odparł wartownik.

Prosiłem go, ażeby mi pozwolił popatrzeć w czarodziejską lunetę. Wartownik obrzucił mnie groźnym spojrzeniem i odpowiedział, że — jako czuwający nad bezpieczeństwem kraju, jako pojmujący swe obowiązki żołnierz i obywatel, wreszcie jako człowiek honorowy, za żadne skarby świata uczynić tego nie może. Musieliśmy aż dwa razy przepić do

niego koniakiem i jeszcze ofiarować mu nie zaczęta butelkę, zanim o tyle się udobruchał, że stłumiwszy donośny głos obowiązku, pozwolił mi używać lunety w sposób, jaki mi się podoba, byłem jej tylko nie połknął.

Wicher jeszcze mocniej zakolysał szczytem wieży, a nam zrobiło się zimno. Skosztowaliśmy więc po odrobinie koniaku: ja, architekt i wartownik. Architekt zamyślił się, wartownik jednym okiem patrzył w niebo, drugim w ocean Atlantycki, a mnie — ogarnęła wielka rzewność.

— Pokażże mi pan moich ukochanych ziomków, kiedy już mamy taką cudowną lunetę — rzekłem do architekta.

Nastawił szkła i skierował czarodziejskie narzędzie na plac wystawowy.

Zobaczyłem tam trzy pracujące grupy ludzi: 100 Francuzów, 100 Niemców i 100 nadwiślańczyków. Każda z tych grup miała wznieść osobny budynek z dużych brył ciosowych, za których ustawienie płacono im franka od sztuki.

Niemcy i Francuzi natychmiast wybrali sobie po pięciu dyrektorów i wzięli się do roboty. Polacy z początku wszyscy chcieli być dyrektorami, o co nawet pobili się i rozbiegli. Dopiero gdy im głód dokuczył, zeszli się znowu i zapytawszy o radę Francuzów, Niemców, przechodniów lub gapiów, wybrali sobie dyrektorów ledwie wówczas, gdy pod francuskim i niemieckim budynkiem już stały fundamenty.

Ułożono się też o system wynagrodzenia.

W grupie francuskiej i niemieckiej każde 100 franków zarobionych dzielono w następny sposób:

Na utrzymanie dyrekcji szło 25 fr., na oszczędność 25 fr., a pozostałe 50 fr. dzielono między wszystkich — po 25 centymów na osobę.

W grupie polskiej również płacono po 25 cent. jednej osobie. Ta jednak była oryginalność, że dyrektorowie brali 50 fr., a na oszczędność nie odkładano nic.

Pracowano też bardzo rozmaicie w tych grupach. Mocne i flegmatyczne Niemcy przenosiły od razu po 12 kamieni,

robiąc na godzinę pięć obrotów. Drobni, ale ruchliwi Francuzi dźwigali tylko po 6 kamieni, ale robili na godzinę po dziesięć obrotów. Polacy zaś wygłodzeni przez poprzednią awanturę, nosili tylko po 8 kamieni i robili po sześć obrotów na godzinę.

W końcu 10 godzin interes tak się przedstawiał:

Każdy Francuz i Niemiec zarobił po 3 franki; prócz tego każdy dyrektor dostał 30 franków i na każdą grupę przypadało po 150 fr. oszczędności. Polacy zaś zarobili na osobę po 2 fr. 40 cent., a oszczędności nie mieli żadnych, ale ich dyrektorzy otrzymali po 46 fr. na osobę.

W czasie wypoczynku Niemcy za oszczędzone pieniądze kupili grochowych kiszek, beczkę piwa i nasycili się tak, że każdemu z nich przybyło po pięć funtów wagi. Francuzi wypili wina, zakąsili czekoladą i sprowadzili sobie teatr, który mocno podtrzymywał wrodzoną żywość ich ducha. Polacy zaś nie bardzo syćci poszli spać, ale za to dyrektorowie ich wyprawili sobie bal polski, który podziwiano w całym Paryżu.

Na drugi dzień jeden z dyrektorów francuskich, wracając z maskarady, wpadł na myśl zbudowania maszyny, która zastępowała pracę 100 ludzi. Współcześnie pięciu dyrektorów niemieckich, przestudiowawszy Euklidesa*) i Archimedes*)], wysmażyli plan maszyny, która zastępowała pracę 90 ludzi. Ale dyrektorowie polscy, zmęczeni tańcem, spali. coś do południa i dopiero ku wieczorowi jeden z nich wynalazł nową figurę mazura, a drugi bardzo misterne łóżko składane, z którego można było zrobić karabin i fortepian, bez możności jednak grania na fortepianie, strzelania z karabinu i sypiania na łóżku.

Toteż w ciągu następnych dni zarobki Francuzów podwoiły się, Niemców prawie że się podwoiły, a Polaków zostały te same. W miesiąc później gmach budowany przez Francuzów jaśniał pięknnością, Niemców imponował siłą i niezgrabnością, a polski, ledwie zaczęty, począł się roz-

walać. Pracujący bowiem, straciwszy chęć do roboty, wymyślali dyrektorom, a dyrektorzy, wiedząc, że na budownictwie już nic nie zyskają, utworzyli balet i postanowili objeżdżać Europę...

Widok ten — pisze nasz paryski korespondent — nappełnił mnie wielkim żalem. Odepchnąłem precz lunetę; a że wicher dał coraz mocniej, chwiejąc na wszystkie strony wieżę, i mróz ścisnął coraz dokuczliwszy, wypiliśmy więc po kropelce koniaku: ja, naczelny architekt i wartownik.

Żal mój przemienił się teraz w gniew.

— Niech diabli porwą pańską lunetę — krzyknąłem do wartownika. — Pokazuje rzeczy głupie i niegodziwe!...

— Przecież nie ona temu winna — odparł coraz pochmurniejszy architekt.

Wartownik nie odpowiedział nic; zajęty był śpiewaniem Marsylianki.

— Wiem, — mówiłem do architekta — że moi rodacy osobiwie rzuceni na obczyznę, nie mogą dorównać ani wam, ani Niemcom. Każdy z was nie byłby lepszy w podobnym położeniu. Za to w domu, u siebie, robią co mogą i chyba nie gorzej od was.

— Wątpię to ludność — rzekł architekt — i powinna by dużo pracować nad swoją higieną i dietetyką*).

— Bądź pan o to spokojny — odparłem. — Mamy w Warszawie tylu lekarzy, że już tworzy się u nas lekarski proletariat, a młodzi medycy wyjeżdżają za guwernerów.

— Zobaczmy jednak, jaki ci ludzie mają wpływ na wasz ogół — rzekł architekt i począł kierować lunetę ku Warszawie.

Ze smutkiem wyznać muszę, że towarzysz mój nie od razu znalazł Warszawę. Szukał jej kolejno w Turcji, Węgrzech i w Niemczech i dopiero przypomniawszy sobie ze Strabona*) czy innego starożytnego geografę, kierunek Wisły — z wielką biedą trafił akurat za wolskie rogiatki.

Spojrzałem w okular i — włosy stanęły mi na głowie. Zobaczyłem bowiem nad zamarznąłą glinianką jakiegoś człowieka, który wyrąbawszy lód unurzał kilka razy w przerębli towarzyszącą mu kobietę... Błada twarz i mdłe ruchy unurzonej nasunęły mi myśl, że musi to być osoba chora.

— Wariat czy morderca?... — spytałem przerażony, tym bardziej, gdy spostrzegłem, że wykąpana kobieta upadła na ziemię, a z jej przymkniętych oczu i nagle zmienionych rysów można było poznać, iż umarła.

Tajemnicę tej łaźni wyjaśnił mi w kilka dni wasz „Kurier”. Z rubryki policyjnych wypadków dowiedziałem się, że pewien mąż, z porady znachorki, dla przywrócenia sił chorej żonie wykapał ją w gliniance...

Współczucie moje dla biednej kobiety było tak wielkie, że trząsłem się z zimna. A ponieważ wicher coraz gwałtowniej trząsł wieżą, wypiliśmy więc po odrobinie koniaku: ja i architekt. Wartownikowi, który już gadał coś przez sen, musieliśmy gwałtem otwierać usta i przez zaciśnięte zęby wlewać płyn rozgrzewający.

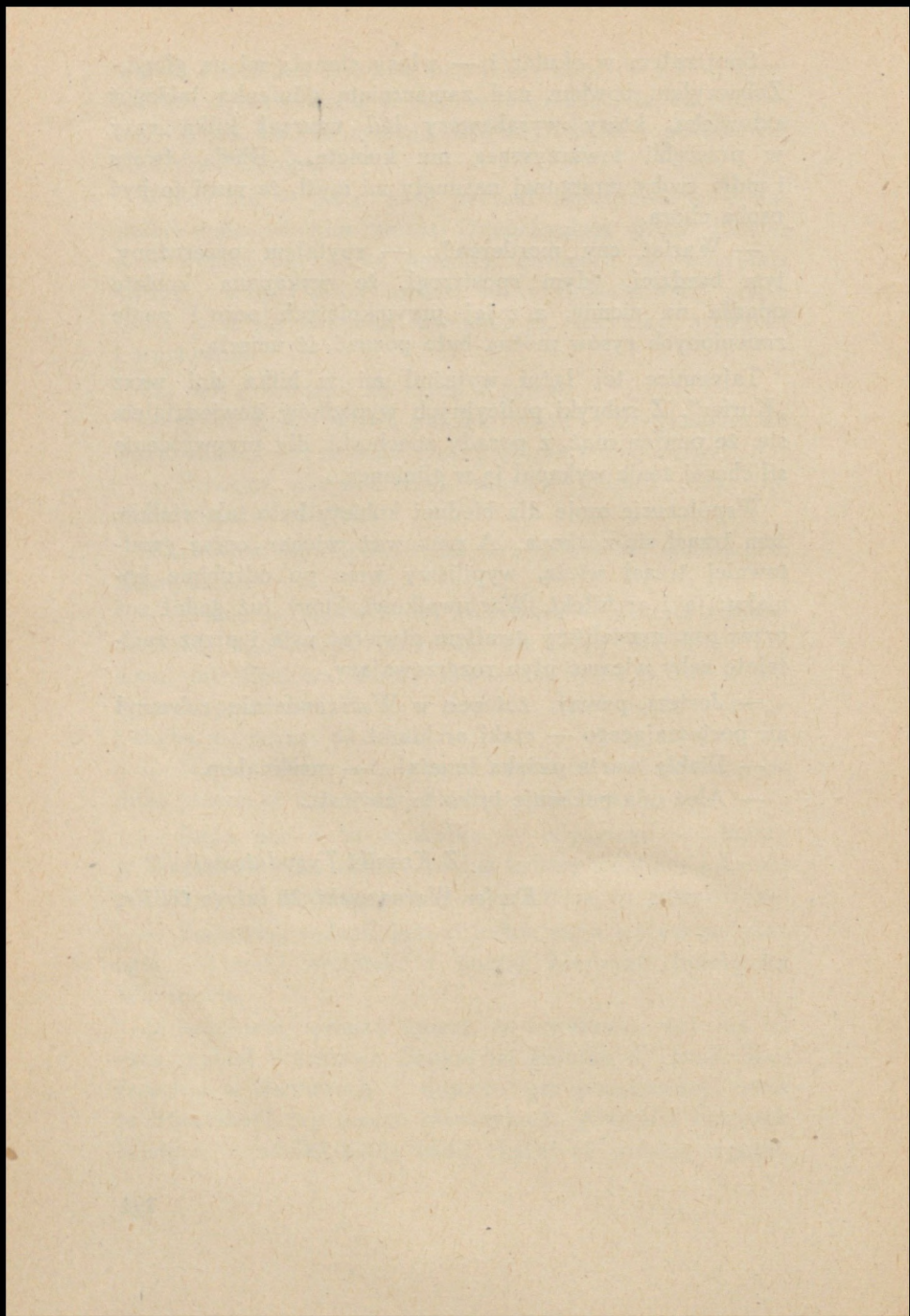
— Jestem pewny, żeś pan w Warszawie nie zobaczył nic pocieszającego — rzekł architekt.

— Diabła warta pańska luneta!... — mruknąłem.

— Ależ ona pokazuje tylko to, co jest...

Z Kroniki Tygodniowej

Kurier Warszawski, 28 lutego 1887 r.



ROZDZIAŁ VI

PATRIOTYZM I POLITYKA

W. J. L. 1000
EXHIBIT 1000

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI*)

NASZE DROGI POLITYCZNE

Los zachował naszej dobie wyjątkową obfitość cywilizacyjnych przemian i zwrotów. Rzadko kiedy w historii widnokrąg Europy zaciągnął się chmurami w większym jak dziś promieniu i rzadko kiedy rzucił w jej łono więcej gromów. Od lat kilkunastu ciągle coś pęka, łamie się lub zapadnięciem grozi, ciągle albo widzimy gwałtowne wybuchy rozpłomienionej lawy, albo słyszymy jej złowrogie w głębokim ukryciu nurtowanie. Jeszcze dymią się dwa niewygasłe kratery polityczne na zachodzie, a już przed paru dniami rozwarł się nowy, długo wstrząśnieniami zapowiadany wulkan na południu. Po Hercegowińcach Serbowie wypowiedzieli wojnę Turkom w imieniu własnym i całej z nimi połączonej Słowiańszczyzny. W chwilach takiego zaognienia się międzynarodowych stosunków drętwieją zwykle wszystkie inne sprawy, a uwaga ogólna, ściągnięta najsilniejszym magnetycznym prądem, zbiega się całą swą siłą w dziedzinę polityki. Smutna dola pisma, które wtedy nie może ukazać czytelnikom swoim tego właśnie zegaru, którym by oni czas swych myśli najchętniej mierzyć pragnęli. Odczuliśmy to niedawno, gdy nam program zakazywał w kolumnach *Przeglądu* umieszczać obrazów wielkiego dramatu, jaki się niedawno rozegrał między dwoma plemionami Europy z fatalnym epilogiem dla jej cywilizacji. Ażeby wyjść z tej dziennikarskiej bezwładności, zwłaszcza że ciągle wróżby obiecywały nam spotęgowanie jej ujemnych skutków, ażeby móc czytelnikowi pośredniczyć w poznajomieniu się z wypadkami,

które silnie i słusznie zajmują jego ciekawość, postaraliśmy się dotąd zamknięte ujście politycznych opinii w piśmie naszym otworzyć.

Mamy jednak na celu w tym rozszerzeniu program — nie nowinkowość. Z tego długu wypłaca się całkowicie za nas telegramy. Punkt zaś ciężkości naszych politycznych rozumowań padać musi na stronę znacznie większej wagi. Zawsze, a tym bardziej wtedy, gdy stosunki międzynarodowe szybko się zmieniają, gdy nagle występują do życia idee albo nowonarodzone, albo kiedyś żywcem pogrzebane, każde społeczeństwo winno bez chwiejności decydować się w swych politycznych sympatiach i opiniach. A nie ma, powtarzamy — nie ma takiego, dla którego by te stosunki i idee mogły być obojętne. Socjalne grupy ludów pierwotnych stykają się z sobą luźnie, ale organizacja narodów ucywilizowanych tak je wzajemnie między sobą zazębia, że każdy silniejszy ruch jednego odczuwa drugi. Dla Mandingów*) mogą mało znaczyć rewolucje między Mandingami, ale na gruncie cywilizacji nie rodzi się ani jeden myślący człowiek przy jednym jej krańcu, ażeby go inni przy drugim nie obchodzili. Bo nie zapominajmy, że każdy z nas, wolą czy niewolą, należy do jakiegoś obozu w wielkiej politycznej kampanii i że zwycięstwo lub porażka tego obozu oddziaływa z większej lub mniejszej odległości na los wszystkich zgromadzonych pod jego chorągwią. Świat cywilizowany dzieli się nie tylko na Finnów i Germanów lub na Słowian i Romańczyków, lecz obok tego na postępowców i wsteczników, na rojalistów i republikanów, na wolnomysłących i fanatyków. Wszystkie te żywioły łączą się z sobą na zasadzie praw powinowactwa, wbrew najjaskrawszemu rasowemu różnicom. Odmiany w budowie szkieletów lub barwie skóry odrywają naród od narodu, pokrewieństwo dążeń je spaja. Solidarność interesów jednoczy najdalej względem siebie rozłożone a jednorodne elementy, tak że w ciele Europy potworzyły się z nich osobne gałęzie nerwów, po których przebiegają właściwe

im prądy. Nie tylko jezuici lub Żydzi odczuwają jednocześnie, na wszystkich punktach, każdą działającą na ich wrażliwość zmianę, lecz również, chociaż może ze słabszą wybitnością, objawia się ona w każdym składniku cywilizacji. Nie sam pieniądź ma giełdę i wahające się kursy, ma je także wszelka polityczna idea. A jak każdy pieniężny spekulant strzec się musi, ażeby nie skupował papierów zakwestionowanych lub opartych na wątpliwym kredycie, tak również każdy światły obywatel, każdy dojrzały naród musi starannie obliczać wartość swych politycznych idei. Przeciwno tej ostrożności grzeszyliśmy nieraz i pokutowaliśmy ciężko. Rozkochani w widziadłach, ślepo ufając pierwszym natchnieniom, bez uwagi co i gdzie wabi, ginęliśmy jak balladowi bohaterowie, biegnąc w objęcia najrozmaitszych politycznych, zawsze zwodnych, rusalek. Rzecz niezawodna, że Prometeusz rozdając ludziom talenty nie nam ofiarował polityczny rozum. Trzy czwarte naszej historii składają dowód tego kalectwa. Są w niej najpiękniejsze porywy, ale niemal zawsze przypadają na czas „mądrości po szkodzie”. Zanadto wierzyliśmy i za długo niestety wierzymy, że są idee bezwzględne i wieczne. Uparłszy się więc przy jakiejś, broniliśmy jej nawet wtedy, gdy już słusznie przegrała sprawę przed wszystkimi trybunałami cywilizacji, gdy stała się w niej pośmiewiskiem. Ze zdumiewającym fanatyzmem walczyliśmy przeciwko prawom czasu, nie widząc lub nie dbając, że jego potęga zmiata nas, nie zatrzymawszy się nawet w swoim pochodzie. Z tej taktyki wypłynąć mogło jedno następstwo i to nas rzeczywiście nie minęło: nauczyliśmy się wspaniale ginać, ale nie umieliśmy nigdy rozumnie żyć. Raczej paść, niż ustąpić — krzyczeliśmy zawsze, i na nieszczęście nawet wtedy, gdy nie warto było padać, a trzeba było ustąpić. Przypomnijmy sobie tylko te hasła rozlegające się przez cały wiek XVIII. Jeśli bohaterstwo śmierci jest do zupełności cnót narodowych potrzebnym, to już je posiadamy;

teraz trzeba postarać się o inne, mniej poetyczne ale korzystniejsze — o bohaterstwo umiejętnego życia. Nie tu miejsce na szczegółowe w tym względzie rady, ale tu należy ich ogólna zasada. W obecnym zawichrzeniu Europy nie możemy przyjąć udziału tylko swoją w tę lub inną stronę skierowaną sympatią, a skorzystać tylko na politycznej wiedzy i roztropności. Jakikolwiek będzie przebieg gry, my się w niej sami nie postawimy, bośmy do niej nie wciągnięci i nie powołani. To jednak nie wyłącza potrzeby i obowiązku moralnego korzystania z cudzych doświadczeń, a przede wszystkim upatrywania w powikłanym paśmie politycznych interesów tych nici, które się wiążą ze szczęściem każdego cywilizowanego narodu. Pamiętajmy, że nie jesteśmy żadną Anglią lub Francją zmuszoną spekulować na zyskowe rezultaty swej dyplomacji, lecz bierną w całej sprawie gromadką, której istnienie, bezpieczeństwo i przyszłość zależą od mądrego zsolidaryzowania się z potęgą posiadającą szanse trwałości i przewagi. Dziś środek politycznego ciężenia przeniósł się na południowe skrzydło Słowiańszczyzny. Koguty dziennikarskiej i gabinetowej polityki pieją na daleko większą burzę, bez względu wszakże na jej rozmiar i rezultaty współczucie nasze należy się jedynie żywiołowi plemiennie i cywilizacyjnie z nami spokrewnionemu — Słowianom. Kto wie, czy to nie pora, w której zaczną się sprawdzać od dawna głoszone prorocтва Zachodu o wielkiej przyszłości słowiańskiego szczepu. W tych bowiem jego odroślach, które na pozór uschły, odcięte od pnia i niszczone powiędły, budzi się naraz gorące życie, energia, siła. Błogosławimy temu zmartwychwstaniu wszystkimi uczuciami serca, bo ono odkupuje wielką sprawę cywilizacji przez narodowe wyzwolenie i sprawę plemienia, którego szczęściem, mocą i swobodą żyć jedynie możemy. Niechaj sobie Anglia poświęca wszystkie ludzkie prawa na ofiarę swego skarbca i niech broni mongolskiego robaka, któremu chce przedłużyć konanie kosztem zdrowej krwi słowiańskiej, my ko-

rzystajmy z tego, że nas żaden szachrajski interes do niegodziwości nie zmusza i zapiszmy swoją sympatię na sztandarach słowiańskich.

Jak przyszłość sprawę południowej Słowiańszczyzny rozstrzygnie, nie możemy i nie potrzebujemy dziś wróżyć. W szczegółowych, bezpośrednio z wypadkami związanych artykułach, będziemy mieli sposobność uwiadomić czytelnika albo o rezultatach spełnionych, albo możliwych. Dziś określamy naszą pozycję tylko tym ogólnym zapewnieniem, że jakiegokolwiek będą bezpośrednie skutki zdarzeń obecnie dokonywających się, my święcić będziemy tylko tryumfy cywilizacji, sympatyzować tylko z jej czynnikami, cieszyć się tylko jej zwycięstwem. Każda jej porażka będzie dla nas pogrzebowym wspomnieniem, chociażby nawet przyniosła naszemu społeczeństwu jakieś doraźne korzyści, bo sądzimy, że jak we wszystkich innych kierunkach myśli, tak i w polityce powierzenie swych uczuć i losów straży postępu jest jedyną drogą, na której każdy naród znaleźć może nieomyłne wskazówki trwałego i wytrwałego życia.

Przegląd Tygodniowy 1876, nr 27.

ELIZA ORZESZKOWA*)

PATRIOTYZM I KOSMOPOLITYZM*)

(Wyjątki)

„Dobrobyt, który cię otacza, jakkolwiek skromny, stworzony jest w ciężkich mokołach i srogich cierpieniach ludzkich; toteż myśl jak najczęściej o tym, do czego cię używanie go obowiązuje.” Myśl więc o rolniku, dzięki któremu odżywasz organizm swój grubym choćby i twardym kawałkiem chleba; o handlarzu, który stając się pracowitym

i ruchliwym czynnikiem zamiany, podał ci w ręce to, po co musiałbyś dążyć w dalekie strony; o rzemieślniku, który wznosił ściany mieszkania twego tak, aby wśród nich było ci ciepło, jasno i bezpiecznie... Zstap niżej i myśl o ziemi tej, z łona której powstaje wszystko co żywi; o powietrzu tym, które utrzymuje byt wszystkiego co żyje; o wodach tych, które niosą z sobą żyzność i wzmagają ruch działań i stosunków ludzkich; o lasach, które kiedykolwiek chłodziły cię swym cieniem i poły swymi woniami; o niwach szerokich, po których kiedykolwiek oko twe biegło swobodnie i wesoło; o wzgórzach, ze szczytów których ogarniałeś widoki sprawiające ci estetyczną uciechę; o wszystkich ścieżkach i drogach, które w latach dziecięcych, młodości, dojrzających, ułatwiały ci dojście ku celom: zabaw twych, nauki, korzyści. Lecz wznies się też wyżej — i pomyśl o wszystkich mistrzach i przewodnikach myśli twojej i twych uczuć, poczynając od prostej i nieuczonej piastunki, która pierwsza nauczyła cię nazywać po imieniu wszystko, co cię otacza, aż do nieznanych ci przyjaciół, którzy wśród nocy bezsennych może, a pewnie w ciężkim trudzie umysłu i z gorącym sercem biciem, skreślili wszystkie te książki, które przez całe twoje życie uczyły cię poznawać świat, ludzi i samego siebie, w znudzeniu przynosiły ci rozrywkę, w smutku pociechę, w wątpliwości twoje wlewały promień przewodni, w troskach udzielały rad i zachęty. Lecz spojrzenie swe zanurzając w przeszłość, wspomnij też nie tylko „o ojcu swym, który tyle o tobie myślał“, lecz o wszystkich tych ojcach i praojcach swoich, którzy od czasów zapadających w mroki oddalenia gotowali dla ciebie drogi, uprawiali pola, wznosili grody, tworzyli i przetwarzali stosunki społeczne, dokonywali prób licznych a ciężkich, zgromadzali zasoby doświadczenia i wiedzy, aż wszystko to razem złożyło się na krew, która w żyłach płynie, na sposób, w jaki nerwy twoje przyjmują wrażenia od otaczającego świata, na proces ten, którym

myśl krąży po twojej głowie, na dźwięki i układ mowy, która myśl swą wyraża, na sumienie to, które będąc zbiornikiem wyrobionych wiekami pojęć, uczuć i przywyknień, pozwala ci rozpoznawać zło i dobro, wytwarza moralne twoje pociągi i wstręty. Myśląc o tym wszystkim, myśleć będziesz nie o czym innym, tylko o rodzinnej ziemi i narodzie swym całym, pojętym w przeszłości i teraźniejszości, we wszystkich stanach jego, warstwach i przejawach. Myśląc o tym wszystkim możesz-że pomyśleć, przypuścić choćby, że ziemi tej, temu narodowi nic się od ciebie w zamian nie należy?...

Przysługi otrzymane od społeczeństwa rodzimego jednostka wynagrodzić może tylko osobistą, własną pracą, a części zasobu zgromadzonego przez wieki i miliony na korzyść swą użyte, zwrócić zasobowi temu w postaci wytworów tej pracy. Obowiązek ten wzmagają się tu wysoce dwoma względami. Naprzód: człowiek każdy z natury swej przez pewną część swego życia, mianowicie do chwili osiągnięcia pełni sił i wzrostu, nie tylko żyje wszechstronnie kosztem ogólnego zasobu, ale jeszcze z zasobu tego czerpie coś dla przyszłości własnej, pod postacią wychowania i wykształcenia. W porze tej życia wypłata wszelka jest niemożliwą, a jednostka zużywa mniej albo więcej, i mniej albo więcej bierze na zużycie przeszłe, ale nie produkuje nic. Cały więc ciężar długów zaciągniętych w początkach życia spada na dalszy ciąg jego i jeżeli istnieje w ludzkości prawda jaka jasna jak słońce, jest nią ta, że jednostka ludzka winna ogółowi wytworami pracy swej zwrócić to, czym tenże ogół darzył ją wtedy, gdy była ona częścią jego beczynną, drobną płonką pielęgnowaną dla przyszłości. Następnie: niczyje najbystrzejsze oko wysledzić nie zdoła zakrętów i początków tych nici, po których przybywają do człowieka wszystkie ozdoby i uszlachetnienia jego życia. Nici te wysnuwają cię często-króć z punktów tak odległych w czasie i przestrzeni, że nie

tylko ręka trzymająca pieniądź dosięgnąć ich nie może, ale nawet usiłując odkryć je i powiązać, myśl plątać się, a imaginacja omdlewać musi. Nic to, że jednostkę, od której otrzymałeś ten przedmiot użycia, wynagrodziłeś stosownie do cen istniejących na obecnym rynku, lecz myślą i wyobraźnią cofnij się ku początkom powstania w kraju przedmiotów podobnych i spróbuj dosięgnąć wszystkich tych, którzy przez ciąg historii najprostszego choćby przedmiotu tego ponosili trudy wynalazku lub przyswajania, trwogi i straty prób, zawody, zniechęcenia i znowu bolesne i ciężkie wyężdżanie sił! Nic to, że serce uderzyło ci żywo i rozkosznie na widok lub dźwięk jakiś, który całkiem darmo na pozór ujrzeć lub dosłyszeć można w naturze lub pośród ludzi. Lecz zdołasz-że policzyć wszystkich tych, którzy sprawili, żeś uszczęśliwiające serca uderzenie uczuć był w stanie? Nic to, że myśl jakaś, która jak promień słoneczny do głowy twej wnikać, oświeciła przed tobą punkt jakiś trwożący cię dotąd, przyszła ci bezpośrednio od tej właśnie osoby, która myśl tę dała ci darmo albo za zapłatę w postaci pieniędzy. Nigdy nie dojdiesz, skąd najpierw myśl ta wytrysnęła, kto stwórcielem jej był pierwotnym, ile umysłów i w jakich wewnętrznych trudach ją piastowało, jakie bolesne a pracowite prądy społeczne niosły ją po kraju twym póty, aż przyniosły ustom tym, z których je wzięłeś; i nigdy jeszcze nie dojdiesz ani tych prac i dążeń, przez które usta te zdolnymi były do wypowiedzenia ci tej myśli, ani tych, za sprawą których tyś ją zrozumieć i przyswoić sobie potrafił. W jakież więc sposób bezpośrednio wynagrodzić zdołasz owych wszystkich nieznanych, oddalonych, pomarłych? Nie nasycisz ich głodu, nie pocieszysz boleści, nie otrzesz z czoł ich znoju ani łez z ich oczu, bo albo nie wiesz kim i gdzie są, albo już nie ma ich wcale na ziemi. Byłby to dług do spłacenia niepodobny, gdyby nie istniała indywidualność narodowa pojęta w przyszłości

i terażniejszości i we wszystkich składowych swych częściach i warstwach, gdyby też nie istniało pojęcie patriotycznego obowiązku. Owi nieznani, pomarli dobroczyńcy nasi należą lub należeli do narodu; narodowi zwrócić winienes w postaci wytworów pracy własnej to, co wzięło od cząstek narodu w nim też powstałych, przezeń wyżywionych i możliwością tworzenia i darzenia zaopatrzonych.

Idźmy dalej. Każdemu zapewne łatwo jest zrozumiałym, że obowiązek ten stosuje się nie tylko do przysług i prac materialnych, lecz także moralnych i umysłowych. Lecz z prostej i jasnej tej prawdy wynika cały szereg patriotycznych obowiązków nakazujących pracę nie tylko już nad wytwarzaniem bogactwa materialnego, ale też nad umoralnianiem i oświecaniem siebie i innych w celu wiania do moralnego i umysłowego zasobu ogółu jak największej sumy możliwie najdoskonalszych uczuć, myśli i czynów. Nie podobna przecież kształcić siebie samego ku pożytkowi ogółu i na ogół ten w kierunku doskonalenia go skutecznie oddziaływać, bez najlepszego możliwie zapoznania się z nim i bez żywego, a o ile tylko podobna, czynnego współudziału we wszechstronnym jego życiu. Stąd obowiązek podkładania pod wykształcenie ogólne ludzkie tła narodowego czyli: znajomość dziejów, mowy, piśmiennictwa, stosunków i potrzeb narodowych i poświęcenia części sił swych i czasu pełnieniu funkcji publicznych, których zadaniem jest bądź sterowanie publicznym sumieniem i obyczajem, bądź strażnictwo nad politycznymi, towarzyskimi i ekonomicznymi stosunkami ogółu. Z dwu tych obowiązków należycie pojętych i spełnianych wytwarza się cały rząd tak zwanych cnót publicznych. Nie dość jest bowiem zgromadzić największy choćby zasób wiadomości o społeczeństwie rodzimym, trzeba jeszcze, pragnąc w dobrej wierze oddania mu przysług rzetelnych, w zasób ten wlać światło wszechstronnych i bezstronnych poglądów, z których jedno i drugie niezmiernie trudnymi są do wypraco-

wania i osiągnąć się dają tylko przez silną wolę trzymającą na wodzy osobiste, a częstokroć stopnia namiętności sięgające pociągi i wstręty. Pośród narodów z cywilizacją dawną i rozwiniętą nie ma ani jednego, który by w przeszłości swej i terażniejszości nie zawierał licznych a sprzecznych ze sobą kierunków myślenia, czucia i dążenia. Na rozliczne kierunki te zapatrywać się ze stanowiska, o ile można przedmiotowego, odłączyć od nich wszelkie względy na interesy osobiste, a w sądzeniu ich, powściąganiu, lub popieraniu, rządzić się tylko względami na pożytek lub szkodę, które przynieść one mogą ogółowi, rzecz to istotnie trudna częstokroć, że jednak nie niemożliwa do osiągnięcia — świadczą o tym nierzadkie w minionych i współczesnych nam dziejach napotymane przykłady. Kiedy amerykański bohater odmawia przyjęcia ofiarowanego mu tronu; kiedy w najnowszych czasach francuski mąż stanu popiera formę rządu, której przez życie całe nie sprzyjał, bo widzi w niej jedyny sposób zjednoczenia roztrąganej niezgodą wewnętrzną Francji; kiedy gdzie indziej całe klasy społeczne zrzekają się dobrowolnie przywilejów swoich, skoro one losom ogólnym grozić się zdają; kiedy wobec niebezpieczeństwa publicznego milkną spory stronnictw religijnych i politycznych, a towarzyskie różnice usuwają się w dal, ażeby nie przeszkadzały w jednomyślnym pełnieniu obowiązków publicznych, we wszystkich przykładach tych widzimy nie co innego, tylko zrzeczenia się osobistych zaszczytów i korzyści, usunięcie na stronę osobistych sympatyj i wstrętów, na rzecz ogólnego pożytku i bezpieczeństwa.

Jest to poświęcenie części siebie samego na rzecz ogółu, drugi po pracy obowiązek patriotyczny.....

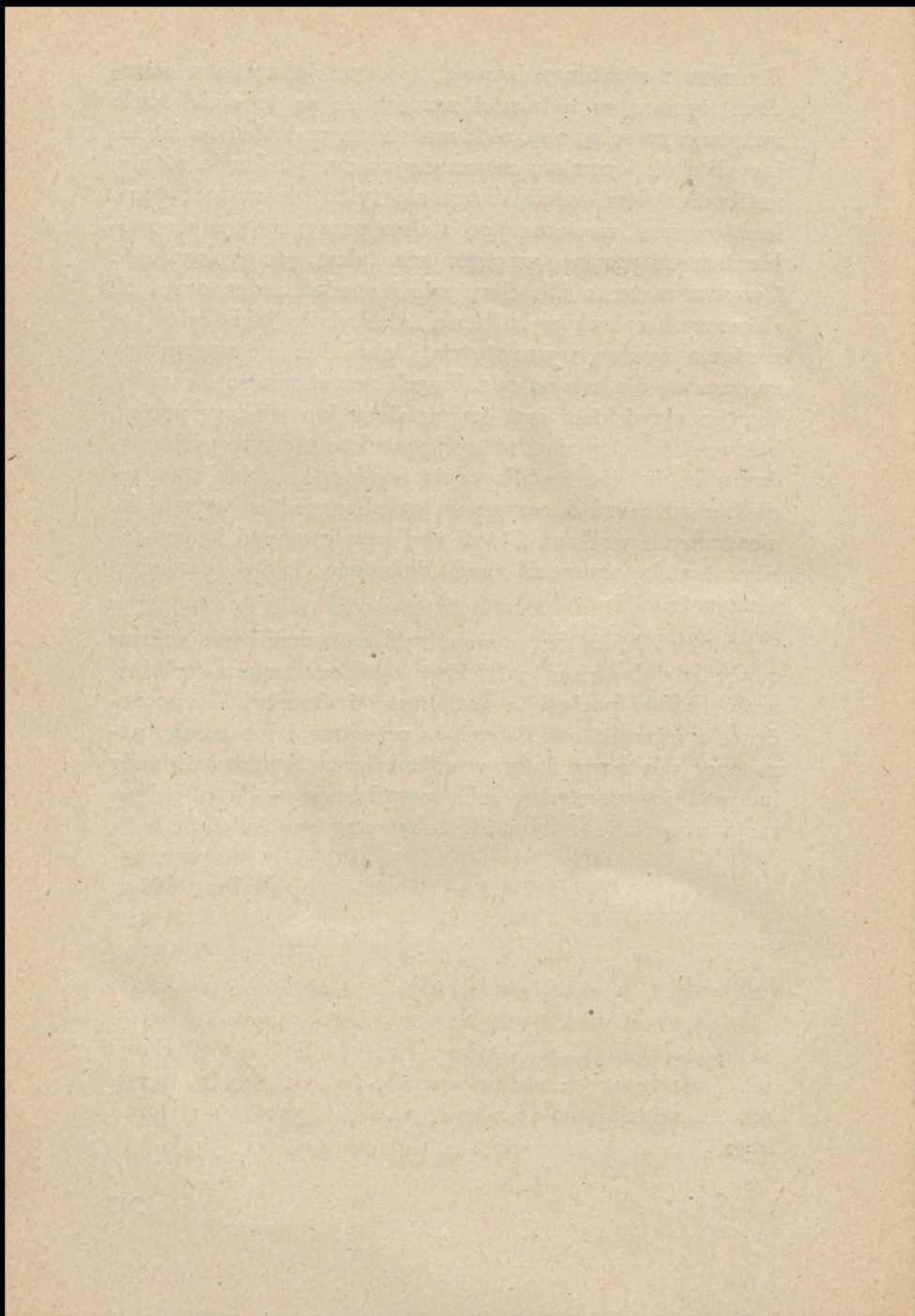
Gdzie i w czym ujrzymy istotną rację powstania i bytu teorii obywatelstwa świata?

Pozostają nam do oglądania dwa tylko zjawiska, lecz wielkie i piękne, a przede wszystkim wysoce prawdziwe.

Pierwsze z nich ukazuje nam, że czym jednostki w narodach, tym są w ludzkości narody; że są to ciała ściśle związane ze sobą, naprzód: mnóstwem podobieństw istniejących obok i pomimo niemożliwych do zgładzenia różnic; następnie: wspólnością dążeń nie tylko nie nadwerężoną, lecz, owszem, wspieraną podziałem pracy; na koniec: zwiększaniem interesów wzajemnych takim, że pomyślność i wzrost zarówno jak cierpienie i upadek jednego z tych zbiorowych członków ludzkości, niechybnie, jakkolwiek nie z równą zawsze wyrazistością, dobre lub złe następstwa sprowadza dla wielce oddalonych nawet miejsc i czasów. Drugim zjawiskiem jest ów mniejszy lub większy pociąg, który mieszkańcy ziem różnych, pomimo zachodzących między nimi niezgód i walk, czują wzajem ku sobie i budzenie się od czasu do czasu w łonach narodów wstrętu ku niezgodom i walkom, litości nad przelewanyymi kędyś daleko łzami, oburzenia nad dokonaną kędyś przemocą i krzywdą.

Podobieństwom swym, wspólnym dążeniom i wzajemnym odpowiedzialnościom udzielimy ogólnego miana solidarności ludów; pociągi te zaś, litości i głucho bóle, pochodzące z uderzeń oddalonych w przestrzeni lub czasie, nazwiemy wiążącym ludy współczuciem. Solidarność tedy ludów i ich pomiędzy sobą współczucie, — oto jedyna racja powstania i bytu idei obywatelstwa świata.

Wilno, 1880.



BOLESŁAW PRUS*)

NAJOGÓLNIJSZE IDEAŁY ŻYCIOWE

(1897 — 1900)

VIII. Zamknięcie

Od wielu lat, już to dzięki osobistym skłonnościom, już to z obowiązków dziennikarskich, zastanawiałem się nad położeniem naszego kraju.

Przypatrywałem się jego wycinanym lasom, wodom pozabawionym ryb, polom, które nie wydają tyle plonów, ile wydawać by mogły. Widywałem jego chaty niewygodne i niezdrowe, jego złe drogi, przy których barbarzyńskie ręce wyłamywały drzewa. Oglądałem małe miasteczka, ich szpetne ulice, zatrute studnie i na pół walące się domy...

Nie lepiej działo się z ludnością odznaczającą się trzema bardzo smutnymi cechami: biedą, ciemnotą i małą wytwórczością. Nie lepiej ze zwierzętami, które są drobne, głodne, niemocne i dręczone.

Słowem — gdziekolwiek zwróciłem oczy, widziałem, że kraj ten i to społeczeństwo w cywilizacyjnym pochodzie znajduje się bardzo daleko poza innymi europejskimi społeczeństwami.

Jednocześnie przypatrywałem się klasom inteligentnym. Widziałem, że mają one niewątpliwie zdolności umysłowe, pewien zasób wiedzy, sporo szlachetnych uczuć, a nawet skłonność nie tylko do ofiar, ale i do poświęceń. Byłem więc zdziwiony przekonawszy się, że inteligencja ta prawie nie oddziałuje na rozwój niższych warstw społeczeństwa.

Stopniowo przekonałem się, że nasze klasy oświecone i zamożne obok niewątpliwych zalet posiadają dwie grupy wad.

Pierwsza grupa zależy od naszego charakteru, w którym uczucie stanowczo przeważa nad myślą i wolą. Nadto w dziedzinie myśli fantazja i skłonność do marzeń góruje nad obserwacją i ścisłym rozumowaniem. W sferze uczuć popęd do uciech stołu i łoża, tudzież skłonność do zabaw, nie pozwalają rozwijać się wielkim uczuciom, to jest namiętnej miłości, dumie, popędowi do władzy itd.

Nareszcie w zakresie woli jesteśmy skłonni do działań wybuchowych, nie lubimy pracy małej i wytrwałej, a już zupełnie brakuje nam karności, tej cnoty społecznej, przez którą człowiek umie słuchać i uczy się rozkazywać.

Druga grupa wad wypływa z zastosowania naszego charakteru do życiowych stosunków i wytwarza dziwne rezultaty. Nieraz na przykład spotykamy ludzi, którzy mówią:

— Ja tak kocham kraj i społeczeństwo, że poświęciłbym dla nich życie...

W praktyce zaś z największym zdumieniem widzimy, że ludzie ci — wprost nie lubią naszych krajobrazów, a pogardzają chłopami, rzemieślnikami, handlarzami...

Znaczy to, że ci ludzie nie kochają rzeczywistego kraju i społeczeństwa, wśród których żyjemy i które stanowią prawdziwą ojczyznę człowieka, ale są zakochani w jakimś umysłowym tworze złożonym z odległych wspomnień i nieokreślonych pragnień. Dla tego nierzeczywistego kraju i społeczeństwa gotowi są naprawdę do ofiar i poświęceń, które jednak rzeczywistej ziemi i jej mieszkańcom najmniejszego nie przynoszą pożytku.

Tej kategorii ludzi, skądinąd szlachetnych i ukształconych, nikt nie wytłumaczy, że każdy z nich zrobiłby nie równie lepiej i więcej dla dobra kraju, gdyby zamiast ginąć — nauczał bliźnich czystości, jadał tanich a pożywnych pokarmów, jakiegoś rzemiosła...

Krótko mówiąc, inteligencja nasza odwraca się i pogardza praktycznymi zadaniami życia.

Rzecz prosta, że wobec takich spostrzeżeń musiały nasuwać mi się bardzo ważne pytania: Jakby powinno wyglądać modelowe, doskonale rozwinięte społeczeństwo, i modelowy, doskonale rozwinięty człowiek?... Czym nasz naród i nasi ludzie różnią się od podobnych ideałów?... Co powinniśmy robić, jakie przymioty w sobie rozwijać, ażeby zbliżyć się do ideałów człowieka i społeczeństwa?...

Łatwo pojąć, że naród i człowiek wówczas tylko może istnieć, żyć, rozwijać się, kiedy chodzi drogami wyznaczonymi przez naturę, spełnia cele natury. Ale czy w rzeczywistości są takie drogi i cele?... Niewątpliwie są. Każda rzecz na świecie musi być jakąś, musi ulegać zmianom, musi działać na inne rzeczy. Jakość zaś może być doskonała lub niedoskonała, zmiany, którym rzecz ulega, mogą być dla niej korzystne lub niekorzystne, czyli szczęśliwe lub nieszczęśliwe, a nareszcie działanie, jakie ona wywiera na zewnątrz, może być dla innych rzeczy użytecznym lub szkodliwym.

Oto jest źródło trzech Ideałów, które uważam za najwyższe i najogólniejsze nie tylko w świecie ludzkim, lecz w całej naturze. Ideałami tymi są: Szczęście, Doskonałość, Użyteczność. Autor nie wymyślił ich, lecz tylko odkrył w zasadniczych i najogólniejszych stosunkach rzeczy w jakości, zmianach i działaniu.

W pierwszej części niniejszej pracy starałem się bliżej określić najogólniejsze Ideały. Doskonałość polega na istnieniu rozmaitych części i własności, które tworzą całość zorganizowaną, gdzie wszystko wspiera się wzajemnie.

Szczęście w istotach żywych wynika ze zmian wspierających życie, zdrowie i rozwój. Nareszcie Użyteczność, polega na takich czynach, które wywołują Szczęście i Doskonałość.

W drugiej części wykazałem stosunek Ideałów do rozmaitych Dziedzin świata, a więc do Wyrobów, Utworów,

Natury, Człowieka i Społeczeństwa. Zastosowanie to szczególnie w dwu najważniejszych Dziedzinach, jakimi są: Człowiek i Społeczeństwo, pozwoliły nam odkryć najwyższe Idee a zarazem najważniejsze Instytucje społeczne, jakimi są: Filozofia, Religia, Rząd, Nauka, Towarzystwo, Praca, Sztuka, Użycie i Sport wraz z ich przeciwieństwami, które w życiu społecznym tworzą chorobliwe zjawiska.

Istnieje bardzo upowszechniona opinia, że — najwyższym celem życia, a więc i najwyższym dążeniem człowieka powinno być Szczęście. Wbrew temu starałem się, jeżeli nie dowieść, to przynajmniej zaznaczyć, że zarówno ludzie jak i społeczeństwa dążyć muszą do urzeczywistnienia wszystkich trzech Ideałów, żadnego nie pomijając. Każdy człowiek i każdy naród ma prawo być szczęśliwym, ma obowiązek być użytecznym i musi dążyć ku doskonałości. Gdy tego nie chce lub nie może czynić, życie jego i charakter jest okaleczały, potworny.

Na pytanie: jakim sposobem w naszych duszach powinniśmy uporządkować Ideały?... odpowiedziałem, że pierwsze miejsce należy wyznaczyć Użyteczności, drugie Doskonałości, trzecie Szczęściu. Do takiego uporządkowania skłoniło mnie wiele powodów, spośród których wymieniam następujące:

Zaspokojenie głodu jest rodzajem szczęścia. Otóż zanim człowiek osiągnie je, musi zdobyć materiał pokarmowy i przygotować go odpowiednio. Czyli — człowiek pierwszej musi spełnić jakieś czyny użyteczne, zanim zdobędzie odrobinę szczęścia. Też same zjawiska spotykamy, gdy chodzi o małżeństwo, o wiedzę, o nacieszenie się dziełami sztuki itp.

Użyteczność jest fundamentem szczęścia, o niej więc musimy myśleć pierwszej aniżeli o szczęściu. Czy jednak tylko o niej?...

Wyobraźmy sobie człowieka, który za pomocą pracy czyli użyteczności już zdobył materiały pokarmowe, małżonkę, pieniądze, wiedzę... Ale gdyby wszystkich tych da-

rów używał bez pomiarkowania, gdyby się przejechał, upijał, popełniał rozpustę, przepracowywał, dlatego że każde podobne nadużycie w danej chwili robiłoby mu przyjemność, czy człowiek ten postępowałby rozsądnie?... Bynajmniej, gdyż taki sposób życia doprowadziłby go do ruiny fizycznej i duchowej, skutkiem której jego Rozwój zostałby zahamowany.

A zatem — nawet w chwili korzystania ze Szczęścia, jeszcze nie można poddawać mu się w zupełności, jeszcze trzeba myśleć o innym Ideale, mianowicie o Doskonałości. Gdy bowiem Szczęście nie prowadzi do doskonałości, przestaje być Szczęściem i przeradza się w cierpienie, w upadek moralny.

W planach więc naszych po Ideale Użyteczności należy się miejsce Doskonałości, a dopiero po tej — Szczęściu.

Po wtóre — jest rzeczą godną uwagi, że gdy każdy człowiek sądzi, iż przede wszystkim powinien dbać o własne szczęście, cały ustrój społeczny jest skierowany do tego, ażeby człowiek w pierwszej linii był — użytecznym dla innych. Spójrzymy głębiej w życie: lekarz leczy nie siebie, rzemieślnik wyrabia odzież, sprzęty, obuwie, budowniczy wznosi gmachy znów nie dla siebie, lecz dla innych, adwokat broni spraw nie swoich, ale cudzych... Krótko mówiąc, każdy w życiu musi być pierwszej użytecznym i za to zyskać prawa do szczęścia.

Stąd między dążeniami człowieka a biegiem życia społecznego istnieje rozdźwięk, który byłby mniejszy, gdybyśmy z góry wiedzieli i wierzyli, że — Użyteczności należy się miejsce przed Szczęściem.

Czy uwagi powyższe znaczą, że człowiek powinien wyrzec się praw do szczęścia?...

Nie, one tylko zachęcają do pewnych zmian w trybie naszego myślenia. Ludzie mówią dziś: „Muszę być szczęśliwym, mam prawo do szczęścia, a inni powinni mi do tego pomagać.” Tak mówimy, tak myślimy i... spotykają nas ciężkie rozczarowania.

Należałoby zaś myśleć i mówić, a nade wszystko wierzyć cokolwiek inaczej, mianowicie:

„Muszę być Użytecznym, a dopiero za cenę użyteczności kupię sobie prawo do Szczęścia, z którego będę o tyle korzystał, o ile jest to potrzebnym do mojej Doskonałości.”

Każdy człowiek ma chyba w życiu swoim momenty, w których myśli według powyższej formuły, no — i wątpię, czy jest mniej szczęśliwym aniżeli wówczas, gdy wszystko poświęciłby, ażeby osiągnąć szczęście.

Nie mniejszy chaos widzimy w rozwoju naszych władz duchowych. Szczególniej my, Polacy, dozwalamy najsilniej rozwijać się Uczuciom, następnie pracujemy nad ukształceniem Myśli, wcale zaś nie dbamy o Wolę...

Tymczasem siła, która stanowi o wartości człowieka, przez którą nabywa on praw do istnienia, jest — jego Wola, czyli zdolność działania, wywoływania zmian w Naturze, Przedmiotach i Ludziach; Myśl zaś odgrywa rolę kierownika tej siły, dla której — Uczucie — stanowi pobudkę.

Jak spomiędzy trzech Ideałów: Użyteczności, Doskonałości i Szczęścia — żadnego nie można było zaniedbać, tworzą one bowiem ścisłą całość, niby głowa, tułów i kończyny, podobnie z trzech Władz duszy, to jest: Myśli, Uczucia i Woli nie można pomijać żadnej, gdyż i one tworzą jeden organizm, gdyż i one są tak ściśle związane ze sobą, jak: głowa, tułów i kończyny.

Ale i w rozwijaniu władz duszy trzeba zachować jakiś ład, a mianowicie: najusilniej kształcić Wolę, po niej Myśl, a po tej Uczucie. Porządek ten jest szczególnie ważnym dla nas, Polaków, którzy dotychczas praktykowaliśmy wprost przeciwny.

Czy niniejsza rada ma na celu zduszenie Uczuć?... Bynajmniej. Ona ma tylko na celu podźwignąć Wolę i Myśl, które naprawdę rządzą światem, a przez nas są zaniedbywane, przynajmniej w teorii...

W tym miejscu Czytelnik może postawić następujące pytanie:

— Zalecasz nam, ażebyśmy ciągle myśleli o użyteczności i starali się być użytecznymi. Czy nie prościej jednak byłoby wprost zalecić znane od wieków przykazanie: „Kochaj bliźniego jak siebie?...”

Niestety — nie. „Kochaj bliźniego...” jest nakazem boskim, ma źródło nadziemskie, zasada zaś Użyteczności jest ziemską i dziś nieustannie praktykuje się w stosunkach społecznych.

Piekarz stara się wypiekać dobre ciasto czyli — być użytecznym, nie myśląc, że wyrób ten może nakarmić jego nieprzyjaciela; szewc szyje dobre buty nie troszcząc się, że chodzić w nich może człowiek jemu nienawistny. Podobnież, bez względu na międzynarodowe antypatie, Francuz stara się wyrabiać jak najlepsze towary dla Anglików i Niemców, Niemiec dla Anglików i Francuzów itd.

Słowem — bez wykonania prawa Użyteczności nie mogłyby istnieć społeczeństwa, jak bez krążenia krwi nie mogłyby istnieć istoty żyjące. Kto nie spełnia tego prawa, nosi w społeczeństwie tytuł: wyzyskiwacza, oszusta; kto jest szkodliwy — nazywa się złodziejem, rabusiem...

Zalecając moim ziomkom Użyteczność, nie rekomenduję jakiegś wymyślnej teorii. Odstaniam tylko przed ich oczami fakt powszechny i mówię:

— Musicie być użytecznymi, gdyż cały świat jest użytecznym, gdyż użyteczność jest jednym z najpowszechniejszych praw. Im kto potrafi być użyteczniejszym dla swoich bliźnich, dla sąsiadów, dla społeczeństwa, dla cywilizacji, tym ma więcej szans istnienia. Kto zaś nie potrafi być użytecznym — zginie bez ratunku i bez czyjegokolwiek żalu...

Użytecznymi musimy być dla każdego, a przynajmniej dla tych, którzy nam są użyteczni, na tym polega prawo wymiany usług. Lecz z miłością jest inaczej. Jakkolwiek

lubimy to, co nam robi przyjemność, co podtrzymuje nasz byt materialny, ale — kochamy — dopiero tych i te rzeczy, które przyczyniają się do rozwoju naszego ducha. Człowiek, który rozbudził w nas nowe poglądy, nowe uczucia, nowe pragnienia, ten dopiero zdobywa naszą miłość, nie zaś każdy, kto ma prawo do tytułu bliźniego. Nasz bliźni może być niekiedy tak wielkim niegodziwcem, że oprócz wzdąrcy i wstrętu żadnych innych nie wzbudza uczuć. Mimo to ów niegodziwy bliźni może korzystać z książek, które napisałem, jadać chleb, który upiekłem, jeździć koleją, którą zbudowałem... Słowem — może korzystać z mnóstwa moich usług, a ja, chcąc czy nie chcąc, muszę być dla niego użytecznym, chociaż o miłości między nami mowy nie będzie.

Lecz jeżeli nie śmiałybym zachęcać do bezwzględnej i powszechnej miłości, to jednak z głębi serca ostrzegałbym każdego przed nienawiścią. Nienawiść jest to ciężka choroba nerwowa, która mąci nasze myśli, zatrzuwa uczucie, psuje i osłabia wolę. Człowiek, który pielęgnuje w sercu uczucie nienawiści, jest pod każdym względem słabszy od takiego, który rzeczy traktuje chłodno. A jak przy tym jest nieszczęśliwy!...

Oto co chciałem wypowiedzieć w niniejszej pracy. Jesteśmy nie tylko społeczeństwem zacofanym i biednym materialnie, ale co gorsze — jesteśmy chorzy duchowo. Nasze stare programy przeżyły się i w obecnej dobie świata nie mają żadnej wartości. Jesteśmy podobni do zdeorganizowanego tłumu ludzi, którzy w nocy wśród puszczy stracili drogę i nie wiedzą ani dokąd iść, ani w jakim porządku.

W takiej chwili pragnąłbym wskazać duchowi społeczeństwu cele i kierunki niezmiennie, do których, moim zdaniem, dążyły, dążą i dążyć będą wszystkie społeczeństwa. A im mniej zbaczają od tych celów i ideałów, tym istnienie ich jest pełniejsze i pewniejsze.

W pracy tej jest niewątpliwie dużo błędów; ale jedna rzecz jest bezbłędna: sama zasada i konieczność stosowania jej w naszym życiu prywatnym i publicznym. I dlatego jeszcze raz zwracam się z hasłem powtarzanym na każdej stronie:

„Doskonalcie — Wolę, Myśl, Uczucie, ich cielesne organy i ich materialne narzędzia; bądźcie Użyteczni dla samych siebie, dla swoich i dla obcych, a Szczęście, o ile istnieje na tej ziemi, samo przyjdzie.”

2017



KOMENTARZ RZECZOWY I SŁOWNIKOWY

Absolut (łac.) — to co istnieje bezwzględnie, niezależnie, samoistnie (np. Bóg).

Adept (łac.) — uczeń wtajemniczony.

Alternatywa (łac.) — wybór między dwiema możliwościami.

Ambrozja (gr.) — pożywienie bogów nadające im wieczną młodość i nieśmiertelność. Przenośnie — napój boski.

Amphibia (gr.) — płazy.

Anatema (gr.) — klątwa kościelna.

Anomalia (łac.) — nieprawidłowość, odchylenie od normy.

Antynomia (gr.) — sprzeczność między dwoma twierdzeniami, z których każde wydaje się prawdziwe.

Apodyktyczny (łac.) — w logice sąd konieczny, oczywisty. Potocznie — ktoś, kto narzuca swe myśli lub wolę w sposób nie dopuszczający sprzeciwu.

Apokaliptyczny (gr.) — tajemniczy, niezrozumiały, zawily. Apokalipsą nazywa się pełna niejasności księga proroctw św. Jana w Nowym Testamencie.

Aprioryczny (łac.) — poznany metodą rozumową, bez udziału doświadczeń. Nauki aprioryczne — nauki stosujące metodę czysto rozumową (np. geometria).

Archimedes (287—212 przed Chr.) — najwybitniejszy fizyk starożytności.

Arystoteles (384—342 przed Chr.) — najwybitniejszy obok Platona (którego był uczniem) filozof grecki.

Aspiracja (łac.) — dążenie, pragnienie osiągnięcia jakiegoś celu.

Ateizm (gr.) — pogląd zaprzeczający istnienie Boga.

Atrybut (łac.) — cecha, znamię, właściwość.

Auto da fé — spalenie osądzonego przez Inkwizycję kacerza; znaczenie dosłowne: akt wiary (portug.).

Bacon Franciszek (1561—1626) — filozof angielski, twórca filozofii empirycznej, tj. doświadczalnej.

Bain Aleksander (1818—1903) — angielski filozof, zwolennik metod doświadczalnych.

- Bartoszewicz Julian** (1821—1870) — historyk o wybitnie katolickich poglądach.
- Bentham Jeremy** (1748—1832) — prawnik i filozof angielski, reformator więziennictwa.
- Bezłotki czyli pingwiny** — gatunek ptaków o skrzydłach bez lotek.
- Bezik** (fr.) — rodzaj gry w karty.
- Bogacki Feliks** — filozof o poglądach pozytywistycznych i materialistycznych, od których w końcu się odwrócił.
- Bramin** (hind.) — kapłan wyznania bramińskiego.
- Buckle Henryk** (1821—62) — angielski historyk kultury.
- Buffon** (wl.) — rodzaj błazna. Potocznie: człowiek do śmieszności pyszny.
- Butrymowicz Mateusz** — finansista i polityk XVIII w., na sejmie w 1791—2 r. bronił praw Żydów.
- Bürger August** (1747—94) — romantyczny poeta niemiecki, autor znanych ballad.
- Cheder** (hebr.) — początkowa szkoła wyznaniowa żydowska.
- Chimeryczny** (gr.) — fantastyczny, dziwaczny. Chimera to potwór fantastyczny z mitologii greckiej.
- Chmielowski Piotr** (1848—1904) — jeden z najwybitniejszych historyków literatury polskiej. Od 1893 r. był członkiem Akademii Umiejętności, od 1903 — profesorem Uniw. Lwowskiego. W młodości wybitny publicysta pozytywizmu, pisywał artykuły i rozprawy z dziedziny literatury, filozofii i spraw społecznych w ówczesnej prasie postępowej. W latach 1881—97 redagował „Ateneum”. Najważniejsze dzieła: monografie o Mickiewiczu, Kraszewskim, o powieściopisarstwie, poezji, dramacie, krytyce polskiej. W 1900 r. wydał sześciotomową „Historię literatury polskiej”.
- Comte August** (1798—1857) — Filozof francuski, autor dzieła pt. „Kurs filozofii pozytywnej”, którym stworzył pozytywny kierunek filozofii. Głosił, że nauka powinna zajmować się wyłącznie konkretną rzeczywistością i tematami pożytecznymi, z wyłączeniem metafizyki i psychologii, które nie dają wiedzy pewnej. Duże znaczenie przypisywał socjologii. Metodą naukową jest wg Comte’a uogólnianie doświadczeń, aby na ich podstawie przewidywać przyszłość. Przeprowadził klasyfikację nauk wg ogólności ich przedmiotu. Filozofii wyznaczył rolę encyklopedii nauk ogólnych. Pod koniec życia oddalił się od ścisłości naukowej tworząc „religię pozytywną”, w której bogiem jest ludzkość.

- Corpus doctrinae** — po łacinie: ciało (trzon) nauki.
- Cuvier Jerzy** (1769—1832) — Francuski przyrodnik, twórca anatomii porównawczej i paleontologii (nauki o skamielinach).
- Czacki Tadeusz** (1765—1813) — działacz oświatowy, założyciel Liceum Krzemienieckiego.
- Darwin Karol** (1809—1882) — przyrodnik angielski, twórca teorii doboru naturalnego i ewolucji w świecie zwierzęcym.
- Dedukcja** (łac.) — w logice system rozumowania polegający na wyprowadzaniu wniosków ogólnych z twierdzeń szczegółowych.
- Dekart René**, właściwie Descartes lub Kartezjusz (1596—1650) — filozof, matematyk i przyrodnik francuski, wybitny przedstawiciel racjonalizmu, tj. poglądu głoszącego pewność poznania rozumowego.
- Deotyma** (1834—1908) — pseudonim poetki polskiej Jadwigi Łuszczewskiej.
- Deus ex machina** — po łacinie: bóg z maszyny; termin z dziedziny dramaturgii starożytnej, oznaczający nagle i niespodziewane pojawienie się jakiejś siły, która powoduje rozwikłanie skomplikowanej sytuacji.
- Dialektyczny** (gr.) — wg Hegla byt rozwija się dialektycznie, tj. przechodząc przez trzy fazy: tezy, antytezy i syntezy, z których każda jest niezbędnym ogniwem rozwoju. Filozofią dialektyczną nazywa się także filozofię opartą na rozumowaniu nie liczącym się z rzeczywistością.
- Dietetyka** (gr.) — Dział medycyny, zajmujący się badaniem zasad racjonalnego odżywiania się.
- Doktryna** (łac.) — teoria lub system naukowy. Potocznie: teoria ciasna, nie licząca się z wymaganiami rzeczywistości.
- Dygański Adolf Tomasz** (1839—1902) — wybitny pedagog i powieściopisarz. Był słuchaczem Szkoły Głównej, potem z powodu udziału w powstaniu 1863 r. wyjechał do Krakowa, gdzie rozpoczął pracę nauczycielską. Po powrocie do Warszawy pisuje artykuły do Przeglądu Tygodn., tam też drukuje swe pierwsze nowele. Od 1885 r. jest jednym z redaktorów „Wędrowca”. Powieści: „Na pańskim dworze”, „Na warszawskim bruku”, „Beldonek”, (obyczajowe) oraz „Wilk, psy i ludzie”, „Zając”, „Gody życia” i in. (z życia zwierząt). Rozprawy pedagogiczne: „Pierwsze nauczanie w domu i szkole”, „Jak się uczyć i jak uczyć innych”.
- Dysekcyjna żyłka** — skłonność do drobiazgowego analizowania, rozbiegania. **Dysekcja** (łac.) — operowanie zwłok w celach badawczo-naukowych

- Dyskredytować** (łac.) — psuć opinię, zaprzeczać wartości.
- Dysydenci** (łac.) — różniący się w rzeczach wiary; w dawnej Polsce tak nazywano chrześcijan niekatolików.
- Dżagannata** a. **Dżagernata** — święto hinduskie obchodzone w m. Dżagernata, podczas którego fanatycy rzucali się pod koła rydwanu wiozącego posąg boga.
- Egzorcyzmy** (gr.) — zaklinanie złych duchów; zaklęcia wypowiadane w celu wypędzenia szatana.
- Ekstaza** (gr.) — stan zachwycenia religijnego; najwyższy stopień zachwyty.
- El..y** — pseudonim poety Adama Asnyka (1838—97).
- Empiria** (gr.) — doświadczenie, metoda doświadczalna.
- Epigon** (gr.) — potomek, następca, naśladowca wielkich mistrzów.
- Epikureizm** — kierunek filozoficzny, stworzony przez Epikura (341—271 przed Chr.), głoszący radość życia i propagujący używanie rozkoszy.
- E pur si muove** — po włosku: a jednak porusza się. Słowa wielkiego astronoma i filozofa włoskiego Galileusza (1564—1642), wypowiedziane szeptem w momencie, gdy Rzym wymógł na nim potępienie nauki Kopernika.
- Euklides** — matematyk grecki z III w. przed Chr., przyczynił się ogromnie do rozwoju geometrii.
- Ezop** — bajkopisarz grecki z VI w. przed Chr.
- Facecja** (łac.) — żart, anegdota.
- Falanga** (gr.) — szyk bojowy ciężkiej piechoty greckiej; potocznie — zwarta gromada.
- Fantasmagoria** (gr.) — złudzenie wzrokowe; przenośnie — niedorzeczność, urojenie.
- Fatalizm** (łac.) — pogląd, wg którego życiem człowieka kieruje przeznaczenie niezależne od jego woli.
- Faustrecht** (niem.) — prawo pięści, prawo silniejszego.
- Fichte Johann Gottlieb** (1762—1814). — Filozof niemiecki, twórca filozofii idealistycznej w XIX w.
- Filantropia** (gr.) — miłość do ludzi, działalność dobroczynna.
- Franciszka z Rimini** — postać z „Piekle” Dantego; za zdradę małżeńską skazana była wraz z kochankiem na nieustannie unoszenie się w powietrzu i pędzenie przez wichry.
- Gremium** (łac.) — grono, komplet (o osobach).
- Hegel Georg Wilhelm Fryderyk** (1770—1831) — filozof niemiecki, przedstawiciel filozofii idealistycznej.

- Helmholtz Hermann** (1821—94) — fizyk niemiecki.
- Helota** (gr.) — niewolnik.
- Hygiénique** (fr.) — higieniczny.
- Hipokryzja** (gr.) — obluda.
- Hipoteza** (gr.) — naukowo uzasadnione, ale niedowiedzione przypuszczenie.
- Horacjusz** (65—8 przed Chr.) — poeta rzymski, autor listów poetyckich zawierających zasady, na których powinny się opierać utwory literackie.
- Horror** (lac.) — obawa, wstręt. Jako wykrzyknik używany w znaczeniu: okropność.
- Indukcja** (lac.) — w logice system wnioskowania polegający na wyciąganiu ogólnego wniosku ze szczegółowych danych.
- Indyferentyzm** (lac.) — obojętność religijna lub moralna.
- In hoc signo vincetis** — po łacinie: pod tym znakiem zwyciężycie.
- Insecta** (lac.) — owady.
- Insynuacja** (lac.) — budzenie podejrzania, złośliwe podsuwanie oszczerczej myśli.
- Janus** — bóstwo starorzymskie opiekujące się wejściem, drzwiami; przedstawiane było w postaci ludzkiej o dwóch lub czterech twarzach.
- Jaźń** — osobowość człowieka świadoma siebie jako nierozdzielna istota, stale ta sama.
- Jeremiasz** — prorok Starego Testamentu, autor pieśni modlitewnych wypowiadających skargi na niedolę narodu izraelskiego. Tu aluzja do zbioru „Skargi Jeremiego” Kornela Ujejskiego (1833—97).
- Jeż Teodor Tomasz** — pseudonim Zygmunta Miłkowskiego (1824—1915), powieściopisarza i bojownika o niepodległość Polski.
- Kanoniczne prawo** — prawo ustanowione przez kościół katolicki.
- Kant Immanuel** (1724—1804) — filozof niemiecki, twórca tzw. filozofii krytycznej, według której istota bytu jest niepoznawalna, a poznać możemy tylko zjawiska.
- Kariatyda** (gr.) — posąg ludzki podpierający strop jako kolumna.
- Kategoryzować** (gr.) — zaliczać do jakiejś grupy na podstawie pewnej cechy.
- Klauzura** (lac.) — przepisy odnoszące się do wychodzenia zakonników z klasztoru; część klasztoru, do której nie mają wstępu osoby świeckie.
- Kolizja** (lac.) — zbieg sprzecznych interesów lub zasad.
- Kompromis** (lac.) — ustępstwo dla ugodowego załatwienia sprawy.

- Komunał** (łac.) — ogólnik, frazes, zdanie oklepane.
- Kontemplacja** (łac.) — stan duchowy bierny, bezwolne pograżanie się w treści będącej przedmiotem myśli lub uczuć.
- Koryfeusz** (gr.) — przodownik chóru. Potocznie — ktoś zajmujący przodownicze stanowisko.
- Kosmopolityzm** (gr.) — obywatelstwo świata — kierunek myślowy i uczuciowy dążący do ogarnięcia całej ludzkości nie zadowolniając się sprawami jednego państwa lub narodu.
- Krauze Ernest Ludwik** (ur. 1839) — uczony niemiecki, popularyzator nauk przyrodniczych, m. in. teorii Darwina.
- Krupiński Franciszek**, ksiądz (1836—1898) — publicysta, krytyk, filozof, pisywał do „Biblioteki Warszawskiej“, „Ateneum“ i in. W krytyce reprezentował krańcowo antyromantyczne stanowisko.
- Kryszna** — w mitol. hinduskiej ósme wcielenie Boga Wisnu.
- Kundman** (niem.) — klient.
- La Harpe Jan Franc.** (1739—1903) — francuski poeta klasyczny i krytyk.
- Lavoisier Antoni** (1743—94) — chemik franc., ogłosił prawo zachowania materii.
- Lewestam Fryderyk Henryk** (1817—1878) — krytyk i historyk literatury, profesor literatury powszechnej w Szkole Głównej w Warszawie.
- Licencja poetyczna** (łac.) — dowolność poetycka: prawo poetów do odstępowania od powszechnie obowiązujących reguł (np. językowych).
- Linde Bogumił** (1771—1847) — językoznawca polski, autor „Słownika języka polskiego“.
- Litré Emile** (1801—1881) — franc. filozof i językoznawca.
- Lourdes** — miejscowość w połudn. Francji u podnóży Pirenejów, znana z cudownego źródła i grotty, w której dnia 11. 2. 1858 r. uboga dziewczyna Bernadeta Soubirous ujrzała Matkę Boską.
- Ludgarda** — tragedia Ludwika Kropińskiego (1816 r.), odznacza się przesadną uczuciowością.
- Lyell Karol** (1797—1875) — geolog angielski.
- Maksyma** (łac.) — zasada, prawidło.
- Mamalia** (gr.) — ssaki.
- Mandingowie** — szczep murzyński w Sudanie.
- Materializm** — kierunek filozoficzny uznający, że byt ma charakter jedynie materialny, nie duchowy.
- Memento** (łac.) — pamiętaj; upomnienie, przestroga.

- Metafizyka** (gr.) — dział filozofii zajmujący się zagadnieniem istoty bytu. Pozytywiści nie uznawali metafizyki za naukę.
- Mill John Stuart** (1806—73) — filozof i ekonomista angielski, który stworzył szczegółowy system rozumowania indukcyjnego.
- Misteria** (gr.) — obrzędy religijne dostępne tylko dla wtajemniczonych.
- Modyfikować** (łac.) — zmieniać.
- Monomania** (gr.) — chorobliwe opętanie przez jedną myśl.
- Myop** (gr.) — krótkowidz.
- Newton Izaak** (1643—1727) — matematyk i fizyk angielski, odkrywca prawa powszechnego ciężenia.
- Nihilizm** (łac.) — kierunek filozoficzny i polityczny w Rosji XIX w. zaprzeczający wartości powszechnie przyjętych form życia zbiorowego i indywidualnego.
- Nirwana** (sansk.) — w filozofii hinduskiej stopienie się duszy jednostki z duszą wszechświata, potocznie — rozplnięcie się w nicości.
- Nodier Karol Emanuel** (1780—1844) — poeta, krytyk i wydawca francuski.
- Numen** (łac.) — w filozofii istota rzeczy, w przeciwieństwie do zjawiska czyli fenomenu.
- Obiectum** (łac.) — dopełnienie, przedmiot.
- Ochorowicz Julian** (1850—1917) — przedstawiciel filozofii pozytywnej w Polsce. Wychowanek Szkoły Głównej, doktorant Uniw. Lipskiego, od 1875 r. docent Uniw. Lwowskiego. Jako publicysta wystąpił w 1867 r. w Przegl. Tygodn. Pisywał i do innych pism postępowych. W latach 1874—75 redagował „Niwę”. Pod koniec życia zwrócił się do badań nad hipnotyzmem i mediumizmem. Najważniejsze dzieła: „O wolności woli”, „O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii”, „Bezwiedne tradycje ludzkości” i in.
- Oficjalista** (łac.) — urzędnik.
- Orland a. Roland** — bohater poematu „Orland Szalony” włoskiego poety Ariosta (1474—1533). Przenośnie — człowiek oszalały z miłości.
- Orzeszkowa Eliza** (1841—1910) — znana powieściopisarka. Jako przedstawicielka publicystyki pozytywizmu pisywała do wszystkich ówczesnych postępowych czasopism artykuły o charakterze krytyczno-literackim i społecznym. Wybitnie propagowała hasła równouprawnienia kobiet i Żydów. Jej rozprawa „O Żydach i kwestii żydowskiej” napisana została pod wrażeniem antyżydowskich rozruchów w Warszawie w 1881 r.

Oscylacja (łac.) — wahanie.

Ostracyzm (gr.) — sąd skorupkowy. Wypisywanie na skorupkach przez lud grecki imion ludzi szkodliwych, którzy w wyniku takiego sądu wydalani bywali z kraju. Tu znaczy — wyrok potępiający, skazujący na wykreślenie.

Pan (gr.) — w mitol. greckiej bóg leśny; przedstawiano go jako brzydkiego mężczyznę z kozłimi nogami i rogami. Satyr — w mitol. greckiej bóg leśny z wyglądu podobny do Pana; wielbiciel radości życia, miłości, muzyki, tańca. Tu przenośnia: pisać satyrę, wyśmiewać wady społeczeństwa.

Panteizm (gr.) — pogląd filozoficzny, wg którego Bóg jest identyczny ze światem. Świat i Bóg — to jedno.

Paradoks (gr.) — twierdzenie dziwne, sprzeczne z powszechnym zdaniem; błyskotliwa myśl niezgodna z poglądami ogólnie przyjętymi.

Par excellence — po francusku: specjalnie, przede wszystkim.

Parnas (gr.) — pasmo górskie w Grecji, które wg mitów greckich było siedzibą bogów poezji.

Patriarchalizm (gr.) — ustrój społeczny lub rodzinny, w którym rządzi najstarszy mężczyzna.

Personat (łac.) — dygnitarz, ważna osoba.

Pegaz (gr.) — mitologiczny, skrzydlaty rumak Muz i poetów.

Pelletan Eugeniusz (1813—84) — pisarz francuski, zwolennik równouprawnienia kobiet.

Plato lub Platon (427—347 przed Chr.) — jeden z najwybitniejszych filozofów greckich, twórca filozofii idealistycznej.

Plebs (łac.) — w Rzymie do roku 336 przed Chr. obywatele pozbawieni praw politycznych. Przenośnie: tłum, motłoch.

Plejada (gr.) — grupa poetów. Tak nazywała się grupa siedmiu poetów aleksandryjskich z III w. po Chr. i tak nazwało siebie siedmiu poetów francuskich z XVI. w. na czele z Ronsardem.

Potentat (łac.) — władca, możny pan, magnat.

Praedicatum (łac.) — orzeczenie.

Predylekcja (łac.) — szczególne upodobanie.

Prus Bolesław (Głowacki Aleksander) (1847—1912) — wychowanek Szkoły Głównej. W powieściopisarstwie i publicystyce polskiej zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc. Redagował „Niwę”, „Muchę” i in. Pisywał do wszystkich niemal czasopism ówczesnych artykuły, rozprawy i felietony z dziedziny krytyczno-literackiej, społecznej, gospodarczej, politycznej itp. Reprezentował pozytywizm umiarkowany i na tym tle powstawały nieraz nieporozumienia między nim i „młodymi” (m. in.

ostre polemiki ze Świętochowskim). „Najogólniejsze ideały życiowe“ (ostatnie wydanie w 1905 r.) są syntezą publicystyki Prusa.

Proudhon Piotr Józef (1809—65) — socjalista francuski, teoretyk anarchizmu.

Przyjaciół mądrości — przetłumaczone z greckiego słowo „filozof“.

Ptolomeusz — filozof i astronom grecki z II wieku przed Chr.

Twierdził, że w układzie wszechświata ziemia jest nieruchomym środkiem, dokoła którego obracają się gwiazdy, planety i słońce.

Teorię tę obalił dopiero Kopernik.

Radykalizm (łac.) — teoria polit.- społ. o charakterze krańcowym.

Rousseau Jan Jakub (1712—78) — literat i filozof francuski, głosiciel idei społecznej równości i wolności.

Rykoszet (fr.) — odbicie, odskok pocisku uderzającego w twarde przedmiot.

„Rzecz sama w sobie“ — w filozofii Kanta, niepoznawalna istota rzeczy, które ukazują się nam tylko w zjawiskach.

Saint Beuve Karol (1804—69) — krytyk i pisarz francuski.

Sankcja (łac.) — zatwierdzenie przez wyższą władzę.

Sceptyk (gr.) — filozof ze szkoły sceptyków w starożytnej Grecji.

Sceptycy nie wierzyli w możliwość pewnego poznania świata, ani w istnienie bezwzględnych prawd.

Schelling Fryderyk, Wilhelm, Józef (1775—1854) — filozof niemiecki, jeden z przedstawicieli tzw. idealistycznej filozofii, tj. uznającej, że istota bytu jest natury duchowej.

Scholastyka (łac.) — filozofia średniowieczna religijna, a więc metafizyczna. Tu aluzja do idealistycznej filozofii niemieckiej XIX w.

Sine ira et studio — po łacinie: bez gniewu i uprzedzenia, tzn. bezstronnie, obiektywnie.

Skalpel (łac.) — rodzaj chirurgicznego noża.

Société (fr.) — Towarzystwo.

Sofista (gr.) — filozof z greckiej szkoły sofistów (V w. przed Chr.), głoszącej, że każda prawda może być obalona jako fałsz, a każdy fałsz udowodniony jako prawda.

Sofizmat (gr.) — dowód sofistyczny, tylko pozornie prawdziwy.

Spektator (łac.) — widz.

Spekulacja (łac.) — w filozofii snucie rozmyślań teoretycznych o przedmiotach niedostępnych doświadczeniu.

Spekulacyjna filozofia — filozofia zajmująca się dociekaniem czysto rozumowymi, nie opartymi na doświadczeniu.

- Spencer Herbert** (1820—1903) — filozof angielski, pedagog i socjolog; poglądy swe oparł na idei ewolucji.
- Spinoza Baruch** albo **Benedykt** (1632—77) — filozof holenderski. Głosił tzw. monizm, tj. pogląd o jednolitym charakterze bytu, bez podziału na elementy ducha i materii.
- Stereotypowo** (gr.) — w sposób powtarzający się, jednostajny (stereotypem mazywa się płyta czcionkowa do odbijania druków).
- Strabon** (63 przed Chr.) — geograf grecki.
- Subiectum** (łac.) — podmiot.
- Substancja** (łac.) — w metafizyce podłoże tego, co istnieje, to co pozostaje niezmiennie przy wszelkich zmianach, którym podlegają zjawiska.
- Suzeren** — w średniowiecznym ustroju pan, który nadawał ziemię swym podwładnym (wasalom), za co byli zależni od niego osobiście, płacili mu tzw. lenno i składali hold.
- Swedenborg Emanuel** (1688—1772) — filozof i mistyk szwedzki.
- Świętochowski Aleksander** (1849—1938) — Przywódca młodych pozytywistów warszawskich, czołowy publicysta „młodej prasy”. Ukończył Szkołę Główną, doktoryzował się w Lipsku w dziedzinie filozofii. Zaczął pracę publicyst. w „Przegl. Tygodn.” w 1870 r. W 1878 objął redakcję „Niwy”, a w 1881 założył „Prawdę”, którą prowadził przez dwadzieścia z górą lat i w której ogłaszał swe sławne felietony pt. „Liberum veto”. W latach 1908—12 redagował „Kulturę polską”. Znany jest również jako powieściopisarz i dramaturg („Niewinni”, „Ojciec Makary”, „Nałęcz” i in.) W latach 1925—28 wydał dwutomową „Historię chłopów polskich”.
- Szyf** — bohater mitów greckich; ukarany przez bogów musiał toczyć pod górę olbrzymi głaz, który spychał go na dół.
- Szarlatan** (fr.) — oszust, kłamca.
- Szewczenko Taras** (1814—61) — najwybitniejszy poeta ukraiński.
- Taine Hipolit** (1829—93) — francuski estetyk, historyk i historyk literatury. Głosił konieczność wprowadzenia do nauk humanistycznych metod właściwych naukom przyrodniczym.
- Temida** (gr.) — w mitol. greckiej bogini sprawiedliwości.
- Tyndall John** (1820—93) — fizyk angielski.
- Tyszyński Aleksander** (1811—1880) — krytyk i powieściopisarz.
- Tytan** — jeden ze zbuntowanych synów Zeusa. W ogóle: silacz, mocarz.
- Ulrici Hermann** (1806—1884) — filozof i esteta niemiecki, autor studiów o Szekspirze.

Ultramontanizm (łac.) — kierunek polityczno-kościelny przyznający papieżowi wyłączną władzę kościelną, a kościołowi prawo do bezwzględnego przeprowadzania swych zasad.

L'union fait la force — po francusku: jedność czyni siłę (w jedności siła).

Uniwersalista (łac.) — człowiek wszechstronnie uzdolniony lub wykształcony.

Utopia (gr.) — nazwa wyspy, na której panowały idealne stosunki, z powieści angielskiego pisarza Tomasza Morusa (1479—1535).
W ogóle coś idealnego, wymarzonego, nie istniejącego w rzeczywistości.

Utylitarny (łac.) — przynoszący pożytek.

Veda (sanskryt.) — wiedza; zbiór pism literatury religijnej hinduskiej sprzed 800 r. przed Chr.

Villemain Abel Franc. (1790—1870) — francuski historyk literatury.

Werniks (łac.) — rodzaj polityry.

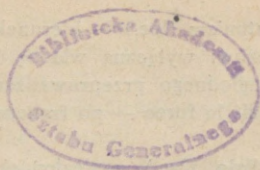
Wielopolski Aleksander (1803—77) — w 1861 r. dyrektor Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Królestwie Kongresowym, w 1862 r. naczelnik rządu cywilnego.

Wiślicki Adam (1836—1913) — długoletni redaktor „Przeglądu Tygodniowego”, w którym ogłaszał liczne artykuły z dziedziny krytyki liter., spraw społecznych, gospod. itp. Pisywał również do innych postępowych czasopism.

Wist (ang.) — rodzaj gry w karty.

Wiszn — w mitol. hinduskiej jedna z trzech głównych osób trójcy boskiej; bóg zwalczający złych demonów. Przechodził liczne wcielenia.

Zelota (gr.) — fanatyczny wyznawca, zwolennik.



TRZASKI, EVERTA I MICHAŁSKIEGO BIBLIOTEKA AUTORÓW POLSKICH

Tom 1. Zofia Szmydłowa — Liryka romantyczna.

Tom 2. Bogdan Sułchodolski — Idee społeczne doby Stanisławowskiej.

Tom 3. E. Sawrymowicz i T. Wojeński — Publicystyka pozytywizmu.

W DRUKU:

Zofia Szmydłowa — Liryka romantyczna t. II.

Eugeniusz Sawrymowicz — Poezja Stanisławowska.

5304

